

Światowy bestseller przetłumaczony na 28 języków!

Ponad 250.000 egzemplarzy sprzedanych w USA!

W

najzabawniejszej scenie tej wzruszającej powieści Enzo przemawia w sądzie za pomocą syntezy mowy. Zeznawać może jedynie we śnie, albowiem jest psem. Jego pan, trzydziestoletni Denny, doświadcza serii nieszczęść: nie dość, że w dramatyczny sposób traci żonę, to jeszcze bezwzględni teściowie próbują mu odebrać prawo do opieki nad córeczką. Mężczyzna zostaje oskarżony o gwałt przez nieletnią krewną, chcącą się zemścić za odrzucenie jej zalotów. Tylko Enzo, obsadzony przez Steina w roli narratora (bo i w powieści psy mówią), wie, co się wydarzyło naprawdę. Nikt nie powoła go na świadka obrony, demaskującego podłą lolitkę i równie kłamliwych teściów. Pies jednak może pomóc swojemu panu w inny sposób - podtrzymując go na duchu i prowokując go do tego, by do życia i do walki o dziecko podszedł tak samo odważnie jak do wyścigów samochodowych, którym oddaje się zawodowo. Od śmiałych kierowców i sympatycznych psiaków fortuna się nie odwraca.

Marta Mizuro, Zwierciadło

## **Garth Stein**

### **Sztuka ścigania się w deszczu**

Tytuł oryginalny: The Art of Racing in the Rain Copyright © 2008 by Bright White Light, LLC. All rights reserved.

ISBN wydania oryginalnego: 978-0-06-153793-6

© for the Polish edition: Galaktyka Sp. z o.o., Łódź 2009

90-562 Łódź, ul. Łąkowa 3/5

tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17

e-mail: galak@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

[www.galaktyka.com.pl](http://www.galaktyka.com.pl)

ISBN: 978-83-7579-087-0

Redakcja: Bogumiła Widła

Korekta: Malwina Łozińska

Redakcja techniczna: Małgorzata Kryszkowska

Redaktor prowadzący: Marek Janiak

Projekt okładki: Artur Marcinkowski

DTP: Garamond

Druk i oprawa: Imprima Spółka Jawna

Księgarnia internetowa!!! Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych  
Zapraszamy [www.galaktyka.com.pl](http://www.galaktyka.com.pl) e-mail: [galak@galaktyka.com.pl](mailto:galak@galaktyka.com.pl); [sekretariat@galaktyka.com.pl](mailto:sekretariat@galaktyka.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana ani częściowo, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych.

Dla Muggs

Potencjał twego umysłu, twoja determinacja, intuicja oraz doświadczenie pozwolą ci włączyć bardzo wysoko.

Ayrton Senna

POZOSTAJĄ MI TYLKO GESTY - CZASEM MUSZĄ BYĆ WSPANIAŁE. I jeśli zdarza mi się przekroczyć granicę, która dzieli nas od świata melodramatycznego, to tak właśnie muszę się zachowywać, aby wyrażać myśli jasno i skutecznie. Aby rozumiano mnie ponad wszelką wątpliwość. Nie władam słowami, na których mógłbym polegać, jako że (co bardzo mnie martwi) przypadł mi w udziale język długi, płaski i luźny, a więc straszliwie nieprzydatny do przemieszczania jedzenia w ustach, kiedy żuję, i jeszcze mniej przydatny do wydawania niełatwych artykułowanych dźwięków wielosylabowych, które można łączyć w zdania. Właśnie z tego powodu czekam teraz tutaj na powrót Denny'ego (który chyba wkrótce dotrze do domu) i leżę w kałuży moczu na zimnych płytkach kuchennej podłogi.

Jestem stary. I mogę się jeszcze bardziej zestarzeć, ale nie tak chciałbym skończyć. Szpikowany lekami przeciwbólowymi i sterydami, łagodzącymi obrzmienie stawów. Ze wzrokiem zaćmionym przez kataraktę. Z pokarmem Doggie Depends, którego zapas w pękających, plastikowych opakowaniach leży w spiżarni. Denny

sprawiłby mi pewnie taki wózek, jaki widuję na ulicy - jeden z tych, na których mieści się zad zwierzęcia, dzięki czemu pies może ruszać tyłek z miejsca, kiedy zaczyna się z nim źle dziać. To upokarzające i poniżające. Nie jestem pewien, czy to coś gorszego niż zdobienie psów na Halloween, ale wielkiej różnicy nie widzę. Denny postąpiłby tak oczywiście z miłości. Nie wątpię, że utrzymywałby mnie przy życiu, póki by mógł, a moje ciało byłoby w coraz gorszym stanie, zanikałoby i z tego rozpadu pozostałby w końcu mózg w stoiku wypełnionym jakąś jasną cieczą, a gałki moich oczu unosiłyby się na powierzchni; owe resztki karmiono by za pomocą najróżniejszych przewodów i rurek. Otóż wiem, co potem się dzieje. Widziałem to w telewizji. Oglądałem reportaż, o dziwo, z Mongolii. Lepszego programu nie zdarzyło mi się nigdy zobaczyć w telewizji, nie licząc oczywiście Grand Prix Europy w 1993 roku, najwspanialszego wyścigu samochodowego w historii, kiedy to Ayrton Senna okazał się deszczowym geniuszem. Oprócz owego Grand Prix z 1993 roku za najlepszy program, jaki oglądałem, uważam tamten dokument, który mi wszystko wyjaśnił; sprawił, że wszystko pojąłem, ujawnił przede mną całą prawdę - gdy pies kończy psią egzystencję, w następnym wcieleniu staje się człowiekiem.

Zawsze czułem się prawie ludzką istotą. Wiedziałem, że coś mnie odróżnia od innych psów. Owszem, znalazłem się w psim ciele, ale to tylko powłoka. Ważne jest wewnątrz. Dusza. A ja mam prawdziwie ludzką duszę.

Jestem teraz gotów stać się człowiekiem, choć zdaję sobie sprawę z tego, że utracę całe swe dotychczasowe jestestwo. Wszystko, co zachowałem w pamięci, wszystko, czego doświadczyłem. Chciałbym te wspomnienia i doznania zabrać ze sobą, aby mieć je w nowym życiu; przecież tyle przeszedłem razem z rodziną Swiftów, ale raczej nie ode mnie to zależy. Mogę tylko zmuszać się do pamiętania - cóż innego mi pozostaje?

Mogę podejmować próby utrwalania tego, co wiem, w mojej duszy - w czymś pozbawionym powierzchni, boków, stronic, jakiegokolwiek kształtu. Nosić to tak głęboko w kieszeniach mojej egzystencji, że ilekroć otworzę oczy i spojrzę na swe dłonie z kciukami, które potrafią się mocno zacisnąć wokół palców, już będę wiedział. Już będę rozumiał.

Otwierają się drzwi i słyszę, że on woła, jak zawsze:

- Hej, Zo!

Zwykle nie potrafię się oprzeć - odsuwam na bok mój ból, z trudem wstaję, merdam ogonem, oblizuję mego pana i wciskam pysk między jego nogi. Aby tym razem się powstrzymać, potrzeba mi iście ludzkiej siły woli, lecz tak właśnie reaguję. Zachowuję rezerwę. Nie wstaję. Gram.

- Enzo?

Słyszę jego kroki i troskę w głosie. On odnajduje mnie i zerka w dół. Ja unoszę łeb i tak słabo merdam ogonem, że dotykam nim podłogi. Odgrywam swoją rolę.

Kręci głową, przygląda ręką włosy i stawia na stole plastikową torbę, w której przyniósł ze sklepu kolację dla siebie. Poprzez plastik dociera do mnie zapach pieczonego kurczaka. Dzisiaj wieczorem będzie się nim raczyć, jak i całą górą zielonej sałaty ze śmietaną.

- Och, Enz - mówi.

Nachyla się i kuca przy mnie, swoim zwyczajem wodzi dłonią po zagłębieniu za moim uchem, a ja unoszę łeb i liżę jego rękę.

- Co się stało, mały? - pyta. Gesty tego nie wyjaśnią.

- Czy możesz wstać?

Próbuję, przychodzi mi to z trudem. Moje serce rusza z miejsca i zaraz się rozpędza, bo jednak nie mogę. Wpadam w panikę. Myślałem, że tylko gram, ale naprawdę nie mogę wstać. Gówno. Życie naśladuje sztukę.

- Nie przejmuj się, mały - pociesza on i kładzie dłoń na moim tułowiu, żeby mnie uspokoić. - Rozumiem cię.

Z łatwością mnie podnosi i kołysze na rękach, a ja czuję, co się z nim dzieje w ciągu dnia. Czuję każdą jego czynność. Pracę w warsztacie samochodowym, gdzie przez cały dzień stoi za kontuarem, siłą się na uprzejmość wobec klientów, którzy na niego krzyczą, bo mają niesprawne bmw, a naprawy są zbyt kosztowne i to ich doprowadza do furii, muszą więc na kimś się wyżyć. Czuję lunch, który zjadł. Poszedł do indyjskiego baru, w którym chętnie jada. Wszystko jest tam smaczne. I niedrogi, czasem więc zabiera ze sobą jakieś naczynie na dodatkowe - wykradane - porcje tan-doori, czyli kurczaka w żółtym ryżu, i je to także na kolację. Czuję piwo. Gdzieś się musiał zatrzymać. W meksykańskiej restauracji na wzgórzu. Po jego oddechu czuję, że jadł tortillę. Teraz rozumiem. Na ogół dobrze wiem, ile czasu minęło, ale dziś byłem zbyt przejęty, żeby zwracać na to uwagę.

Delikatnie wsadza mnie do wanny, włącza prysznic, którego rączkę trzeba trzymać, i mówi:

- Spokojnie, Enz. Przepraszam, że się spóźniłem - dodaje. - Powinienem od razu wrócić do domu, ale kumple z pracy nalegali. Mówiłem Craigowi, że muszę wyjść, a potem...

Milknie, ja zaś uświadamiam sobie, że według niego tamto przytrafiło mi się z powodu jego spóźnienia. Ależ nie. Nie o to mi chodziło. Trudno się porozumieć, bo jest tyle elementów, zresztą niespójnych. Wchodzi w grę prezentacja oraz interpretacja, a są one tak bardzo zależne od siebie nawzajem, że wszystko mocno się komplikuje. Nie chciałem, żeby on miał wyrzuty sumienia, tylko chodziło mi o to, że dobrze by mu zrobiło, gdyby przestał się o mnie troszczyć. Tyle ostatnio przeszedł i wreszcie ma wszystko za sobą. Nie jestem mu już potrzebny jako istota, o którą powinien się martwić. Muszę go od siebie uwolnić, aby mógł zabłysnąć.

On potrafi zabłysnąć. Olsnąć. Jest taki piękny, z rękoma, które chwytają różne rzeczy, i z tym swoim językiem, który wypowiada różne rzeczy, i gdy stoi, długo przeżuując, a jedzenie przed połknięciem rozdrabnia na miazgę. Będzie mi brakowało i jego, i małej Zoë; wiem zresztą, że im też będzie brakowało mnie. Ale nie mogę pozwolić na to, żeby sentymenty przekreśliły mój wspaniały plan. Gdy go zrealizuję, Denny odzyska swobodę i zacznie żyć własnym życiem, a ja powrócę na ziemię w nowej postaci, jako człowiek, po czym go odnajdę, uścisknę mu dłoń, pochwalę za wielki talent, a jeszcze później mrugnę do niego i powiem:

- To ja, Enzo.

Następnie szybko się oddalę, on zaś zapyta mnie głośno:

- Czy my się znamy? Spyta też:

- Czy już kiedyś się spotkaliśmy?

Po kąpeli mój pan wyciera podłogę w kuchni, a ja go obserwuję, daje mi też jedzenie, które znów pożeram zbyt łapczywie, i umieszcza mnie pod telewizorem, po czym przygotowuje sobie kolację.

- A może puszcze jakąś taśmę?

- Tak, jakąś taśmę - odpowiadam, ale on mnie oczywiście nie słyszy.

Mój pan do odtwarzacza wkłada film nakręcony w czasie wyścigu, w którym wziął udział, włącza wideo i razem oglądamy. To jeden z moich ulubionych filmów. Podczas okrążenia zapoznawczego tor jest suchy, a gdy tylko dano chorągiewką znak, że wyścig powinien się rozpocząć, na torze pojawia się ściana deszczu, leje jak z cebra i wszystkie samochody w pobliżu Denny'ego, obracając się, wylatują na trawę, on sam zaś mija tamtych, jak gdyby na niego deszcz nie padał, jakby dzięki czarodziejskiemu zaklęciu usuwał wodę ze swej drogi. Tak samo było w 1993 roku, podczas Grand Prix Europy, kiedy Senna na pierwszej prostej pozostawił za sobą cztery samochody prowadzone przez czterech pretendentów do tytułu mistrza, w konkurujących ze sobą wozach; byli to - Schumacher, Wendlinger, Hill oraz Prost - i wyprzedził ich wszystkich. Jakby posłużył się czarami.

Denny jest równie dobry, jak Ayrton Senna. Ale nikt Denny'ego nie zauważa, bo przecież ma on obowiązki. Myślę tu o jego córce Zoë, a przedtem jeszcze opiekował się żoną Eve, która się rozchorowała i w końcu umarła. Denny zajmuje się też mną. Mieszka w Seattle, choć powinien mieszkać gdzie indziej. I ma pracę. Ale czasami wyjeżdża i wraca z jakimś trofeum, które mi pokazuje, po czym opowiada ze szczegółami o wyścigach; o tym, że błyszczał na torze i że zademonstrował wszystkim pozostałym kierowcom z Sonomy, Teksasu czy środkowego Ohio, jak należy jeździć przy deszczowej pogodzie.

Kiedy film się kończy, Denny mówi:

- Wyjdźmy.

Z trudem wstaję.

Denny unosi mój zad, stawia mnie tak, żebym zachowywał równowagę, i dobrze mi z tym. Aby okazać zadowolenie, ocieram pysk o jego udo.

- Poczciwy Enzo.

Wychodzimy z mieszkania; w ten późny wieczór jest rześko, chłodno, wietrznie i przejrzyste. Idziemy tylko do przecznicy i z powrotem, a to przez mój straszny ból w biodrach, który Denny zauważa. Denny wie. Kiedy wracamy, dostaję od niego wieczorną porcję chrupek i zwijam się w kłębek na swoim pościu tuż przy jego łóżku. Potem on sięga po telefon i wykręca czyjś numer.

- Mike - odzywa się. Mike pracuje z Dennym, obaj stoją za ladą. Nazywają to nawiązywaniem kontaktów z klientami. Mike jest niewysokim facetem o delikatnych dłoniach, które są różowe i zawsze tak umyte, że niczym nie pachną.

- Mike, czy możesz mnie jutro zastąpić? Muszę znowu zabrać Enza do weterynarza.

Ostatnio często chodzimy do weterynarza po różne leki, które powinny mi przynosić ulgę, ale nie przynoszą. A ponieważ nie pomagają, przystępuję do realizacji Wielkiego Planu, mam zresztą też w pamięci wszystko to, co się działo poprzedniego dnia.

Denny milknie na chwilę i gdy zaczyna znów mówić, jego głos brzmi inaczej. Stał się chropowaty, jak przy przeziębieniu albo alergii.

- Nie wiem - stwierdza. - Nie jestem pewien, czy wrócimy z tej wizyty.

Wprawdzie nie umiem wypowiadać żadnych słów, ale niejedno rozumiem. I zaskakuje mnie to, co powiedział Denny, choć sam wszystko ukartowałem. Jestem przez chwilę zaskoczony, że mój plan się spełnia. Wiem, że tak będzie naprawdę najlepiej dla wszystkich zainteresowanych. Denny powinien to zrobić. W ciągu całego mojego życia tyle już dla mnie uczynił. Należy mu się ode mnie dar uwolnienia. I szansa na karierę. Mamy za sobą dobrą wspólną jazdę, ale się skończyła - cóż w tym złego?

Zamykam oczy i będąc w półśnie, wsluchuję się w wieczorne czynności Denny'ego przed snem. Mycie zębów i całego ciała, plusk wody. Tyle czynności. Ludzie i ich rytuały. Tak mocno przywiązują się czasem do różnych rzeczy.

[H]

-Z-



DENNY ZNALAZŁ MNIE W GROMADZIE SZCZENIAKÓW, W RUCHOMYM kłębowisku łap, uszu, ogonów, za stodołą na jakimś cuchnącym polu w okolicy miasteczka Spangle, we wschodniej części stanu Waszyngton. Niezbyt dobrze pamiętam, skąd się wziętem, ale utkwiała mi w pamięci mama - pokaźna suka rasy labrador ze zwisającymi sutkami, które kołysały się to w jedną, to w drugą stronę, gdy razem z rodzeństwem uganiałem się za nimi po podwórzu. Jeśli mam być szczery: wątpię, czy nasza mama przepadała za nami, i raczej nie zależało jej na tym, byśmy się najedli. Kiedy któreś z nas zniknęło, widać było po niej ulgę. Ot, o jednego piskliwego szczeniaka mniej do wysysania z niej mleka.

Ojca nie poznałem w ogóle. Denny dowiedział się od właścicielki farmy, że był to mieszaniec owczarka i pudła, ale ja w to nie wierzę. Nigdy nie widziałem na filmie psa, który by tak wyglądał. Gospodyni była sympatyczna, ale gospodarz okazał się draniem i - patrząc prosto w oczy - kłamał nawet wtedy, gdy sam mógł skorzystać na powiedzeniu prawdy. Długo rozprawał o inteligencji psów różnych ras, a za najbystrzejsze uważał owczarki i pudle, które właśnie dlatego są szczególnie cenne i zyskują na wartości, gdy „dla dodania temperamentu krzyżuje się je z labradorami”. Stek bzdur. Każdy wie, że owczarki i pudle nie są zbyt bystre. Potrafią odpowiadać na bodźce, reagować, ale nie myśleć samodzielnie. Zwłaszcza niebieskookie owczarki z Południa, którymi ludzie tak się zachwycają, kiedy któryś złapie plastikowy krążek. Owszem, są szybkie i zwinne, ale ich myślenie nie sięga daleko; zawsze trzymają się konwencji.

Jestem pewien, że mój ojciec był terierem. Bo teriery potrafią rozwiązywać problemy. Zrobią, co się im powie, ale tylko wtedy, gdy przypadkiem chciały zrobić właśnie to. Taki terier był na farmie. Airedale. Duży, brązowoczarny i groźny. Nikt go nie zaczepiał. Nie został z nami na ogrodzonej przestrzeni za domem. Mieszkał w stodole u stóp wzgórza, nad rzeczką, tam gdzie mężczyźni naprawiali swoje traktory. Czasem jednak wchodził na wzgórze i wtedy każdy go unikał. Na naszym polu wiadomo było, że to waleczny pies i że gospodarz trzyma go osobno, bo ten pies zabiłby innego za samo węszenie w jego pobliżu. Gdyby się który w niego wpatrywał, zdarłby mu sierść z karku. A kiedy jakaś suka miała cieczkę, dopadał ją i szedł dalej, obojętny na wszystko. Często się zastanawiałem, czy nie spółdził też mnie. Jestem, jak on, brązowoczarny i mam trochę kędzierzawą sierść, czasem słyszę więc, że pewnie jestem półterierem. Podoba mi się to, że przejąłem geny od psa rozpoznawalnej rasy.

Mam jeszcze w pamięci upał, jaki panował tego dnia, kiedy opuszczałem farmę. W Spangle każdy dzień był gorący i wydawało mi się, że cały świat jest właśnie taki, bo nigdy nie odczułem zimna. Nigdy nie widziałem deszczu i mało wiedziałem o wodzie. Starsze psy piły wodę z wiader, a gospodarz polewał nią z węża te, które kwapiły się do walki. Ale gdy zjawił się Denny, był wyjątkowo upalny dzień. Razem z innymi psami z mojego miotu szamotaliśmy się jak zawsze i w to kłębowisko wtargnęła nagle czyjaś ręka, chwyciła mnie za kark i zawisłem wysoko w powietrzu.

- Ten - powiedział ów mężczyzna.

Po raz pierwszy zobaczyłem wówczas, z kim spędzę resztę życia. Okazał się szczupłym mężczyzną o

długich i niewydatnych mięśniach. Nie był potężny, lecz sprawiał wrażenie pewnego siebie. Miał przenikliwie patrzące, zimnobłękitne oczy. Jego bujna czupryna i zaniedbana, krótka broda były ciemne i kędzierzawe, jak u teriera irlandzkiego.

- Doskonały wybór - pochwaliła gospodyni. Wydawała się serdeczną kobietą; zawsze mi się to podobało, że pieściła nas na swoich ciepłych kolanach. - Najsympatyczniejszy. Najlepszy pies.

- Zastanawialiśmy się, czy go nie zatrzymać - odezwał się gospodarz, wychodząc w oblepionych mułem wysokich butach z rzeczki, w której naprawiał płot. Zawsze tak mówił. Dobrze sobie, byłem dopiero kilkunastotygodniowym szczeniakiem, a już tyle razy słyszałem te słowa. Wypowiadał je, żeby więcej zarobić.

-Ale odda go pan?

- To zależy od ceny - odparł gospodarz, zerkając na niebo, które w ten słoneczny dzień było jasnobłękitne. - To zależy od ceny.

- BARDZO UWAŻNIE. JAKBY NA PEDAŁACH BYŁY JAJKA - POWTARZA ciągle Denny. - I jakby się nie chciało tych jajek rozbić. Właśnie tak trzeba prowadzić samochód w czasie deszczu.

Gdy razem oglądamy filmy wideo - a robimy to od dnia naszego poznania - te rzeczy Denny objaśnia mnie. (Mnie!). Zrównoważenie, umiejętność przewidywania, cierpliwość. Wszystko się liczy. Dostrzeganie tego, co z boku, i rzeczy nieoglądanych wcześniej. Wycucie kinestetyczne, intuicyjne prowadzenie. A najbardziej lubię, kiedy mówi o zbyteczności pamięci. On nawet przez sekundę nie chce pamiętać, co robił. Nie chce zapamiętywać ani dobrego, ani złego. Ponieważ pamięć cofa czas. Oddala od teraźniejszości. Kierowca, który chce osiągnąć sukces w wyścigach samochodowych, nie powinien niczego pamiętać.

I dlatego kierowcy mają nawyk rejestrowania każdego ruchu taktycznego, każdego wyścigu kamerami na maskach, sprzętem wideo wewnątrz samochodu oraz przez nanoszenie danych; żaden kierowca nie może być świadkiem własnej wielkości. Tak mówi

Denny Twierdzi, że wyścigi to działanie. Obecność w danej chwili, i uświadomienie sobie tylko jej. Refleksja musi pojawiać się później. Wielki mistrz, Julian Sabelle Rosa, powiedział: „Kiedy się ścigam, mój umysł i moje ciało pracują tak szybko i tak zgodnie, że me mogę sobie pozwolić na myślenie, abym nie popełnił fatalnego błędu .

Z FARMY W SPANGLE DENNY ZABRAŁ MNIE DALEKO, BO AŻ DO miasteczka Leschi w okolicy Seattle, gdzie nad jeziorem Waszyngton wynajmował niewielkie mieszkanie. Niezbyt mnie to ucieszyło, iż trzeba będzie tak żyć, przywykłem przecież do rozległych otwartych przestrzeni, a poza tym byłem jeszcze bardzo młodym szczeniakiem. Mieliśmy jednak balkon z widokiem na jezioro, który sprawiał mi przyjemność, gdyż po części, ze strony matki, jestem psem wodnym.

Rosłem szybko, a w tamtym - moim pierwszym - roku Denny i ja szczerze się do siebie przywiązaliśmy i nabraliśmy wzajemnego zaufania. Dlatego byłem zdziwiony, że w bardzo krótkim czasie zakochał się w Eve.

Denny przyprowadził ją do domu; ładnie pachniała, jak on sam. Pobudzeni tym, co wypili, zaczęli się dziwnie zachowywać, wisieli na sobie i chyba przeszkadzały im ubrania, lgnęli do siebie, gryźli S1Ç w usta, dźgali palcami, szarpali za włosy, spotykały się ich łokcie, Palce u nóg i ślina. Padli na łóżko, Denny wszedł w nią i usłyszał:

- Uważaj, to pole jest urodzajne! Na to on:

- Zgadzam się na tę urodzajność.

I orał pole, póki nie zaczęło ono ścisnąć w rękach prześcieradła, nie wygięto pleców i nie krzyknęto z rozkoszy.

Kiedy Denny wstał, żeby się opłukać w łazience, ona pogłaskała mnie po łbie, który trzymałem tuż nad podłogą, bo przecież byłem jeszcze niedojrzałym psem, dopiero co skończyłem rok, a usłyszany krzyk trochę mnie speszył. Eve powiedziała:

- Nie masz chyba nic przeciwko temu, żebym ja też go kochała. Między was nie wejść.

Samo pytanie wzbudziło we mnie szacunek, choć wiedziałem, że jednak wejście między nas, i uznałem wyrzeczenie się przez nią pierwszeństwa za nieszczerze.

Starałem się jej nie zrażać, bo zdawałem sobie sprawę, że Denny bardzo się w niej zadurzył. Ale muszę przyznać, że jej obecność mnie nie cieszyła. Oboje staliśmy się satelitami słońca, którym był Denny, i walczyliśmy o przewagę grawitacyjną. Jej oczywiście pomagały język i kciuki; kiedy czasem patrzyłem, jak Eve go całuje i pieści, ona zerknęła na mnie i mrugała porozumiewawczo, jakby chciała się pochwalić: „Popatrz na moje kciuki! Widzisz, co one potrafią?!“.

## MAŁPY MAJĄ KCIUKI.

Zaraz po dziobakach, które ryją sobie nory pod wodą, choć oddychają powietrzem, jest to właściwie najgłupszy gatunek na naszej planecie. Dziobak odznacza się straszliwym kretynizmem, ale jest tylko trochę głupszy niż małpa. A ta ma kciuki. Małpie kciuki były przewidziane dla psów. „Cholerne małpy, oddajcie mi kciuki!”. (Zachwyca mnie remake Człowieka z blizną, z Alem Pacino, choć nie wytrzymuje porównania z doskonałymi częściami Ojca Chrzestnego).

Zbyt długo oglądam telewizję. Kiedy Denny rano wychodzi, włącza dla mnie telewizor, to już stało się zwyczajem. Przestrzegł mnie, żebym nie patrzył przez cały dzień, ale ja tak właśnie robię. Na szczęście wie, że kocham samochody, często więc pozwala mi oglądać Speed Channel. Najlepsze są klasyczne wyścigi, podoba mi się zwłaszcza Formuła 1. Lubię też NASCAR, ale wolę, kiedy S1C ścigają na torach drogowych. Choć przepadam za wyścigami, Potrzeba mi - jak mówi Denny - urozmaicenia w życiu, nierzadko włącza więc i inne kanały, co również mnie bardzo cieszy.

Gdy czasami oglądam History Channel, Discovery Channel, PBS albo nawet któryś z kanałów dziecięcych - kiedy Zoe była mała, zdarzało mi się przez pół dnia daremnie uwalniać mózg od jakichś głupich melodyjek - poznaję inne kultury i style życia; zaczynam rozmyślać o swym własnym miejscu na tym świecie, zastanawiam się, co ma sens, a co go nie ma.

Wiele mówi się o Darwinie, prawie każdy kanał edukacyjny prędzej czy później nadaje jakiś program o ewolucji, zazwyczaj przemyślany i oparty na solidnych badaniach. Nie rozumiem jednak, dlaczego

ludzie upierają się przy tym, by przeciwstawiać sobie teorię ewolucji oraz ideę stworzenia świata. Ewoluuja i ciała, i dusze, a wszechświat jest środowiskiem, które się zmienia, sprawiając, iż ciało i dusza zostają sobie zaślubione we wspólnie istocie, jaką jest człowiek - cóż błędnego w tej myśli?

Teoretycy rozprawiają wciąż o najbliższym ewolucyjnym pokrewieństwie małp i ludzi. Ale to spekulacje. Na czym oparte? Na tym, że jakieś starodawne czaszki okazały się podobne do czaszki współczesnego człowieka. A czego to niby dowodzi? Takie spekulacje opiera się też na tym, że niektóre naczelnie chodzą na dwóch nogach. A dwunożność wcale nie jest zaletą. Wystarczy spojrzeć na ludzką stopę z powyginanymi palcami, pozostałościami wapnia i wysychającą ropą, która się zbiera wokół wrosniętych pazurów, nie dość twardych, by rozdrapywać ziemię. (Mimo wszystko nie mogę się doczekać chwili, w której moja dusza zamieszka jedno z tych źle skonstruowanych dwunożnych ciał i będę miał typowe dla człowieka kłopoty ze zdrowiem!). Cóż z tego, że ludzkie ciało jest, dzięki ewolucji, udoskonaleniem małpiej postaci? To nieważne, czy człowiek pochodzi od małpy, czy od ryby. Ważne natomiast jest to, że gdy ciało stało się wystarczająco „ludzkie”, do jego wnętrza przeniknęła pierwsza ludzka dusza.

Przedstawię wam pewną teorię: wbrew opiniom ludzi występujących w telewizji, najbliższym krewnym człowieka nie jest szympan, lecz pies.

Oto mój logiczny wywód: Argument 1: Ostroga

Moim zdaniem tak zwana ostroga, którą często usuwa się z przedniej łapy szczeniaka, stanowi właściwie szczątkową formę kciuka. Uważam ponadto, że człowiek z premedytacją pozbawił pewne rasy psów kciuka, i to poprzez skomplikowany proces nazywany „hodowlą selektywną”, aby po prostu nie dopuścić do ewolucyjnej przemiany psów w zwinne - i dlatego „niebezpieczne” - ssaki.

Sądzę także, iż nieustanne osvajanie (być może komuś spodoba się ten eufemizm) psów przez człowieka bierze się z obawy, że te, pozostawione bez kontroli nad ich ewolucją, mogłyby faktycznie wyposażyć się w kciuki i mniejsze języki, przez co uzyskałyby przewagę nad ludźmi, którzy są powolni i niezdarni w swojej stojącej pozycji. Właśnie dlatego psy muszą pozostawać pod stałym nadzorem ludzi i są natychmiast zabijane, gdy je ktoś przyłapie na samodzielnym życiu.

To, co wiem od Denny'ego o wewnętrznych mechanizmach rządzenia, każe mi podejrzewać, że ów niecny plan został obmyślony gdzieś na zapleczu Białego Domu, pewnie przez jakiegoś doradzającego prezydentowi niegodziwca o wątpliwych kwalifikacjach moralnych i umysłowych; prawdopodobnie ów człowiek sformułował słuszną ocenę - niestety z pozycji paranoika, a nie kogoś zdolnego do duchowej introspekcji - i stwierdził, że wszystkie psy pragną Postępu w rozwiązywaniu kwestii społecznych.

Argument 2: Wilkołak

Pełnia księżyc. Mgła zalega na najniższych gałęziach świerków. Z najciemniejszego zakątka lasu wychodzi człowiek i zostaje przemieniony w...

Małpę?

Raczej nie.

NA IMIĘ MIAŁA EVE; NA POCZĄTKU GNIEWAŁO MNIE TO, ŻE TAK bardzo zmieniała moje życie. Złościło mnie zainteresowanie, jakie Denny okazywał jej małym dłoniom, pulchnym, okrągłym pośladkom, niewydatnym biodrom. Sposób, w jaki wpatrywał się w jej ciepłe, zielone oczy, które zerkały spod modnie różowych pasemek prostych, jasnych włosów. Czy zazdrościłem Eve jej czarującego uśmiechu, który odsuwał w cień wszystko, co niekoniecznie musiało się wydać nadzwyczajne? Chyba tak. Bo, w przeciwieństwie do mnie, była osobą ludzką. I to zadbaną. W przeciwieństwie do mnie. Przewyższała mnie pod każdym względem. Długo obchodziłem się - na przykład - bez strzyżenia i kąpieli; ona kąpała się codziennie i miała kogoś, kto zajmował się tylko nadawaniem jej włosom naturalnego odcienia, jaki upodobał sobie Denny. Moje paznokcie rosły tak długo, że w końcu drapałem nimi drewnianą podłogę; ona często dbała o swoje, używała nożyczek, szczypczyków, pilnika, żeby nadać im właściwy kształt i odpowiednią wielkość.

Dbłość o każdy szczegół wyglądu znajdowała odzwierciedlenie w osobowości Eve: była świetną organizatorką, kobietą drobiazgową z natury, ciągle sporządzała jakieś listy i zapisywała, co trzeba zrobić,

kupić, zamontować, często powstawały też listy spraw dla Denny'ego i dla mnie, typu: „Zrób to, kochanie”, przez co mieliśmy weekendy wypełnione wyprawami do wielkiego centrum artykułów gospodarstwa domowego, czyli Home Depot, albo czekaliśmy w kolejce w Georgetown, gdzie znajduje się punkt skupu złomu i przetwórnia surowców wtórnych. Nie cieszyło mnie malowanie pokoi, naprawianie gałek u drzwi i pranie zasłon. Ale Denny lubił chyba takie zajęcia, bo im więcej Eve ich przydzielała, tym szybciej wykonywał swoje zadania, aby zasłużyć na nagrodę - przeważnie czułość i pieszczoty.

Krótko po jej wprowadzeniu się do naszego mieszkania wzięli cichy ślub, na którym byłem razem z ich najlepszymi przyjaciółmi i najbliższymi krewnymi Eve. Denny nie miał rodzeństwa, które mógłby zaprosić, a nieobecność rodziców wyjaśnił tym, że po prostu źle znoszą podróże.

Rodzice Eve nie omieszkali obwieścić wszystkim, że dom, w którym odbywało się przyjęcie weselne, uroczy domek przy plaży na wyspie Whidbey, jest własnością ich - nieobecnych - serdecznych przyjaciół. Mnie pozwolono wziąć udział w przyjęciu pod warunkiem przestrzegania nienaruszalnej zasady: nie wolno mi było swobodnie biegać po plaży ani pływać w zatoce, abym nie naniósł piasku na kosztowne mahoniowe podłogi. A załatwiać się musiałem w wyznaczonym miejscu obok pojemników na śmieci.

Po naszym powrocie z Whidbey zauważyłem, że Eve porusza się po mieszkaniu z większą świadomością własnego autorstwa i o wiele odważniej przenosi z miejsca na miejsce różne rzeczy: ręczniki, bieliznę, nawet meble. Weszła w nasze życie i wszystko dokoła nas zmieniła. I choć jej wtargnięcie zmartwiło mnie, to jednak coś sprawiało, że nie zdobywałem się na prawdziwą złość: tym czymś był - jak sądzę - jej powiększający się brzuch.

Rzucał się w oczy wysiłek, z jakim kładła się na boku, żeby odpocząć, i sposób zdejmowania bluzki oraz tego, co pod spodem, i swobodne opadanie piersi w jedną stronę, gdy leżała na łóżku. Przypominała mi moją matkę w porze posiłku, która z westchnieniem układała się na ziemi i unosiła łapę, aby odsłonić sutki. „To właśnie nimi was karmię. Teraz jedzcie!”. Wtedy strasznie mnie złościła serdeczność Eve dla nienarodzonego dzieciątka, a z perspektywy czasu uświadamiam sobie, że nigdy nie dałem jej powodu do takiej samej serdeczności wobec mnie. Mój żal brał się chyba z tego, że Eve podobała mi się, gdy była w ciąży, a wiedziałem, iż nigdy nie wzbudzę w niej podobnej serdeczności, bo przecież nie mógłbym być jej dzieckiem.

Poświęciła się mu, zanim przyszło na świat. Poprzez mocno napiętą skórę wciąż dotykała dziecka. Śpiewała mu i tańczyła z nim przy muzyce ze stereofonicznego odtwarzacza. Nauczyła się sprawiać, żeby dziecko zmieniało pozycję, a mianowicie często piła sok pomarańczowy. Wyjaśniła mi, że - według magazynów o zdrowiu - powinna go pić ze względu na kwas foliowy, ale oboje wiedzieliśmy, że robi to, aby dziecko kopało. Kiedyś zapytała, czy chcę się przekonać, jakie to uczucie. Owszem, chciałem; napiła się więc znowu kwasu, przyłożyła mój pysk do swego brzucha i poczułem ruchy dziecka. Chyba przekornie wystawiło łokieć - mogło się wydawać, że coś wychynęło z grobu. Nie umiałem sobie dokładnie wyobrazić, co się dzieje za tamtą zasłoną, w czarodziejskim worku Eve, w którym zamontowany był ów króliczek. Ale wiedziałem, że to, co ona nosi w łonie, jest oddzielone od niej, ma własną wolę, porusza się, kiedy chce - albo kiedy działa kwas - a ona nie sprawuje nad nim kontroli.



Jestem pełen podziwu dla kobiet. Dla tych, co dają życie. To musi być cudowne - posiadać ciało, w którego wnętrzu mieści się cała żywa istota. (Oczywiście nie tasiemiec, który mnie się przytrafił. Tego nie można uznać za nowe życie. Jest to pasożyt i w ogóle nie powinien być się znaleźć w moich wnętrznościach). Życie, które nosiła w swym łonie Eve, było jej dziełem. Stworzyła owo życie razem z Dennyem. Wtedy pragnąłem, by to dziecko było podobne do mnie.

Pamiętam dzień, w którym przyszedł na świat. Właśnie stałem się dorosłym psem - według kalendarza ukończyłem dwa lata. Denny był w Daytonie na Florydzie, na wyścigach, które mogły przesądzić

o jego karierze. Cały rok szukał sponsorów, prosił, błagał, rozpychał się łokciami, aż w końcu udało mu się trafić na odpowiednią osobę w holu odpowiedniego hotelu i usłyszał:

- Ty masz jaja, chłopcze. Zadzwoń do mnie jutro.

W taki sposób Denny znalazł długo poszukiwane źródło dolarów ze sponsoringu i stać go było na miejsce w samochodzie porsche 993 i udział w wyścigu Rolex 24 Hours of Daytona.

Wyścigi wytrzymałościowe nie są dla mięczaków. Do każdego z głównych, potężnych, niełatwych do prowadzenia

1 kosztownych aut wyścigowych przypisanych jest czterech kierowców i dla każdego przewidziano sześciogodzinny sprawdzian koordynacji ruchów i determinacji. Wyścig 24 Hours of Daytona, pokazywany w telewizji, jest tyleż pasjonujący, co nieprzewidywalny. Denny miał szansę wziąć w nim udział w roku narodzin córki, co okazało się zbiegiem okoliczności, który był różnie interpretowany: Eve czuła się poirytowana owym niefortunnym nałożeniem się zdarzeń; Denny zaś wydawał się rozradowany tyloma dobrymi rzeczami i czuł, że ma wszystko, czego mógłby oczekiwać.

No i doszło do nałożenia się w czasie. W dniu wyścigu, choć do wyznaczonego terminu brakowało co najmniej tygodnia, Eve poczuła skurcze i wezwała akuszerki, które dokonały inwazji na nasz dom i szybko przejęły władzę. Późnym wieczorem, kiedy Denny zapewne wygrywał wyścig na torze w Daytonie, Eve stała pochylona nad łóżkiem, a dwie puszyste kobiety pomagały, przytrzymując jej ręce, potem zaś rozległ się niesamowity wrzask, który nie ustawał chyba przez godzinę, i wreszcie ukazała się zakrwawiona kulka z ludzkiej tkanki, wijąca się spazmatycznie, i coś wykrzyknęła. Kobiety pomogły Eve wejść do łóżka i położyły to czerwone maleństwo na jej piersiach, w końcu znalazło ono sutek Eve i zaczęło ssać.

- Czy mogłabym przez chwilę zostać sam na sam... ? - zapytała Eve.

- Oczywiście - odpowiedziała jedna z kobiet i ruszyła do drzwi.

- Pójdiesz z nami, szczeniaku - usłyszałem od drugiej, która właśnie wychodziła.

- Nie - powstrzymała ją Eve. - On może zostać.

Ja mogłem zostać? Mimo woli poczułem się dumny, że Eve włączyła mnie do swego „wewnętrznego kręgu”. Obie kobiety wyszły szybko, by zająć się tym, czym musiały się zająć, a mnie zafascynował widok

Eve karmiącej piersią maleństwo. Po paru minutach mój wzrok przeniósł się na twarz Eve i zobaczyłem, że ona płacze, lecz nie rozumiałem dlaczego.

Jej wolna ręka opadła na skraj łóżka, a palce znalazły się przy moim pysku. Zawahałem się. Nie chciałem uznać, że Eve wzywa mnie do siebie. Ale potem jej palce zaczęły się poruszać, uchwyciła swoim wzrokiem mój wzrok i wiedziałem, że tak właśnie jest - że mnie wzywa. Przeniosła palce na czubek mojego łba i - wciąż we łzach - zaczęła go drapać, a dziecko dalej ssało.

- Wiem, mówiłam mu, żeby jechał - odezwała się do mnie. - W'em, nalegałam na to, wiem.

Łzy spływały po jej policzkach. ~ Ale tak bym chciała, żeby tu był!

Nie miałem pojęcia, co robić, ale wiedziałem, że nie powinienem się ruszać. Eve potrzebowała mnie przy sobie.

- Czy obiecujesz, że zawsze będziesz ją chronić? - spytała. Nie pytała mnie. Pytała Denny'ego. Byłem jego namiastką.

Mimo to poczułem ciężar odpowiedzialności. Rozumiałem, że będąc psem, nigdy nie osiągnę takiej interakcji między sobą a ludźmi, jakiej bym pragnął. W tamtym momencie uświadomiłem sobie jednak, że mogę odgrywać inną rolę. Mogę być potrzebny ludziom wokół mnie. Mogę pocieszać Eve, kiedy Denny jest poza domem. I ochraniać dziecko Eve. Będę oczywiście zawsze liczyć na więcej, ale w pewnym sensie znalazłem punkt zaczepienia.

Następnego dnia Denny wrócił z Daytony na Florydzie, i to nieszczęśliwy. Ale zaraz poprawił mu się humor, gdy wziął na ręce swoją córeczkę, której dali na imię Zoë - nie po mnie, lecz po babci Eve.

- Czy widzisz mojego aniołka, Enz? - zapytał.

Czy widzę? Przecież właściwie pomogłem temu dziecku przyjść na świat!

Po powrocie Denny prześlizgiwał się ostrożnie przez kuchnię, czując pod stopami bardzo cienki lód. Od dnia narodzin Zoë byli w domu rodzice Eve, Maxwell i Trish, aby opiekować się córką i małą wnuczką. Nazwałem tych dwoje Bliźniętami, ponieważ wyglądali bardzo podobnie - z takim samym odcieniem farbowanych włosów i zawsze dopasowani do siebie pod względem ubioru: spodnie w kolorze khaki i luźne, poliestrowe damskie spodnie, a do tego swetry albo koszulki polo. Okulary słoneczne też nosili jednocześnie. Tak samo było z bermudami i podkolanówkami. Oboje pachnieli chemikaliami - mam na myśli tworzywa sztuczne i różne ropopochodne środki do pielęgnacji włosów.

Od chwili przyjazdu Bliźnięta wypominały Eve to, że urodziła w domu. Słyszała od nich, że naraża dziecko i że w tych czasach jest to po prostu brak odpowiedzialności, jeśli kobieta nie rodzi w szpitalu cieszącym się doskonałą opinią i pod opieką najdroższych lekarzy. Eve próbowała im wyjaśnić, że według statystyk, w przypadku zdrowej matki sprawdza się coś wręcz przeciwnego i że wszelkie nieprawidłowości zostałyby wcześniej wykryte przez jej zespół doświadczonych dyplomowanych akuserek, ale oni nie ustępowali. Na szczęście dla Eve, powrót Denny'ego do domu oznaczał, że

Bliźnięta odcepią się od niej i skupią się na jego wadach.

- Straszny pech - usłyszał Denny od Maxwella, kiedy razem stali w kuchni. Wyczuwałem w głosie Maxwella, że się sadyistycznie cieszył.

- Czy odzyskasz chociaż część pieniędzy? - spytała Trish. Denny był wytrącony z równowagi, a dlaczego, zrozumiałem

dopiero wtedy, gdy późno wieczorem zjawił się Mike i razem z Denny'ym zaczęli pić piwo. Okazało się, że Denny miał prowadzić jako trzeci. Samochód jechał dobrze, wszystko grało. Byli na drugim miejscu, a Denny łatwo wysunąłby się na czoło, ale słońce zaszło i zaczęła się nocna jazda. Trwała, póki ten, który prowadził jako drugi, nie wjechał w ścianę na szóstym zakręcie.

A wtedy właśnie przewagę uzyskiwał Daytona Prototype, o wiele szybszy samochód. Pierwsza zasada na wyścigach: nie usuwaj się na bok, żeby kogoś przepuścić; niech ten ktoś wyprzedzi ciebie. Ale inny kierowca z teamu Denny'ego zjechał z idealnego toru jazdy i od opon zaczęły odpadać kawałki gumy; potem takie kawałki gromadzą się tuż obok wyznaczonej linii. Kraksa sprawiła, że tył samochodu się przekreślił i wóz uderzył o ścianę niemal z maksymalną prędkością, po czym rozpadł się na milion drobnych fragmentów.

Kierowca nie ucierpiał, ale dla zespołu oznaczało to koniec wyścigów. A Denny, który przez cały rok przygotowywał się do chwili li triumfu, stał na wewnętrznym polu w dziwnym stroju, który otrzymał przed startem, z nazwami sponsorów na całej powierzchni, miał też specjalny kask, wyposażony w aparaturę radiową, adapter i - również specjalne - urządzenie chroniące szyję typu HANS, z włókna węglowego. Stał tak i patrzył, jak jego życiowa szansa znika z toru razem z człowiekiem, który rozbił wóz, znika na noszach, a on sam nie zdążył wykonać ani jednego okrążenia.

- I nie odzyskasz pieniędzy - stwierdził Mike.

- Nie zależy mi na tym - odparł Denny. - Powinienem być zostać tutaj.

- Ona urodziła się przed czasem. Trudno przewidzieć, co się wydarzy, póki się nie wydarzy.

-Ja potrafię - rzekł Denny. - Jeżeli w ogóle coś umiem, to właśnie przewidywać.

- Tak czy inaczej. - Mike podniósł butelkę z piwem. - Za Zoe.

- Za Zoe - podchwycił Denny.

„Za Zoe” - powtórzyłem w myślach. „Którą zawsze będę ochraniać”.

?

KIEDY BYLIŚMY TYLKO MY, DENNY I JA, ON POTRAFIŁ ZAROBIĆ w wolnym czasie - tak jak zapowiadała telewizyjna reklama -nawet dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie, telefonując do wielu ludzi. Ale gdy Eve zaszła w ciążę, Denny przyjął pracę za ladą w serwisie eleganckich samochodów, gdzie naprawiano wyłącznie drogie wozy niemieckie. Denny miał swoją prawdziwą pracę, ale pochłaniała ona cały jego wolny czas, w ciągu dnia nie byliśmy już więc razem - on i ja.

W niektóre weekendy Denny uczył w szkole doskonalenia kierowców, prowadzonej przez jeden z

wielu okolicznych klubów samochodowych - BMW, Porsche, Alfa Romeo - i często zabierał mnie na tor, co mi się bardzo podobało. Denny właściwie nie 'ubił tam uczyć, bo sam nie prowadził; musiał po prostu siedzieć na miejscu dla pasażera i pouczać innych, jak powinni kierować. I- jak mówił, pieniądze za to ledwo pokrywały koszty benzyny, które potrzebował, żeby tam dotrzeć. Marzyła mu się przeprowadzka ~ do Sonomy, Phoenix, Connecticut, Las Vegas, nawet do Europy i praca w jednej z wielkich szkół, w której części by sam prowadził, ale Eve mówiła, że chyba nie potrafiłaby wyjechać z Seattle.

Eve pracowała w jakiejś dużej firmie, która dostarczała odzież do sklepów - w ten sposób zapewniała nam wszystkim pieniądze i ubezpieczenie zdrowotne, a prócz tego mogła całą rodzinę zaopatrzyć w ubrania, na które miała przyznany rabat dla pracowników. Powróciła do pracy w kilka miesięcy po urodzeniu Zoë, choć wolałaby zostać z dzidziusiem w domu. Denny zaproponował, że zrezygnuje ze swojej pracy, żeby się zająć Zoë, ale Eve uznała to rozwiązanie za niepraktyczne; rano zostawiała córeczkę w żłobku, a pod wieczór zabierała ją stamtąd, wracając z pracy do domu.

Skoro Denny i Eve pracowali, a Zoë przebywała w żłobku, ja byłem zdany całkiem na siebie. Spędzałem większość koszmarnego dnia samotnie w mieszkaniu, chodząc z pokoju do pokoju, od jednego miejsca drzemki do drugiego, czasami zadowalałem się patrzeniem przez okno i obserwowaniem częstotliwości autobusów Metro, które tamtędy przejeżdżały, i próbowałem odgadnąć, jak przedstawia się ich rozkład jazdy. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo cieszy mnie - w tych pierwszych miesiącach życia Zoë - obecność wszystkich domowników. Czułem się nieodłączny od nich. Miałem swój udział w rozrywkach Zoë i czasami po karmieniu, kiedy malutka była rozbudzona, ciekawa wszystkiego i bezpiecznie siedziała na swoim foteliku, Eve i Denny rzucali do siebie przez cały salon kłębek skarpet, a pośrodku znajdował się „głupi jaś”, czyli właśnie ja. Podskakiwałem do tych skarpet, wracałem, żeby je złapać, a potem znów próbowałem je chwytać i tańczyłem jak czworonożny kłown. A kiedy, całkiem nieoczekiwanie, dosięgałem kłębka i pyskiem wzbijałem go w powietrze, Zoë piszczała, śmiała się i tak mocno wierzgała nóżkami, że fotelik przesunął się po podłodze. A Eve, Denny i ja pokładaliśmy się ze śmiechu.

Później jednak wszyscy troje zniknęli z domu i zostawili mnie.

Nurzałem się w pustce spędzanych samotnie dni. Wyglądałem przez okno i wyobrażałem sobie Zoë i siebie, zajętych zabawą, którą ja wymyśliłem, a Zoë potem nazwała ją „Enno, przyniesie”. Polegała na tym, że Denny albo Eve pomagali jej przetrząść kłębek skarpet czy rzucić jakąś zabawkę w drugi koniec pokoju, po czym ja pchałem ją pyskiem w stronę Zoë, która się śmiała, a gdy zamerdałem ogonem, powtarzaliśmy zabawę. I oto któregoś dnia pewne pomyślne zdarzenie odmieniło całe moje życie. Rano Denny włączył telewizor, aby zobaczyć prognozę pogody,

1       zapomniał go wyłączyć.

Powiem wam tak: Weather Channel to nie kanał o pogodzie; mówi się tam o świecie! Chodzi o wpływ pogody na każdego z nas, o całą globalną gospodarkę, zdrowie, szczęście, nastrój. Ten kanał bardzo dokładnie przedstawia rozmaite zjawiska meteorologiczne: huragany, cyklony, tornada, monsuny, grady, deszcze, burze z piorunami, a szczególnie sobie upodobał zbieżność zjawisk. Doprawdy fascynujące. Aż tak mnie to zajęło, że jeszcze byłem przyklejony do telewizora, gdy Denny wrócił wieczorem z pracy.

- Co oglądasz? - rzucił do mnie. Zapytał tak, jakbym był Eve albo Zoë, jakby nie istniało nic bardziej naturalnego niż pies przed telewizorem i takie właśnie zwrócenie się do mnie. Eve gotowała w kuchni obiad i miała przy sobie Zoë, w pokoju byłem tylko ja. Popatrzyłem na Denny'ego i znów na telewizor, w którym omawiano wielkie wydarzenie owego dnia, mianowicie spowodowaną przez ulewne deszcze powódź na Wschodnim Wybrzeżu.

- Weather Channel? - zaśmiał się Denny i zaraz sięgnął po pilota, żeby zmienić kanał. - O, tutaj.

Zmienił na Speed Channel.

Kiedy dorastałem, często i długo oglądałem telewizję, ale tylko

2 kimś: Denny i ja lubiliśmy wyścigi oraz kanały filmowe; Eve i ja wpatrywaliśmy się w muzyczne wideoklipy i słuchaliśmy ploteczek z Hollywood; Zoe i ja patrzyliśmy na programy dla dzieci. (Próbowałem nauczyć się czytać przez uważne oglądanie Ulicy Sezamkowej, ale nic z tego nie wyszło. Do pewnego stopnia pokonałem swój analfabetyzm i jeszcze dziś potrafię odróżnić „ciągnąć” (pull) od „pchać” (push) na drzwiach, ale kiedy już zacząłem rozpoznawać kształty liter, nie umiałem pojąć, który dźwięk odpowiada której literze i dlaczego). Nagle jednak pojawił się w moim życiu pomysł samodzielnego oglądania telewizji! Gdybym był postacią z kreskówki, nad moim łbem zapaliłaby się żarówka. Na widok samochodów, które ściagały się na ekranie, zaszczekałem z przejęcia. Denny wybuchnął śmiechem.

- To lepsze, prawda?

Tak! Lepsze! Przeciągnąłem się mocno, radośnie i najlepiej, jak umiałem, odegrałem rolę psa: z pyskiem skierowanym w dół i merdającym ogonem - na te dwa sposoby okazuję uszczęśliwienie i aprobatę. A Denny zrozumiał.

- Nie wiedziałem, że jesteś psem telewizzem - powiedział. - Jeśli chcesz, mogę zostawiać telewizor włączony za dnia, żebyś mógł sobie oglądać.

Chcę! Chcę!

- Ale musisz się ograniczać - przestrzegł. - Nie chciałem cię przyłapać na patrzeniu przez cały dzień. Liczę na twoje poczucie odpowiedzialności.

Jestem odpowiedzialny!

Do tamtego momentu w moim życiu - a miałem wtedy już trzy lata - nauczyłem się niemało, lecz moja nauka nabrała tempa, odkąd Denny zaczął mnie zostawiać sam na sam z włączonym telewizorem. Skończyła się nuda, czas znów płynął szybko. Weekendy, kiedy wszyscy byliśmy w domu, wydawały się krótkie i wypełnione zajęciami, niedzielne wieczory mijały przyjemnie, ale trochę melancholijnie, więc wielkim pocieszeniem dla mnie była perspektywa tygodnia z telewizorem.

Ta rozrywka tak mnie zaabsorbowała, że chyba straciłem rachubę kolejnych tygodni i zaskoczyły mnie drugie urodziny Zoë. Nagle znalazłem się w samym środku imprezy dla tłumu maluchów poznanych w

parku i łożbku. Było głośno, dużo się działo; wszystkie dzieci bawiły się ze mną i tarmosiły mnie na dywanie, a ja pozwoliłem nawet, żeby mi założyły kapelusz i bluzę od dresu, Zoë zaś nazwała mnie swoim wielkim bratem. Dzieci zapaćkały podłogę tortem cytrynowym, musiałem więc pomóc Eve w sprzątanii, a tymczasem Denny otwierał z dziećmi prezenty. Przyszło mi na myśl, że to dobrze, iż Eve tak chętnie sprząta ten bałagan, a przecież czasem narzekała, gdy któreś z nas nabrudziło i trzeba było doprowadzić mieszkanie do porządku. Eve zażartowała nawet z mojego talentu do zbierania okruszków i ścigaliśmy się - ona z odkurzaczem w rękę, a ja z językiem w pysku. Kiedy wszyscy goście wyszli i każde z nas posprzątało swoją część, Denny wystąpił z prezentem niespodzianką dla Zoë. Pokazał córce zdjęcie, na które ta tylko spojrzała przelotnie, bez większego zainteresowania. Gdy to samo zdjęcie pokazał żonie, ona się rozplakała. Ale po chwili zaczęła się śmiać, uściśkała Denny'ego, znów spojrzała na zdjęcie i jeszcze raz zebrało jej się na płacz. Denny wziął zdjęcie ze stołu i pokazał je mnie - była to fotografia domu.

- Popatrz na to, Enzo - powiedział. - To twoje nowe podwórko. Nie cieszysz się?

Chyba się ucieszyłem. A właściwie byłem zdezorientowany. Nie rozumiałem, co z tego mogło wyniknąć. Potem zaś zaczęło się pakowanie rzeczy do pudeł, krzątanina i niebawem moje legowisko znalazło się całkiem gdzie indziej.

To był ładny dom. Nieduży, w stylu Craftsman, z takich, jakie Widziałem w This Old House, z dwiema sypialniami i tylko jedną łazienką, ale przestronny i zbudowany tuż obok sąsiednich domów na zboczu jednego ze wzgórz w Okręgu Centralnym. Ustawione wzdłuż chodnika słupy były połączone ze sobą mnóstwem przewodów elektrycznych. Nasz dom wyglądał schludnie, porządnie, ale trochę dalej stały inne, z zaniedbanymi trawnikami, odpadającym tynkiem i mchem na dachach.

Eve i Denny zakochali się w tym domu. Prawie całą pierwszą noc spędzili na tarzaniu się nago z pokoju do pokoju, omijając tylko ten, w którym spała Zoë. Kiedy Denny wracał z pracy, witał się najpierw z dziewczynami, potem zabierał mnie przed dom i rzucał mi piłkę, którą chętnie mu przynosiłem. A później Zoë podrosła na tyle, że mogła już z piskiem biegać wkoło, kiedy udawałem pościg za nią. Eve przestrzegała:

- Nie biegaj tak, bo Enzo cię ugryzie.

W pierwszych latach często tak mówiła, jakby nie miała do mnie zaufania. Ale któregoś dnia Denny odwrócił się nagle w stronę Eve i powiedział:

- Enzo nigdy by jej nie skrzywdził, nigdy!

I miał rację. Wiedziałem, że różnię się od reszty psów. Miałem pewną siłę woli, wystarczyło jej, aby zwalczyć gorsze instynkty. Eve nie mówiła zresztą od rzeczy, bo przecież większość psów nie potrafi nad sobą zapanować: na widok innego zwierzęcia idą jego śladem, żeby owo zwierzę dopaść. Ale mnie to nie dotyczy.

Tyle że Eve o tym nie wiedziała, a ja nie umiałem jej tego wytłumaczyć. Tak czy inaczej, nigdy nie okazywałem agresji wobec Zoë. Nie chciałem bez potrzeby martwić Eve. Bo już coś wywęszyłem. Gdy

Denny był poza domem, a Eve mnie karmiła i pochylała się z moją miską, a ja miałem nos obok jej głowy, wyczuwałem przykry zapach, jakby gnijącego drewna, grzybów, rozkładu. Rozkładania się czegoś w wilgoci. Zapach ten pochodził z jej uszu i zatok. W głowie Eve znajdowało się coś obcego.

Gdybym umiał posłużyć się językiem, przestrzegłbym ich. Zwróciłbym uwagę obojga na jej stan znacznie wcześniej, niż oni by go wykryli dzięki różnym maszynom, komputerom i aparaturze, która widzi wszystko wewnątrz głowy. Ludzie myślą pewnie, że te maszyny są zmyślne, a tak naprawdę jest to toporny złom, umieją tylko odbijać stan rzeczywisty, ich konstrukcje oparto na filozofii -zawsze o krok spóźnionego - rozpoznania objawów. Mój nos - mój czarny nosek, śliczniutki i jakby skórzany - zdołał wyczuć chorobę w mózgu Eve o wiele wcześniej, niż sama Eve się dowiedziała o jej istnieniu.

Ale nie umiałem posłużyć się językiem. Mogłem więc tylko obserwować i czuć wewnętrzną pustkę - Eve powierzyła właśnie mnie ochronę Zoë we wszelkich okolicznościach, nikomu jednak nie polecono ochraniać Eve. A ja nie mogłem jej w żaden sposób pomóc.

8 •

PEWNYM LETNIM, SOBOTNIM POPOŁUDNIEM WRÓCILIŚMY DO domu czerwoni i zmęczeni słońcem;



byliśmy rano na plaży w Alki, gdzie pływaliliśmy i jedliśmy ryby z frytkami od Spuda. W domu Eve położyła Zoë spać; Denny i ja zasiedliśmy przed telewizorem, żeby coś poobserwować.

Denny włożył do odtwarzacza film z wyścigu wytrzymałościowego w Portland sprzed kilku tygodni, gdzie poproszono go o jazdę w zespole. Był to pasjonujący wyścig, trwał osiem godzin, a w tym czasie Denny i dwaj pozostali kierowcy zmieniali się co dwie godziny, zresztą właśnie ten zespół wygrał w swojej klasie dzięki bohaterkiej walce Denny'ego w ostatnich momentach - zdołał nie dopuścić do obrócenia się wozu wokół własnej osi i jeszcze wyprzedził dwóch rywali.

Oglądanie wyścigu na filmie kręconym z wnętrza samochodu jest wspaniałym przeżyciem. Uzyskuje się cudowne poczucie perspektywy, często zatracone w przekazie telewizyjnym, w którym jest wiele kamer i mnóstwo aut do obserwowania. Kto patrzy na wyścig z przedniego siedzenia wozu, ten potrafi sobie wyobrazić, co naprawdę czuje kierowca: mocne uchwycenie kierownicy, pęd, tor, zerkanie w lusterko na inne samochody, wyprzedzające albo wyprzedzane, świadomość własnego wyizolowania, skupienie i determinacja, które są potrzebne, aby zwyciężyć.

Denny zaczął projekcję od początku końcowego etapu, kiedy tor był wolny, a niebo mocno zachmurzone i zapowiadało się na więcej deszczu. Kilka okrążeń obejrzelśmy w milczeniu. Denny prowadził spokojnie i prawie całkiem samotnie, ponieważ jego zespół został w tyle po bardzo ważnej decyzji o zmianie opon na deszczowe; inne zespoły przewidziały, że deszcz ustanie i tor będzie znowu suchy, zyskały więc co najmniej dwa okrążenia przewagi nad ekipą Denny'ego. Ale znów zaczęło padać i Denny wielce na tym skorzystał.

Szybko i bez trudu wyprzedzał samochody innych klas: zbyt słabo zasilane mazdy miały o zbyt słabych silnikach, które na zakrętach doskonale utrzymywały równowagę; wielkosilnikowe dodge'e vipery, toporne w prowadzeniu. Denny mknął przez deszcz swym szybkim i muskularnym porsche cup car.

-Jak to możliwe, że pokonujesz zakręty dużo szybciej, niż robią to inne samochody? - zapytała Eve.

Spojrzałem w górę. Eve stała w drzwiach i patrzyła razem z nami.

- Większość z nich nie ma deszczowych opon - wyjaśnił Denny. Eve usiadła przy nim na sofie.

- Ale niektóre mają.

- Tak, niektóre mają - powiedział Denny.

Patrzyliśmy. Pod koniec prostej Denny znalazł się za żółtym eamaro i mógłby zapewne wyprzedzić tamten wóz na dwunastym zakręcie, ale się powstrzymał. Eve to zauważyła.

~ Dlaczego go nie wyprzedziłeś? - zaciekała się.

- Znam go. Ma za duży potencjał i po prostu wyprzedziłby znów na prostej. Chyba odpędziłem go na którymś z kolejnych zakrętów.

Tak. Przy wjeździe w następny zakręt Denny był oddalony tylko o kilkanaście centymetrów od tylnego zderzaka camaro. Zakręt w prawo, z dwoma punktami szczytowymi, Denny pokonał tuż przy bandzie, a wyszedł z zakrętu tak, żeby być na wewnętrznym pasie przed kolejnym szybkim skrętem w lewo, i przemknął obok rywala.

- Na tej części toru podczas deszczu jest naprawdę ślisko - powiedział. - Tamten musi pozostać sporo w tyle. Zanim nadrobi stratę, znajdzie się już poza jego zasięgiem.

I znów na prostej, pokazanej w panoramicznym wyświetlaczu lusterka Denny'ego, widać było - dzięki przednim światłom, które ukazywały oznaczenia toru na tle jeszcze niecałkiem ciemnego nieba - camaro, które zniknęło gdzieś z tyłu.

- Czy on miał opony deszczowe? - dociekała Eve.

- Chyba tak. Ale jego samochód nie został dobrze wyregulowany.

- Ty jednak prowadzisz, jakby tor nie był mokry, a wszyscy inni jadą tak, jak gdyby był.

Z dwunastego zakrętu znowu wyjście na prostą i w oddali migają długie światła rywali, następnych ofiar Denny'ego.

- Przyszłość pokaże, na co naprawdę cię stać - powiedział wolno Denny.

- Co mówisz? - spytała Eve.

- Kiedy miałem dziewiętnaście lat - odezwał się po chwili Denny - i byłem na pierwszym kursie dla kierowców w Sears Point, właśnie padało; próbowali nas nauczyć prowadzenia samochodu w deszczu. Wszyscy słuchacze byli zupełnie skonfundowani, gdy poznali sekrety ujawnione przez instruktorów. Nie mieliśmy pojęcia, o czym ci ludzie mówili. Zerknąłem na sąsiada - pamiętam go, pochodził z Francji, bardzo szybko też kojarzył. Gabriel Flouret. Uśmiechnął się i powiedział: „Przyszłość pokaże, na co naprawdę cię stać”.

Eve wydeła dolną wargę i spojrzała z ukosa na Denny'ego.

- I potem wszystko stało się zrozumiałe - pozwoliła sobie na żart.

- To prawda - odpowiedział poważnie Denny.

Na ekranie telewizora wciąż padało, deszcz nawet się nasilał. Zespół Denny'ego dokonał właściwego wyboru; inne wozy zbaczały do zatoczek, żeby wymienić opony.

- Kierowcy boją się deszczu - wyjaśnił Denny. - Deszcz uwypukla ich błędy, a woda na torze może sprawić, że prowadzenie stanie się nieprzewidywalne. Kiedy dzieje się coś, czego nie można przewidzieć, trzeba reagować, a reakcja przy wielkiej prędkości jest zbyt późna. I dlatego należy się bać.

-Ja się boję już teraz, kiedy to oglądam - przyznała się Eve.

-Jeśli umyślnie zmuszam samochód do czegoś, to potrafię przewidzieć, jak on się zachowa. Inaczej mówiąc, nieprzewidywalny jest tylko wtedy, gdy nad nim ...nie panuję.

- A więc obracasz samochodem, zanim on sam to zrobi? - zapytała Eve.

- Otóż to! Jeśli ja inicjuję manewr, jeśli pozwolę, by wóz się trochę ślizgał, to zawczasu wiem, co się stanie. Muszę wtedy zareagować, zanim samochód zrozumie, co się dzieje.

-1 potrafisz tak?

Na ekranie telewizyjnym tył jego samochodu, szybko wyprzedzający inne wozy, nagle się przesunął i auto zbczyło, ale ręce Denny'ego już przywracały właściwy kierunek i samochód nie wykonał pełnego obrotu, lecz popędził znów przed siebie, pozostawiając inne w tyle. Eve złapała się za głowę i zaraz westchnęła z ulgą.

- Czasami - odparł po chwili Denny. - Ale wszystkim kierowcom się zdarza, że kręcą bąki. Tak jest, kiedy szuka się granicy przyczepności. Ja nad tym pracuję. Ciągłe nad tym pracuję. A wtedy miałem dobry dzień.

Eve jeszcze przez moment posiedziała z nami, potem, jakby niechętnie, uśmiechnęła się do Denny'ego i wstała.

- Kocham cię - powiedziała. - Kocham was wszystkich i nawet twoje wyścigi. Podświadomie wiem, że masz zupełną rację, zajmując się tym wszystkim. Ale sama chyba bym się nigdy na to nie zdobyła.

Eve wyszła do kuchni, a Denny i ja dalej oglądaliśmy samochody, które krążyły w ciemnościach.

Patrzenie na filmy razem z Denny'ym nigdy mnie nie znudzi. On tak dużo wie, a ja tyle się od niego dowiaduję! Wtedy już się do mnie nie odzywał, po prostu oglądał swoje filmy. Moje myśli zwróciły się zaś ku temu, czego mnie właśnie nauczył. Takie proste stwierdzenie, a tyle w nim prawdy: przyszłość pokaże, na co naprawdę nas stać; jesteśmy twórcami własnego losu. Czy świadomie, czy też nie, my sami - nikt inny - zapewniamy sobie sukcesy i narażamy się na niepowodzenia.

Zastanawiałem się, w jakim stopniu mogłoby się to stwierdzenie odnosić do moich relacji z Eve. Owszem, miałem do niej pewien żal o to, że weszła w nasze życie; wiem też, że ona ten żal wyczuła i chroniła się za zasłoną rezerwy wobec mnie. Choć pojawienie się Zoë bardzo poprawiło nasze kontakty, to między Eve a mną jednak istniał wciąż pewien dystans.

Zostawiłem Denny'ego przed telewizorem i poszedłem do kuchni. Eve gotowała obiad, spojrzała jednak na mnie.

- Znudził cię ten wyścig? - zapytała bez większego zainteresowania.

Nie byłem znudzony. Mógłbym oglądać wyścigi przez cały dzień i następnego dnia też do wieczora. Chciałem coś zamanifestować. Położyłem się w moim ulubionym miejscu, obok lodówki, żeby odpocząć.

Wyczułem zdziwienie Eve moją obecnością. Kiedy Denny był w domu, przeważnie pozostawałem przy

nim; ale wybrałem jej towarzystwo, co wytrąciło ją chyba z równowagi. Nie rozumiała moich intencji. Zajęła się znów obiadem i zapomniała o mnie.

Najpierw smażyła hamburgery, które dobrze pachniały. Później opłukała i wysuszyła zieloną sałatę. Pokroiła jabłka. Do garnka wrzuciła trochę cebuli i czosnku, wlała przecier pomidorowy. W kuchni pojawiło się wiele różnych zapachów. Oszłomiły mnie te wonie, podziałał też upał, więc chyba zasnąłem, a przebudziły mnie jej ręce na mojej sierści. Poczułem, że Eve głaszcze mnie po boku i drapie w brzuch, dlatego przewróciłem się na wznak, by potwierdzić jej dominację; w nagrodę ucieszyła mnie dalszym drapaniem.

- Kochany piesek - powiedziała. - Kochany piesek.

Powróciła do przygotowywania obiadu i tylko od czasu do czasu, mijając mnie, ocierała bosą stopę o mój kark - właściwie nic takiego, ale dla mnie znaczyło to wiele.

Zawsze chciałem pokochać Eve, tak jak ją kochał Denny, jednak nigdy się na to nie odważyłem, po prostu ze strachu. Ona była moim deszczem. Nieprzewidywalnym żywiołem. Moim lękiem. Ale kierowca, który bierze udział w wyścigach, nie powinien się bać deszczu, taki kierowca powinien się godzić z tą możliwością. Sam mogłem tego dokonać, próbując zainicjować pewne zmiany wokół siebie. Dzięki odmienionemu nastrojowi i nowemu potencjałowi energii sprawiłem, że Eve spojrzała na mnie inaczej. I chociaż nie mógłbym siebie nazwać panem własnego losu, ośmielę się powiedzieć, że zobaczyłem, na czym panowanie nad nim winno polegać. I wiem też, do czego dążyć.

KILKA LAT PO NASZEJ PRZEPROWADZCE DO NOWEGO DOMU ZDARZYŁO się coś przerażającego.

Denny został dołączony do jednego z zespołów na wyścigi w Watkins Glen. Znow chodziło o wyścigi wytrzymałościowe, ale zespół miał już pewną renomę i Denny nie musiał zbierać od sponsorów całej sumy na opłacenie udziału w zawodach. Wcześniej, tej samej wiosny, był we Francji, gdzie uczestniczył w programie testów Formuły Renault. Denny'ego nie było stać na udział w tym programie; Mike usłyszał od niego, że start zafundowali mu rodzice; ale ja miałem wątpliwości. Rodzice Denny'ego mieszkali bardzo daleko, w jakimś małym miasteczku, i póki byłem z Dennyem, nigdy nie odwiedzili syna. Nie przyjechali ani na ślub, ani wtedy, gdy urodziła się Zoë, ani w ogóle nigdy. Wszystko jedno. Ktokolwiek był sponsorem, Denny wziął udział w tamtym programie i dobrze trafił, bo przypadł on na - zwykle deszczową - francuską wiosnę-Opowiadając Eve o tym, wspomniał, że po którymś treningu zwrócił się do niego jeden z obserwatorów wyścigów i zapytał:

- Czy na suchym torze jeździ pan równie szybko, jak na mokrym?

Denny popatrzył mu prosto w oczy i bez wahania odpowiedział:

- Proszę mnie wypróbować. Przyszłość pokaże, na co naprawdę cię stać.

Tamten poszukiwacz talentów zaproponował Denny'emu testy, które trwały dwa tygodnie. Denny testował, regulował nastawy auta, odbywał treningi. Była to wielka sprawa. Radził sobie tak wspaniale, że zaproponowano mu miejsce na wyścigach wytrzymałościowych w Watkins Glen.

Kiedy Denny wyjeżdżał po raz pierwszy do Nowego Jorku, wszyscy uśmiechaliśmy się do siebie, bo nie mogliśmy się już doczekać transmisji z wyścigów na Speed Channel.

- Coś takiego! - cieszyła się Eve. - Tato jest zawodowym kierowcą na wyścigach!

A Zoë, którą bardzo kocham i za którą bez wahania oddałbym życie, z okrzykami radości wskoczyła do swej miniatarki samochodu wyścigowego, którą rodzice trzymali dla niej w salonie, potem krążyła samochodzikiem tak długo, że wszystkim nam zakręciło się w głowach, aż wreszcie wyrzuciła w górę rączki i oznajmiła: „Ja jestem mistrzynią!”.

Tak się zaraziłem jej radosnym podnieceniem, że zacząłem robić idiotyczne rzeczy typowe dla psów, między innymi rozkopałem trawnik. Zamieniłem się też w piłkę, a potem rozciągnąłem się na podłodze; byłem długi i cienki, łapy miałem wyprostowane, grzbiet wygiął się w łuk i pozwalałem im, by drapały mnie po brzuchu. Uganiałem się także za różnymi rzeczami. Tak, uganiałem się!

Były to najwspanialsze chwile. Naprawdę. A potem nadeszły chwile najgorsze.

W dniu wyścigów Eve obudziła się w złym stanie. Czuła tak nieznośny ból, że już wcześniej rano, zanim

Zoë otworzyła oczy, mocno wymiotowała do zlewu. Były to takie torsje, jakby nicowała samą siebie.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje, Enzo - usłyszałem od niej. A rzadko zdobywała się wobec mnie na szczerość. Tak rozmawia ze mną Denny: jakbym był jego prawdziwym przyjacielem, bratnią duszą. Po raz ostatni słyszałem taki ton Eve wówczas, gdy urodziła się Zoë.

Tym razem jednak naprawdę czułem, że ona widzi we mnie bratnią duszę. Zapytała:

- Co się ze mną dzieje?

Wiedziała, że nie potrafię odpowiedzieć. Było to pytanie retoryczne. I właśnie niemożność udzielenia odpowiedzi mnie przygnębiała.

Zdawałem sobie sprawę, co jest nie w porządku, ale nie miałem jak o tym powiedzieć, dotykałem więc pyskiem jej uda. Schowałem nos między jej nogami. I, wystraszony, czekałem.

- Czuję się tak, jakby mi ktoś rozbijał czaszkę - wyznała Eve. Nie mogłem zareagować. Brakowało mi słów. Nic nie mogłem

zrobić.

Zobaczyłem, że szybko zbiera to i owo. Wrzuciła do torby ubranka Zoë, trochę swoich rzeczy i szczoteczki do zębów. Wszystko to zrobiła bardzo szybko. Potem obudziła Zoë, wcisnęła jej nóżki w małe trampki i... buch!... zatrzasnęły się drzwi, i... klik, klik! - zaskoczył zamek, poszły.

A ja zostałem. Byłem na miejscu. Wciąż byłem na miejscu.

JAK MÓWI DENNY, W IDEALNEJ SYTUACJI KIEROWCA PANUJE NAD wszystkim dookoła siebie. W idealnej sytuacji panowanie kierowcy nad samochodem okazuje się tak doskonałe, że wyprowadzenie z obrotu wokół osi następuje przed tym obrotem; kierowca potrafi przewidzieć wszelkie możliwe scenariusze. Ale nie żyjemy w świecie idealnym. W naszym świecie zdarzają się czasem niespodzianki, błędy, kolizje, na które kierowca musi reagować.

Kiedy kierowca reaguje - tak mówi Denny - musi koniecznie pamiętać, że samochód jest tylko tak dobry, jak dobre są jego opony. Jeśli te gubią trakcję, wszystko inne przestaje się liczyć. Moc silnika, moment obrotowy, hamowanie. Gdy samochód wpada w poślizg, wszystko staje pod znakiem zapytania. Póki tarcie w starym, dobrym stylu nie zredukuje prędkości, opony nie odzyskują siły napędowej, a kierowca jest na łasce bezwładności. Bezwładność zaś jest w przyrodzie wielką siłą.

Kierowca musi to wszystko rozumieć i przezwyciężyć swe naturalne skłonności. Gdy tył samochodu „robi krok w bok”, kierowca może spanikować i zdjąć nogę z pedału gazu. Jeśli to zrobi, ciężar samochodu zostanie przeniesiony na przednie koła, tył wozu ucieknie w bok i samochód zacznie się kręcić wokół własnej osi.

Dobry kierowca spróbuje nad tym zapanować - być może skutecznie - przez kontrę, czyli skręt kół w kierunku przemieszczania się samochodu. Następuje jednak taki krytyczny moment, gdy poślizg już wykonał swoje zadanie, które polegało na ujęciu prędkości pojazdu poruszającemu się zbyt szybko. Nagle opony znajdują dla siebie oparcie i kierowca czuje ich przyczepność - na swoje nieszczęście, ponieważ przednie koła zostały niewłaściwie skierowane. Powstaje wtedy przeciwoobrót, wywołany przez całkowitą utratę równowagi. Przesadna korekta zwrotu w jedną stronę powoduje więc obrót w przeciwnym kierunku, przy czym ten drugi następuje znacznie szybciej i jest groźniejszy.

Jeśli natomiast na samym początku koła wymykają się spod kontroli, a kierowca ma dość doświadczenia, by nie zareagować instynktownym uniesieniem nogi, to, być może, wykorzysta on swą wiedzę o fizyce ruchu pojazdu i - zamiast instynktownej reakcji, polegającej na uniesieniu stopy - zwiększy nacisk na pedał gazu i równocześnie w niewielkim stopniu zładodzi presję na kierownicę. Większe przyspieszenie skieruje tylne koła na właściwy tor i uspokoi ruch samochodu. Odprostowanie kierownicy pozwoli na zmniejszenie wpływu poprzecznych sił. Ruch obrotowy zostanie udaremniiony, ale kierowca będzie musiał sobie poradzić z pewnym problemem, który taka udaremniająca korekta spowoduje: zwiększenie promienia zakrętu narazi kierowcę na zbieżenie z toru.

Niestety! Nasz kierowca nie jest tam, gdzie spodziewał się być! A jednak jeszcze panuje nad samochodem. Jeszcze potrafi się zdobyć na pozytywne działanie. Może jeszcze zapewnić swej osobistej

historii happy end, czyli ukończenie wyścigu bez groźnego incydentu. I jeśli wykaże coś w przekonujący sposób, to nawet może zwyciężyć.

KIEDY NAGLE ZOSTAŁEM NA DOBRE ZAMKNIĘTY W DOMU, NIE spanikowałem. Ani nie zrobiło mi się gorąco, ani też nie oblał mnie zimny pot. Szybko i dokładnie rozważyłem całą sytuację i zrozumiałem, co następuje: Eve jest chora i choroba wpływa chyba na jej myślenie, prawdopodobnie więc nie wróci po mnie; Denny będzie w domu za trzy dni.

Jako pies, potrafię pościć. Należy to do mojego wyposażenia genetycznego, które tak mnie irytuje. Gdy Bóg obdarzył człowieka ogromnym mózgiem, odebrał mu równocześnie poduszeczki pod stopami i uczynił go podatnym na salmonellę. Nie pozwoliwszy psom na używanie kciuków, dał im jednak Bóg zdolność przetrwania Przez dłuższy czas bez jedzenia. Kciuk - choćby jeden kciuk! -bardzo by mi się wtedy przydał, bo przekreśliłbym tę głupią gałkę u drzwi i wy dostałbym się, czymś jednak dysponowałem, czymś tylko trochę gorszym, a mianowicie umiejętnością °bchodzenia się bez strawy.

Przez trzy dni sam sobie racjonowałem wodę w toalecie. Chodząc po domu, węszyłem przy drzwiach spiżarni i roiła mi się wielka misa jedzenia, potrafiłem też wypatrzeć zakurzone batoniki, które Zoë rzucała gdzieś w ką. A swoje potrzeby załatwiałem na wycieracze przy tylnych drzwiach, tuż obok pralek. W panikę nie wpadałem.

Zdaje się, że drugiej nocy, gdy minęło ze czterdzieści godzin mojej samotności, dopadły mnie halucynacje. Oblizując nogi wysokiego krzeselka Zoë, na których odkryłem dawne resztki jogurtu, nieumyślnie pobudziłem własne soki trawienne, o czym świadczyło nieprzyjemne burczenie w żołądku, a poza tym dotarł do mnie jakiś dźwięk z sypialni Zoë. Kiedy postanowiłem zbadać sprawę, ukazał mi się straszny, wręcz przerażający widok: jedno z wypchanych zwierzątek, którymi Zoë się bawiła, samodzielnie chodziło po sypialni.

Była to zebra. Wypchana zebra, przysłana przez rodziców Den-ny'ego, którzy też zapewne byli wypchanymi zwierzętami, bo w Seattle nigdy ich nie oglądaliśmy. Nigdy nie podobała mi się ta zebra, gdyż widziałem w niej rywalkę w walce o względy Zoë. I, szczerze mówiąc, zdziwiłem się teraz, że ją zobaczyłem w domu, a należała przecież do ulubionych zabawek Zoë, która często chodziła z nią wkoło i nawet spała z tą zebrawą, przez co powstały niewielkie wgłębienia w futerku zwierzątka, tuż pod jego łbem ze sztucznego aksamitu. Nie mogłem uwierzyć, że Eve nie zgrnęła tej zebry przy pakowaniu, ale zapewne była taka rozkojarzona albo czuła tak straszny ból, że o niej zapomniała.

Żywa teraz zebra nie odezwała się do mnie ani jednym słowem\* ale na mój widok zaczęła tańczyć i był to nerwowy takt z ciągły"1 wyginaniem ciała, który miał swą kulminację w nieustannym przybliżaniu wykastrowanej części lędźwiowej do twarzy niewinnej laik1 Barbie. Rozzłościło mnie to mocno i warknąłem na molestując zebrawą, ale ta uśmiechnęła się i nie zaprzestała ataków, bo od tył11 dosiadła wypchaną żabę i - z jednym kopytem w powietrzu - jeździła na niej jak na nieujeżdżonym jeszcze koniu,



wykrzykując: Wista wio! Wista wio!".

Obserwowałem cholerną zebkę, która z wielkim okrucieństwem znęcała się nad każdą zabawką Zoe i każdą z nich upokarzała. W końcu nie mogłem już tego zdzierżyć i wyszczerzywszy kły przed atakiem, wkroczyłem, żeby raz na zawsze przerwać tę brutalną burleskę. Ale zanim dopadłem opętaną zebkę, ta przestała tańczyć i stanęła przede mną na tylnych nogach. A przednimi rozdarła szew na brzuchu. Swój szew! Rozdzierała go tak długo, aż mogła wyrwać sobie wnętrzności. Szew po szwie, garść po garści, rozkładała siebie na czynniki pierwsze, aż wreszcie pozbyła się nawet demonicznej krwi, dzięki której ożyła, po czym na podłodze pozostał stos materiału i tego, czym ją wypchano; słychać było bicie serca wyrwanego z piersi, powolne, coraz powolniejsze, a potem zrobiło się cicho.

Z tą traumą wyszedłem z pokoju Zoe, mając nadzieję, że wszystko, co zobaczyłem, działo się w moim umyśle, że była to wizja spowodowana brakiem glukozy we krwi, a jednak zdawałem sobie sprawę, że nie chodziło o wizję - to były fakty. Wydarzyło się coś strasznego.

Denny wrócił następnego dnia po południu. Usłyszałem taksówkę, która stanęła przed domem, potem patrzyłem na wyjmowanie rzeczy z bagażnika i widziałem, że Denny przeniósł jej pod tylne drzwi. Nie chciałem okazać zbytnej radości na jego widok, a poza tym martwiłem się stanem wycieraczki, dlatego zaszczekałem kilka razy, żeby go ostrzec. Zobaczyłem przez szybę w drzwiach wyraz zaskoczenia na jego twarzy. Denny wyjął klucze i otworzył drzwi, ja próbowałem stanąć mu na drodze, ale wszedł zbyt szybko i na wycieraczce zachlupotało. Denny spojrzał pod nogi, po czym nie-zgrabnie wkroczył do pokoju.

~ Co się dzieje? Co ty tu robisz?

154]

[55]

GARTH STEIN

SZTUKA ŚCIGANIA SIĘ W DESZCZU

Denny rozejrzał się po kuchni. Wszystko było na swoim miejscu w najlepszym porządku, oprócz mnie.

- Eve? - zawołał.

Ale Eve nie było w domu. Nie wiedziałem, gdzie jest, w każdym razie nie znajdowała się tu przy mnie.

- Czy one są w domu? - zapytał Denny.

Nie odpowiedziałem. Denny podniósł słuchawkę i zadzwonił.

- Czy Eve i Zoë są jeszcze u was? - spytał bez powitania. - Mogę porozmawiać z Eve?

Po chwili powiedziało:

- Enzo tu jest. Usłyszałem też:

- Sam próbuję to zrozumieć. Czy zostawiłaś go tutaj? - Następnie Denny dodał: - To nienormalne. Jak mogłaś zapomnieć, że twój pies jest w domu? - I zapytał: - Był tutaj przez cały czas? - A chwilę później zaklął, ogromnie zagniewany. - Cholera!

Odłożył słuchawkę na widełki i, sfrustrowany, wydał bardzo głośny i bardzo długi okrzyk. Potem przyjrzał mi się i oznajmił: -Jestem strasznie wkurzony.

Szybko obszedł dom. Nie towarzyszyłem mu, czekałem przy tylnych drzwiach. Wrócił po chwili.

- I tylko tu się załatwiałeś? - spytał, wskazując wycieraczkę. -Świetny z ciebie chłopak, Enzo. Dobra robota!

Ze spiżarki wyjął torbę na śmieci i wrzucił do niej ociekającą wycieraczkę, potem zawiązał torbę i wystawił ją na tylny ganek A pod drzwiami przejechał mopem.

-Jesteś chyba bardzo głodny.

Denny nalał mi wody i dał mi coś do jedzenia,

co pochłonię

Z'

zbyt pośpiesznie, nie czując smaku, ale przynajmniej wypchał pustkę w żołądku. Patrzył w milczeniu, jak jem, i nie posiadał się złości. Na tylnym ganku bardzo prędko pokazały się Eve i Z^-

Denny otworzył drzwi na oścież.

\_ Niesamowite - powiedział z goryczą w głosie. - Jesteś niesamowita.

- Źle się poczułam - wyjaśniła Eve, wchodząc do domu z córeczką ukrytą za jej plecami. - Nie pomyślałam o wszystkim.

- On mógł zdechnąć. -Ale nie zdechtł.

- A jednak mógł - upierał się Denny. - Nigdy nie słyszałem o czymś tak głupim. Niedbalstwo. Zupełny brak wyobraźni.

- Źle się czułam! - warknęła Eve. - Nie byłam zdolna do rozsądnego myślenia!

- Bezmyślność skazuje ludzi na śmierć. I psy też.

- Nie mam już siły! - wykrzyczała Eve, która trzęsa się jak cienkie drzewo w wietrzny dzień. Zoë wymięła ją i uciekła w głąb domu. - Ty ciągle wyjeżdżasz, a ja muszę sama zajmować się Zoë ' Enzem, nie mogę już! To ponad moje siły! Ledwo udaje mi się nkć samą sobą!

" Trzeba było zadzwonić do Mike'a albo zabrać psa do jakiegoś hotelu, coś jednak zrobić! A nie próbować go zabić. ~ Nie próbowałam go zabić - wyszeptała Eve. słyszałem płacz i zerknąłem w tamtą stronę. Zoë, szlochając, stała w drzwiach, które wychodziły na korytarz. Eve przeszła ZX ^ko obok Denny'ego i uklękła przy Zoë.

^ch, moje maleństwo, przepraszam, że się kłócimy. Zaraz staniemy. Proszę cię, nie płacz. Moje zwierzęta - poskarżyła się Zoë. się stało z twoimi zwierzętami? /A . e poprowadziła Zoë za rękę przez korytarz, a Denny poszedł \* kt ' Ja zostałem na miejscu. Nie chciałem się zbliżyć do pokoju, njt °rym przebwwała roztańczona i molestująca zebra. Wolałem " ^lądać tego pokoju.

Nagle usłyszałem szybkie kroki. Kuliłem się przy tylnych drzwiach, gdy Denny przemykał przez kuchnię, żeby mnie dopaść. Był nakręcony, wściekły, wbił we mnie wzrok i zacisnął szczęki.

- Ty głupi psie! - wrzasnął i chwycił mnie za kark, przy czym w jego ręku znalazło się sporo mojej sierści, i potrząsnął mną. Ze strachu całkiem opadłem z sił. Nigdy przedtem nie zostałem tak potraktowany przez Denny'ego. Zaciągnął mnie przez kuchnię i korytarz do pokoju Zoë, gdzie dziewczynka siedziała na podłodze w samym centrum straszliwego bałaganu, zdumiona tym widokiem. Wszystkie lalki i zwierzątka były w strzępach i wypatroszone -totalna katastrofa. Absolutna rzeź. Mogłem się tylko domyślać, że demoniczna zebra znów sama się zmontowała po moim odejściu i zniszczyła pozostałe zwierzęta. Powinienem był zlikwidować tę zebkę, kiedy miałem na to szansę. Trzeba ją było zjeść, choćby mnie to zabiło.

Denny tak się wściekał, że wypełniał swoją złością cały pokój, nawet cały dom. Nic jej nie dorównywało. Wrzeszcząc, z rozmachem uderzył mnie swą wielką ręką w bok łba. Zaskowyczałem i się przewróciłem, po czym pozostałem tuż przy podłodze dla własnej ochrony.

- Niedobry pies! - zagrzmiał Denny i znów podniósł rękę, żeby mnie uderzyć.

- Nie rób tego, Denny! - krzyknęła Eve. Podbiegła i ostoniła mnie ręką. Chciała mnie chronić.

Denny powstrzymał się. Nie uderzyłby Eve. W żadnym wypadku. Tak jak nie uderzyłby mnie. I wiem, że nie uderzył, choć czułem ból. Jego cios spadł na demona, złą zebkę, groźne stworzenie, które wdarło się do domu i molestowało jedno z wypchanych zwierząt-Denny sądził, że demon skrył się we mnie, ale tak nie było. Widziałem tego demona. Opętał zebkę, a mnie uczynił niemym, bezbronnym świadkiem makabrycznej sceny - zostałem w nią uwikłany.

\_ Kupimy nowe zwierzątka, kochanie - obiecała Eve. — Jutro wybierzemy się do sklepu.

Tak dyskretnie, jak tylko potrafiłem, przekradłem się do Zoë, smutnej dziewczynki na podłodze, pośrodku resztek świata z jej wyobraźni, dziewczynki ze zwieszonym podbródkiem i łzami na policzkach. Rozumiałem jej ból, bo pozwoliła mi poznać prawdziwość swego wymyślanego świata i często mnie doń wpuszczała. Dzięki odgrywanym przez nas rolom w głupich, choć wymownych zabawach - poznawałem jej myśli o własnej tożsamości, o własnym miejscu w życiu. Przekonałem się, że uwielbia ojca i wciąż stara się zadowolić matkę. Wiedziałem o jej zaufaniu do mnie i strachu, kiedy wkładałem zbyt wiele ekspresji w swoje miny. Strach ów brał się z tego, że moja ekspresywność nie była do pogodzenia z przeświadczeniem o zwierzęcej niezdolności do posiadania własnych myśli, opartym na - promowanym przez dorosłych - ładzie świata. Teraz na łokciach podczołgałem się do Zoë i nosem przygłnąłem do jej uda, które zdążyło się opalić na letnim słońcu. Uniosłem nieco brwi, jakbym chciał zapytać, czy mi kiedykolwiek wybaczy to, że nie uchroniłem jej zwierzątek.

Odpowiedziała nieprędko, ale odpowiedziała. Jej ręka znalazła się na moim łbie i pozostała tam. Zoë nie drapała mnie. Na to pozwoliła sobie o wiele później. A jednak mnie dotykała, wybaczyła mi więc to, co się wydarzyło, choć rana była jeszcze zbyt świeża, a ból zbyt dotkliwy, by mogła zapomnieć.

Potem, gdy już wszyscy się posililiśmy i Zoë została położona na noc w swoim pokoju, skąd zniknęły ślady rzezi, zastałem Denny'ego na stopniach ganku z mocnym drinkiem, co mnie zdziwiło, °o rzadko kiedy sięgał po wysokoprocentowy alkohol. Ostrożnie S1Ç do niego zbliżyłem, co szybko zauważył.

- W porządku, chłopie - powiedział. Dotknął ręką niższego stopnia ganku, usiadłem więc przy nim. Obwąchałem go i na

próbę polizałem jego nadgarstek. Denny uśmiechnął się i potarł mój kark.

- Bardzo cię przepraszam - odezwał się. - Straciłem głowę. Trawnik za domem nie był duży, ale wieczorem sprawiał przy.

jemne wrażenie. Dookoła trawnika znajdowała się ziemia, na której pięknie pachniał cedr; wiosną sadzono różne kwiaty, a oprócz tego w rogu ogrodu stał krzak, który też pokrywał się kwieciami i przyciągał pszczoły, przez co denerwowałem się za każdym razem, gdy Zoe bawiła się w pobliżu - nigdy jednak nie została użądlnona.

Denny większym haustem dopił alkohol i bezwiednie się zatrzęsł. Potem wydobył skądś butelkę - byłem zdziwiony, że jej nie zauważyłem wcześniej - i nalał sobie jeszcze raz. Wstał, zrobił kilka kroków i przeciągnął się, z rękoma w górze.

- Znaleźliśmy się na pierwszym miejscu, Enzo. Nie tylko w naszej klasie. Zajęliśmy w ogóle pierwsze miejsce. Czy wiesz, co to znaczy?

Serce podskoczyło mi z radości. Wiedziałem, co to znaczy. On okazał się mistrzem. Najlepszym!

- To znaczy, że w następnym sezonie będę miał zapewnione miejsce w wyścigowym samochodzie turystycznym, ot co - wyjaśnił Denny. - Z taką ofertą wystąpił wobec mnie pewien prawdziwy, żywy zespół wyścigowy. Wiesz, co to oferta?

Uwielbiałem takie jego rozmowy ze mną. Odgrywał wtedy swoją rolę. Zwiększał atrakcyjność tego, czego można było oczekiwać. Zawsze z wielką przyjemnością słuchołem udratyzowanych opowieści. Widocznie sam jestem dramaturgiem. Dobra opowieść to dla mnie taka historia, która pozwala się czegoś spodziewać, a rzeczy, na które warto czekać, przedstawia w pasjonujący i zaskakujący sposób.

- Otrzymanie oferty znaczy tyle, że jeśli przez rozpoczęciem sezonu wniosę rozsądnej wysokości wkład pieniężny ze sponsoringu do łatwej zresztą do uzyskania, to będę mógł jeździć, o ile zechcę, prawie pół roku. I spędzić ten czas z dala od Eve i Zoe, i od ciebie. Czy jednak tego chcę?

Nic nie mówiłem, bo miałem mieszane uczucia. Wiedziałem, że jestem największym fanem Denny'ego i jego najwierniejszym kibicem w czasie wyścigów. Ale czułem też coś, co chyba czuły również Eve i Zoë, ilekroć wyjeżdżał z domu: pustkę w brzuchu na myśl o jego nieobecności. Denny chyba umiał czytać w moich myślach, bo napił się jeszcze i powiedział:

-Ja też nie jestem przekonany.

I trafił w dziesiątkę: a jakże, nie byłem przekonany.

- Nie mogę uwierzyć, że ona cię tak zostawiła - odezwał się Denny. - Wiem o jej wirusie, ale mimo wszystko...

Czy naprawdę w to wierzył, czy okłamywał samego siebie? Albo może dał temu wiarę, bo tak chciała Eve. Wszystko jedno. Gdybym był człowiekiem, usłyszałby ode mnie prawdę o stanie zdrowia jego żony.

- To był dokuczliwy wirus - powiedział Denny raczej do siebie niż do mnie. - Ona nie była w stanie rozsądnie myśleć.

Nagle straciłem pewność: czy Denny chciałby usłyszeć prawdę, gdybym był człowiekiem i mógł ją

ujawnić?

Denny jęknął, usiadł znów na swoim miejscu i jeszcze raz sobie nalał.

- Potrącę ci z pensji za te wypchane zwierzaki - zapowiedział ze śmiechem. Potem spojrzał na mnie i ujął mój podbródek. - Kocham C'Ç, chłopie - usłyszałem. -1 obiecuję, że już nigdy tego nie zrobię. Cokolwiek by się stało. Jest mi naprawdę przykro.

Bełkotał, był pijany. Ale dzięki jego słowom uświadomiłem sobie, że też bardzo go kocham.

-Jesteś twardy - rzekł Denny. - Wytrzymałeś trzy dni w takich warunkach, bo twardy z ciebie pies.

Czułem dumę.

- Wiem, że nie skrzywdziłbyś umyślnie Zoe - wyznał. Położyłem łeb na jego nodze i spojrzałem na niego.

- Wydaje mi się czasem, że mnie naprawdę rozumiesz - wyznał Denny. - Jakby krył się w tobie człowiek. Jakbyś wszystko wie-dział.

„Wiem wszystko” - powiedziałem do siebie. „Tak, wiem”.

CHOROBA EVE NIE DAWAŁA SIĘ ROZPOZNAĆ, BYŁA NIEPRZEWDYWALNA. Jednego dnia Eve odczuwała taki ból głowy, że aż rozsadała jej czaszkę. Innego - osłabiające mdłości. Kolejny zaczynał się zawrotami głowy, a kończył posępnym nastrojem i złością. I nigdy nie następowały takie dni bezpośrednio po sobie. Pomiedzy nimi zdarzały się dni - a nawet tygodnie - ulgi, kiedy życie toczyło się normalnie. Ale oto Denny odbierał w pracy telefon i spieszył na pomoc, zabierał samochodem Eve z jej pracy do domu, prosił którąś z koleżanek Eve, żeby jechała za nimi, a potem przez resztę dnia bezradnie obserwował żonę.

Nasilenie i przypadkowość tego, co dolegało Eve, były dla Den-ny ego całkiem niezrozumiałe. Szlochy, raptowne, długotrwałe wrzaski, padanie na podłogę, czemu towarzyszył nagły niepokój. Takie rzeczy pojmują tylko psy i kobiety, my bowiem doświadczamy bólu bezpośrednio, docieramy bezpośrednio do jego źródła, Przez co staje się on zarazem czymś wspaniałym, klarownym i brutalnym, jakby z węża przeciwpożarowego wydobywał się rozżarzony do białości metal; potrafimy też docenić walory este-tyczne, choć on sam - ów ból - uderza nas prosto w twarz. Mejj. czyżni natomiast są, wszyscy bez wyjątku, filtrami i deflektorami pojawienie się bólu jest u nich odwleczone. Mężczyźni odnoszą się do swego bólu tak, jakby chodziło o stopę lekkoatlety: wystarczy specjalny sprej - zapewniają - i będzie po wszystkim. Nie mają pojęcia, że to, co dostrzegają jako potwierdzenie dolegliwości - grzybica między owłosionymi palcami nogi - jest tylko pewnym objawem, sygnałem istnienia komplikacji systemowej. Na przykład kandydozy w jelitach albo czegoś innego. Zlikwidowanie objawu może tylko sprawić, że prawdziwy problem da o sobie znać kiedy indziej i gdzieś głębiej. „Idź do lekarza” - powtarzał Denny. „Postaraj się o jakieś leki”. W odpowiedzi Eve wyła do księżycy. Denny nie rozumiał - w przeciwieństwie do mnie - słów Eve o tym, że leki zamaskowałyby tylko ból, ale nie zmusiłyby go do ustąpienia, na nic by się więc nie zdały. Nigdy też nie zrozumiał, co Eve miała na myśli, gdy mówiła, że jeśli by poszła do lekarza, ten wymyśliłby po prostu jakąś chorobę, aby wytłumaczyć, dlaczego nie może jej pomóc. Zresztą tyle czasu dzieliło kolejne okresy nasilenia. I wciąż mieliśmy tyle nadziei.

Denny przez swą bezradność był sfrustrowany - i to potrafiłem zrozumieć. Mnie samego przygnębia fakt, iż nie umiem mówić. Czuję, że mam tak dużo do powiedzenia, na wiele różnych sposobów, ale jestem zamknięty w dźwiękoszczelnej kabinie, jak w czasie teleturnieju; w kabinie, z której mogę widzieć i słyszeć, co się dzieje, lecz nikt nie włącza mojego mikrofonu i nikt mnie stamtąd nie wypuszcza. Coś takiego może człowieka doprowadzić do obłądzenia. I chyba doprowadziło niejednego psa do obłądzenia. Poczciwy pies, który nigdy nie skrzywdziłby żywej duszy, pewnej nocy p0' zbawia twarzy swą panią, pogrążoną w głębokim śnie wywołany<sup>1</sup> środkami nasennymi. Właściwie nic mu nie jest, tyle że jego umysł xV końcu nie wytrzymał. Okropne to, ale się zdarza; stale słyszy się

0        czymś takim w wiadomościach telewizyjnych.

Jeśli o mnie chodzi, to znalazłem pewne sposoby na obronę przed tvnl obłądzeniem. Pracuję na przykład nad upodobnieniem się do ludzi. Wprawiam się w powolnym przeżuwanie stawy, na ludzką modłę. W telewizji szukam wskazówek co do właściwego zachowania

1        reagowania w rozmaitych sytuacjach. W następnym życiu, kiedy narodzę się jako człowiek, już od chwili, gdy wydostaną mnie z łona, będę na dobrą sprawę dojrzałym człowiekiem - bo przecież mam

za sobą tyle przygotowań. I zanim moje nowe ludzkie ciało osiągnie dorosłość, zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby błyszczeć wszelkimi sprawnościami fizycznymi i umysłowymi, które - taką mam nadzieję - będą mnie cieszyć.

Denny uniknął obłędu przebywania w dźwiękoszczelnej kabinie dzięki temu, że przez nią przejechał. Nie potrafił w żaden sposób sprawić, by cierpienie Eve ustąpiło, a gdy to sobie uświadomił, postanowił wszystko robić lepiej niż dotąd.

W gorączce wyścigu samochodom często przytrafiają się różne dziwne rzeczy. Może się złamać koło zębate o, prostych zębach w skrzyni biegów i nagle kierowca zostaje pozbawiony wszystkich biegów. Albo zawodzi sprzęgło. Hamulce miękną wskutek przegrzania. Dochodzi do awarii zawieszenia. Każdy z tych problemów potrafi załamać biednego kierowcę. Przeciętny zawodnik się poddaje. Ci wielcy jadą dalej, pozostawiając problem za sobą. Znajdują sposób na kontynuowanie wyścigu. Tak było w 1989 roku w Luksemburgu, kiedy toczyła się walka o Grand Prix i zwyciężył 'tlandczyk, Kevin Finnerty York, który ujawnił później, że dwadzieścia ostatnich okrążeń przejechał na dwóch tylko biegach! Takie Panowanie nad pojazdem świadczy o maksymalnej determinacji oraz uświadomieniu sobie wszelkich możliwości. W obliczu czegoś takiego dochodzimy do wniosku, że fizyczność naszego świata jest

ograniczeniem tylko w przypadku słabej woli; prawdziwy mistrz? potrafi zdobyć się na coś, co przeciętnemu człowiekowi wydaje się niemożliwe.

Denny zmienił swój czas pracy, żeby zawozić Zoë do przedszkola. Wieczorem, już po obiedzie, czytał jej i pomagał w nauce liczb i liter. Sam robił wszystkie codzienne zakupy i gotował. Sam sprzątał w domu. Robił to wszystko doskonale, bez narzekania. Chciał odciążyć Eve od wszelkich zajęć, które mogłyby wywoływać u niej stres. Przy tylu dodatkowych obowiązkach nie znajdował już czasu na demonstrowanie wesołości i fizycznie okazywaną serdeczność, do których zdążyliśmy się już wcześniej przyzwyczaić. Nie mógł robić tak zupełnie wszystkiego, postanowił więc zapewne, że troska o organizm Eve musi się znaleźć na pierwszym miejscu. I w tych okolicznościach podjął chyba słuszną decyzję. Miał przecież mnie.

Zieleń wydaje mi się szarością, a czerwień - czernią. Czy z tego powodu jestem kiepskim materiałem na człowieka? Gdyby ktoś nauczył mnie czytać i zapewnił mi taki zestaw komputerów, w jaki zaopatrzonego Stephen Hawkinga, ja też pisałbym wspaniałe książki. A jednak nikt mnie nie uczy sztuki czytania i nie dostałem od nikogo pałeczki, którą mógłbym przesunąć nosem, aby wskazać następną literę do wydrukowania. Czyja to więc wina, że jestem, jaki jestem?

Denny nie przestał kochać Eve, ale po prostu na mnie scedował okazywanie jego miłości. Wypadło mi per procura zapewniać miłość i komfort psychiczny. Kiedy Eve była w złym stanie i Denny zabierał Zoë na któryś z cudownych filmów animowanych, aby nie słyszała matczynych krzyków z powodu fizycznej



udręki, )\* zostawałem w domu. Denny mi ufał. Kiedy razem z Zoë pakowałam1 butelki z wodą i specjalne słodkie sandwicze bez utwardzonych tłuszczów, które kupowałam dla niej w sklepach ze zdrową żywności\*/ słyszałem z jego ust:

\_ Proszę cię, Enzo, zaopiekuj się nią w moim imieniu.

I robiłem to. Moja opieka polegała na zwinieniu się w kłębek przy łóżku Eve albo - jeśli upadła na podłogę - na ułożeniu się obok niej. Często przyciągała mnie do siebie, tuliła i mówiła wtedy

o swoim bólu.

\_ Nie mogę spokojnie uleżeć. Nie mogę być zdana na siebie samą. Muszę krzyczeć i walić w coś, bo ból ustaje, gdy krzyczę. A kiedy milczę, on mnie odnajduje, potrafi wytropić, przeszywa mnie i mówi: „Dopałem cię! Teraz należysz do mnie!”.

Demon. Gremlin. Poltergeist. Duch. Fantom. Zjawa. Cień. Wampir. Diabeł. Ludzie boją się tego wszystkiego, godzą się więc z istnieniem takich stworów wyłącznie w opowieściach, książkach, które można zamknąć, odłożyć na półkę albo pozostawić w hotelu; zaciskają powieki, żeby nie widzieć zła. Ale można mi wierzyć, gdy twierdzę, że zebra jest stworem rzeczywistym. Gdzieś tańczy ta zebra.

Po nadzwyczaj mokrej zimie, pełnej szarych dni, deszczu

1 dojmującego chłodu, który raczej nie sprawiał, moim zdaniem, że można było się poczuć młodszym, wreszcie dotarła do nas wiosna. W zimie Eve jadła niewiele, poszczupiała i zrobiła się bledsza. Kiedy dopadał ją ból, często po kilka dni z rzędu nie brała do ust ani kęsa. Nigdy się nie gimnastykowała, przez co jej chudość była nieatrakcyjna - po prostu luźna skóra na kruchych kościach; Eve marniała w oczach. Denny martwił się tym, ale Eve nigdy nie słuchała jego prośb o to, żeby poszła do lekarza. „To łagodna depresja” - zapewniała. „Będą mnie faszerować tabletkami, a ja ich nie chcę”. A któregoś wieczoru po °biedzie - innym niż zwykle, choć nie pamiętam, czy chodziło o urodziny, czy o jakąś rocznicę - Denny nagle pojawił się nago w sypialni, w której Eve, też naga, leżała już na łóżku.

Zdziwiło mnie to bardzo, bo od dawna się nie kochali ani nawet nie pieścili. Teraz jednak byli właśnie tam. Denny znalazł się nad nią i usłyszał:

- To pole jest urodzajne.

- Czyżbyś chciała? - zapytał.

-Jeśli poprosisz - odpowiedziała po chwili, przy czym jej oczy poszarzały i zapadły się głęboko w oczodołach, jakby pochłonięte przez skórę, a pozwalały się domyślać wszystkiego prócz płodności.

- Skorzystam z tej urodzajności - oznajmił Denny. Ich wymiana słów brzmiała jednak nieprzekonująco i niezbyt entuzjastycznie. Eve wydawała jakieś dźwięki, ale byłem pewien, że je pozorowała, bo w trakcie zerknęła na mnie, pokręciła głową i dała mi znak, żebym sobie poszedł. Z należnym szacunkiem wycofałem się do innego pokoju i uciąłem sobie drzemkę. Jeśli dobrze pamiętam, śniły mi się wrony.

TE MAŁE, WSTRĘTNE BESTYJKI SIEDZĄ NA DRZEWACH, PRZEWODACH elektrycznych i dachach, wszystko obserwują. Dziwacznie rechoczą, jakby szydziły, wciąż kraczą, wiedzą, gdzie kto jest w domu i gdzie kto jest poza domem; ciągle czekają. Jako mniejsze kuzynki kruków, wrony są pełne żalu i złości, zgorzkniałe z powodu genetycznego skarlenia, które zgotowali im ich bracia. Kruk jest ponoć -wobec człowieka - o jeden szczebel drabiny ewolucyjnej niżej. Według legend rdzennych mieszkańców północnozachodniego wybrzeża, kruk nawet stworzył człowieka. (Co ciekawe, bóstwem odpowiadającym krukowi w folklorze Indian z wielkich równin jest kojot, czyli pies. Wydaje mi się więc, że zostaliśmy wszyscy stłoczeni u kresu łańcucha stawy duchowej). Jeśli zatem kruk stworzył człowieka, a wrona jest kuzynką kruka, to gdzie jest jej właściwe miejsce?

Właściwe dla niej miejsce stanowi śmietnik. Te bardzo sprytne, Przebiegłe ptaki najlepiej wykorzystują swój diabelski geniusz, śdy otwierają kubek ze śmieciami albo poprzez jakąś szczelinę

wydziobują resztki jedzenia. To męty, stworzenia stadne, uważane za „mordercze”, kiedy są w większej grupie. Dobre określenie, bo chce się je zabijać, gdy łączą się w stada.

Ja nigdy nie uganiam się za wronami. Odskakują, kpią sobie, próbują zachęcać do łowów, które grożą uszkodzeniem ciała. Albo działają tak, żeby się utknęło gdzieś daleko, a one wtedy mogą grasować w śmieciach. To prawda. Czasem, kiedy drę. częściej mnie koszmary, śnią mi się wrony. Całe mordercze stada. Atakują mnie w okrutny sposób, rozrywają mi ciało. I to jest najgorsze.

Kiedy wprowadziliśmy się do naszego domu, coś się stało z wronami i dlatego wiem, że mnie nienawidzą. Źle jest mieć wrogów. Denny pozostałości po mnie zawsze zbierał do zielonych torebek jednorazowych. To pokuta dla ludzi za ich potrzebę trzymania psów - trzymanie kontrolowane. Muszą wydobywać z trawy nasze ekskrementy, posługując się wywróconą na drugą stronę torebką plastikową. Muszą dotykać ich rękami i je usuwać. Mimo plastikowej ochrony nie sprawia im to przyjemności, bo czują zapach, a nie mają powonienia, które wyróżniałoby niuanse poszczególnych warstw zapachów i rozpoznawałoby znaczenie tych różnic.

Denny zbierał torebki z kupami i wkładał je do plastikowej torby na zakupy. Od czasu do czasu odnosił większą torbę do śmietnika w parku przy tej samej ulicy. Chyba nie chciał zanieczyszczać własnego kubła na śmieci torebkami z moim łajnem. Ale nie jestem tego pewien.

Wrony, które szczycą się pokrewieństwem z krukami i - dzieło temu - swą niezwykłą inteligencją, uwielbiają zaglądać do torby z zakupami. I niejednokrotnie pozwalały sobie zajrzeć do torby zostawionej na ganku, kiedy Denny albo Eve wracali objuczeni zakupami - Wrona potrafi wsadzić dziób i wyjąć go bardzo szybko, znaleźć jakiś herbatniki czy coś innego i odlecieć.

Pewnego dnia - byłem jeszcze wtedy młodym psem - wrony wypatrzyły Eve z zakupami i przycupnęły na pobliskim drzewie na skraju posesji, a zebrało się ich bardzo wiele. Zachowywały się spokojnie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, ja jednak wiedziałem, że tam są. Eve zaparkowała w alei i kilkakrotnie nosiła torby z samochodu na ganek, a potem z ganku do domu. Wrony ją obserwowały. Zauważyły, że jedną torbę Eve zostawiła na zewnątrz.

Cóż, są inteligentne, muszę im to przyznać, bo nie od razu się zleciały. Odczekały, aż Eve pójdzie na górę, rozbierze się i wejdzie do wanny, co czasem robiła po południu, kiedy miała wolny dzień. Obserwacja upewniła wrony, że oszklone drzwi kuchenne zostały zamknięte na klucz, aby nie wszedł złodziej ani gwałcień i abym ja nie wyszedł. Wtedy zaczęły działać.

Kilka z nich sfrunęło i dziobami podniosło torbę. Jedna sprowokowała mnie, bo podeszła do szyby w drzwiach kuchennych, chcąc, żebym zaszczekał. Kiedy indziej powstrzymałbym się, po prostu na złość im, ale wiedząc to, co wiedziałem, szczeniłem parę razy - tyle, by zabrzmiało to przekonująco. Wrony nie odeszły daleko. Chciały mnie zdenerwować. Umyśliły sobie, że będę musiał patrzeć, jak raczą się zawartością torby, dlatego zatrzymały się na trawie. Tańczyły wokół i robiły głupie miny, kiedy na nie patrzyłem, trzepotały skrzydłami i przyzywały kolejne przyjaciółki. Rozerwały plastik i zanurzyły całe

dzioby, by się nasycić wspaniałą strawą i smakołykami ukrytymi w torbie; zaczęły jeść. Głupie ptaszyska jadły łąpczywie prosto z torby i chętnie wszystko przetykały. Aż w końcu zapchały się moim gównem.

Moim gównem!

Ach, te ich miny! Zdziwienie i cisza. A to oburzenie! Wrony P°kręciły łebkami i całą chmarą odleciały do sąsiada, który miał ntannę - aby umyć w niej dzioby.

A później wróciły. Czyste i wściekłe. Setki wron. Może tysiące. Lądowały na tylnym ganku i trawniku za domem, gdzie tak się O(j nich zaroilo, że powstała ruchoma warstwa smoły i piór. Wszystkie wbiły paciorki swych oczu we mnie, jakby chciały powiedzieć: „Tylko wyjdź, piesku, a wy dłubiemy ci ślepie!”.

Nie wyszedłem. One zaś wkrótce odleciały. Kiedy Denny wrócił z pracy do domu, zajrzał na tylny ganek. Eve gotowała obiad, a Zoë była jeszcze maleńka i siedziała na swoim wysokim krześle. Denny wyjrzał na zewnątrz i zapytał:

- Skąd tam się wzięło tyle ptasich odchodów?

Ja znałem odpowiedź. Gdybym miał komputer Stephena Haw-kinga, mógłbym nieźle sobie z tego zażartować.

Denny wyszedł z domu i węzłem zmył otoczenie ganku. Zebrał też - z pewnym zdziwieniem, ale o nic nie pytając - rozerwane torebki. Drzewa i przewody elektryczne oraz telefoniczne wręcz się ugiwały pod ptakami zajętej obserwacją. Nie wyszedłem razem z Denny. A kiedy chciał porzucić do mnie piłkę, udałem, że nie czuję się najlepiej, i zasnąłem na swoim legowisku.

Uśmiełem się, widząc umazane psim łajnem dzioby tych głupich ptaków, które uważają siebie za bardzo inteligentne. Ale nic nie pozostaje bez echa: od tamtej pory w moich koszmarnych snach ciągle pojawiają się wściekłe wrony.

Całe mordercze stada wron.

SYGNAŁÓW BYŁO DOŚĆ, ALE JA ICH PO PROSTU NIE ROZPOZNAŁEM. Denny miał przez całą zimę obsesję: wciąż odtwarzał na wideo - jakby nie był sobą - imitację wyścigu samochodowego. Nigdy przedtem takie symulacje go nie pociągały. Ale tamtej zimy odtwarzał ową grę symulacyjną co wieczór, gdy Eve była już w łóżku. I ścigał się tylko na torach amerykańskich. St. Petersburg i Laguna Seca. Road Atlanta i Mid-Ohio. Już same tory powinny były mnie zastanowić. Denny nie rozgrywał niczego na wideo, po prostu poznawał dokładnie tory. Uczył się każdego wejścia w zakręt i każdego punktu hamowania. Słyszałem jego słowa o starannym odtworzeniu tła w takich grach, o tym, że kierowcy uznają je za bardzo przydatne, gdy trzeba się zapoznawać z nowymi torami. Ale nie przyszło mi na myśl...

I ta jego dieta: ani kropli alkoholu, ani trochę cukru, nic mrozo-nego. I rytm treningowy: kilka razy w tygodniu biegi, pływanie na basenie Medgara Eversa, podnoszenie ciężarów w garażu pewnego olbrzyma z tej samej ulicy, który w więzieniu zaczął chodzić na

siłownię. Denny się przygotowywał. Był szczupły, silny i gotów do walki za kierownicą samochodu wyścigowego. A ja przegapiłem wszystkie oznaki. Ale zostałem chyba też oszukany. Otóż kiedy w tamten marcowy dzień zszedł na dół ze sportową torbą, z walizką na kółkach i specjalną torbą, w której zmieścił kask i urządzenie typu HANS, Eve i Zoë nie wyglądały na zaskoczone jego wyjazdem. Im więc powiedział. A mnie nie uprzedził.

Dziwnie wyglądało to pożegnanie. Zoë była podekscytowana i nerwowa, Eve miała ponury nastrój, a ja nie rozumiałem niczego. Dokąd on jedzie? Uniosłem brwi, nadstawiłem uszu i skierowałem łeb w odpowiednią stronę, wykorzystałem całą mimikę, na jaką mnie stać, żeby uzyskać informacje.

- Sebring - powiedział do mnie Denny, który potrafił czytać w moich myślach. - Czy nie mówiłem ci, że przyjąłem miejsce w samochodzie turystycznym?

W samochodzie turystycznym? Przecież zapewniał, że to nie dla niego! I zgodzaliśmy się co do tego!

Byłem dumny z Denny'ego, ale i zasmucony. Weekend poświęcony na wyścig to co najmniej trzy noce poza domem, albo nawet cztery, kiedy trzeba się ścigać na wschodnim wybrzeżu, a w ciągu ośmiu miesięcy odbywa się jedenaście wyścigów. Tyle czasu go nie będzie! Zatrzaszczyłem się o komfort psychiczny tych, którzy pozostaną w domu.

Sercem jestem jednak miłośnikiem wyścigów, a ktoś taki nie pozwoli, by coś, co już się stało, wywarło jakikolwiek wpływ na to, co się dzieje teraz. Informacja o tym, że Denny przyjął miejsce w samochodzie turystycznym i wylatuje ścigać się w Sebring, by być na żywo w ESPN2, była doskonałą wiadomością. Denny nie czekał na nic i nikim się nie przejął. Myślał tylko o sobie. Kierowca wyścigowy musi być egoistą. To przykra prawda: nawet rodzina powinna znaczyć dla niego mniej niż kolejny wyścig.

Entuzjastycznie pomeardałem ogonem, a Denny uśmiechnął się do mnie i mrugnął porozumiewawczo. Wiedział, że rozumiem wszystko, co mówi.

\_ Teraz okazał się dobrym psem - przykazał mi żartobliwie. -Uważaj na dziewczyny.

Denny przytulił małą Zoë i delikatnie pocałował Eve, ale kiedy się od niej odwrócił, Eve przyłgnęła do niego i mocno go chwyciła. Przytulił ją, a ona schowała w jego ramionach twarz, która poczerwieniała od z trudem powstrzymanych łez.

- Wróć, proszę - odezwała się Eve głosem przytłumionym przez tors Denny'ego.
- Oczywiście, że wrócę.
- Wróć, proszę - powtórzyła. Denny próbował ją uspokoić.
- Obiecuję, że przyjadę do domu w jednym kawałku - powiedział.

-Jest mi to obojętne, w ilu kawałkach - wyznała Eve. - Po prostu obiecuj, że wrócisz.

Denny zerknął na mnie, jakbym umiał wyjaśnić, o co naprawdę poprosiła Eve. Czy chodziło jej o to, żeby wrócił żywy? Albo żeby wrócił i jej nie zostawił? Albo o coś zupełnie innego? Tego Denny nie wiedział.

Ja tymczasem wiedziałem dokładnie, co miała na myśli. Eve nie martwiła się tym, że Denny mógłby nie wrócić, martwiła się o siebie. Była świadoma swego złego stanu, choć nie wiedziała, co jej dolega, i bała się strasznej powtórki pod nieobecność męża. Ja też S'Ć niepokoiłem, bo wciąż miałem w pamięci zębę. Nie umiałem tego wyjaśnić Denny'emu, ale sam sobie postanowiłem, że pod jego nieobecność zachowam zimną krew.

- Obiecuję - rzekł Denny i to zabrzmiało faktycznie jak obietnica.

Kiedy Denny odjechał, Eve zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Gdy znów otworzyła oczy, spojrzała na mnie - zrozumiałem, że też podjęła jakieś postanowienie.

- Wymogłam to na nim - powiedziała do mnie. - Chyba dzięki temu będę silniejsza.

Tamten wyścig był pierwszym w całym cyklu, ale nie skończył się dobrze dla Denny'ego, choć nam - Eve, Zoë i mnie - sprawił przyjemność. Oglądaliśmy go w telewizji. Denny zaczął z jednego z trzech pierwszych pól startowych. Tuż po starcie musiał jednak zatrzymać się w boksach z powodu rozciętej opony; ktoś z obsługi technicznej nie mógł sobie poradzić z wymianą koła i zanim Denny powrócił na tor, był już spóźniony o jedno okrążenie; nie udało się tego nadrobić. Dwudzieste czwarte miejsce.

Drugi wyścig odbył się dopiero po kilku tygodniach i znowu sprawił nam trojgu - Eve, Zoë i mnie - przyjemność. Dla Denny'ego skończył się on właściwie tak samo jak pierwszy, ponieważ na skutek wycieku paliwa utracił jedno okrążenie. Trzydzieste miejsce.

Denny był strasznie rozżalony.

- Lubię tych chłopaków - mówił nam przy obiedzie, kiedy wrócił na krótki odpoczynek do domu. - Są dobrzy, ale nie stanowią zgranego zespołu. Popełniają błędy, zmarnują nam cały sezon. Gdyby dali mi szansę ukończenia wyścigu, zająłbym dobre miejsce.

- Nie możesz skompletować innej załogi? - zapytała Eve. Byłem w kuchni, tuż obok jadalni. Kiedy jedli, nigdy nie siedziałem

w jadalni, po prostu przez szacunek dla nich. Ludzie, którzy się posilają, nie lubią psów zbierających resztki pod stołem. Nie widziałem ich więc, ale słyszałem. Denny sięgnął po drewnianą salaterkę i dołożył sobie sałatki. Zoë przesuwiała po talerzu nuggety z kurczaka.

- Zjedz je, kochanie - powiedziała Eve. - Nie baw się nimi.

- Nie chodzi o jednego człowieka - próbował wyjaśnić Denny-- Chodzi o jakość zespołu.

\_ Co z tym zrobisz? - spytała Eve. - Spędzasz tyle czasu poza domem i jakbyś go marnował. Po co się ścigać, kiedy nie można ukończyć wyścigu? Zoë, zjadłaś dopiero dwa kęsy. Jedz.

Chrzęst sałaty. Sok sączony przez Zoë.

\_ Trzeba trenować - odpowiedział Denny. - Trenować, trenować, trenować. \_ Kiedy?

\_ Mam w przyszłym tygodniu pojechać na Infineon i popracować z ludźmi z grupy Apex Porsche. Trzeba solidnie poćwiczyć z obsługą techniczną, żeby nie było więcej błędów. Sponsorzy zaczynają się irytować.

Eve umilkła.

- W przyszłym tygodniu masz urlop - powiedziała po dłuższej chwili.

-Nie wyjadę na długo. Na trzy, cztery dni. Dobra sałatka. Sama ją przyrządziłaś?

Nie widząc ich, nie mogłem odczytywać języka ich ciał, ale pies potrafi pewne rzeczy wyczuć. Napięcie.

Strach. Lęk. Takie stany są następstwami reakcji chemicznych w ludzkim organizmie. Inaczej mówiąc, są to stany wyłącznie fizjologiczne. Mimowolne. Ludzie chętnie wmawiają sobie, że w toku ewolucji wyzbyli się instynktu, ale właściwie nadal na bodźce reagują walką albo ucieczką. A gdy następują reakcje cielesne, ja czuję chemiczne wydzielanie przez przysadkę mózgową. Adrenalina na przykład ma bardzo specyficzny zapach, wyczuwany nie tyle powonieniem, ile smakiem. Wiem, że dla człowieka taka myśl jest niezrozumiała, ale najlepiej opisać to właśnie w ten sposób - jako zasadowy smak w tylnej części języka. Z mojego miejsca na kuchennej podłodze rozpoznawałem smakiem adrenalinę Eve. Wcześniej na pewno uzbroiła się w cierpliwość, by przetrwać wyjazdy Denny'ego na wyścigi, zaś na doraźne treningi w Sonomie nie była przygotowana, ogarnęła ją więc złość i po prostu się bała.

Ustyszałem odgłos ocierania się o podłogę nóg odsuwanego krzesła. Słyszałem też układanie talerzy w stos i nerwowe zbieranie sztuczków.

- Zjedz nuggety - z ust Eve padło tym razem surowsze pole-cenie.

- Najadłam się - oznajmiła Zoë.

- Nic nie zjadłaś. Jakim cudem możesz być najedzona?

- Nie lubię nuggetów.

- Nie odejdziesz od stołu, dopóki ich nie zjesz.

- NIE LUBIĘ NUGGETÓW! - wykrzyczała Zoë i świat zrobił się nagle bardzo smutnym miejscem.

Lęk. Oczekiwanie. Ekscytacja. Antypatia. Wszystkie te odczucia mają rozpoznawalny zapach; z jadalni wydobywał się w tamtym momencie zapach niejednego z nich.

Po dłuższej chwili milczenia odezwał się Denny.

- Zrobię ci hot doga.

- Nie - zaprotestowała Eve. - Ona zje nuggety. Lubi je, a teraz po prostu kaprysi. Jedz!

Znowu pauza i wreszcie odgłos dziecięcego krztuszenia się. Denny był gotów wybuchnąć śmiechem.

- Zrobię jej hot doga - powtórzył.

- Zje te cholerne nuggety! - wrzasnęła Eve.

- Ona ich nie lubi. Zrobię jej hot doga - odpowiedział stanowczym tonem Denny.

- Nie, nie zrobisz! Ona lubi nuggety, a zachowuje się tak, bo ty tu jesteś. Nie będę gotować drugiego obiadu za każdym razem, kiedy sobie wmówi, że czegoś nie znosi. Sama prosiła o tego przekłętą kurczaka i teraz go zje!

Wściekłość też ma łatwo rozpoznawalny zapach. Zoë się rozplakała. Podeszedłem do drzwi jadalni i zajrzałem do środka. Eve stała u szczytu stołu, z udręką na poczerwieniałej twarzy. Zoë ronila łzy na



nuggety. Denny też stał, żeby wydać się wyższym. Pan domu koniecznie musi być wyższy. Czasami nawet postawa może sprawić, że zbuntowany członek stada zaniecha buntu.

\_ Przesadnie reagujesz - stwierdził Denny. - Idź się położyć i pozwól mi skończyć tę sprawę.

- Zawsze stajesz po jej stronie! - wygarnęła mu Eve.

- Chcę po prostu, żeby zjadła obiad.

- Dobrze - wyszczała Eve. - Wobec tego ja zrobię jej hot doga.

Odbiegła od stołu i nieomal mnie zmiażdżyła, kiedy wpadała do kuchni. Otworzyła na oścież lodówkę, wyrwała stamtąd opakowanie hot dogów, po czym odkręciła kran i pottrzymała hot dogi pod bieżącą wodą. Sięgnęła potem po nóż, wbiła go w opakowanie, a wtedy ów wieczór przestał być czasem niezapadających w pamięć argumentów, przemienił się natomiast w czas niepodważalnych i trwałych dowodów. Jakby nóż miał własną wolę i chciał mieć swój udział w katastrofalnej sytuacji - ostrze zsunęło się z mokrego, ale zamrożonego jeszcze opakowania i wbiło się głęboko w mięsistą tkankę lewej dłoni Eve, między kciuk a resztę palców.

Nóż wylądował z brzękiem w zlewie, Eve jęknęła i chwyciła się za rękę. Wodniste krople krwi upstrzyły tylną ściankę zlewu. Po chwili był już przy niej Denny ze ścierką do naczyń.

- Niech się temu przyjrzę - powiedział, zdejmując nasiąkniętą krwią ścierkę z ręki Eve, trzymanej przez nią za nadgarstek, jak gdyby nie była to już część jej ciała, lecz obca istota, która ją zaatakowała.

- Powiniennem cię zawieźć do szpitala - stwierdził Denny.

- Nie! - wrzasnęła. - Nie do szpitala!

~ Potrzebne będą szwy - ocenił, przypatrzywszy się krwawiącej ranie.

Eve nie zareagowała od razu, ale w jej oczach pojawiły się łzy Nie z bólu, lecz ze strachu. Straszliwie bała się lekarzy i szpitali. Bała się, że kiedy trafi do szpitala, nigdy już jej stamtąd nie wy. puszcza.

- Proszę - szepnęła do Denny'ego. - Proszę cię. Nie do szpitala. Denny jęknął i pokręcił głową.

- Spróbuję zatamować krew - obiecał.

Zoë stała przy mnie z nuggetem w ręku i w milczeniu patrzyła szeroko otwartymi oczami na tę scenę. Oboje nie wiedzieliśmy, co robić.

- Zoë, posłuchaj, maleńka - odezwał się Denny. - Poszukaj w szafie w holu opatrunków w kształcie motyli. Założymy jeden z nich mamie, zgoda?

Zoë nie ruszyła się z miejsca. Nie mogła. Wiedziała, że to ona naraziła mamę na ból. Z rany Eve sączyła się krew Zoë.

- Proszę cię, Zoë - Denny postawił żonę na nogi. - Niebiesko--białe pudełko z narysowanym

motylem.

Zoë ruszyła na poszukiwania. Denny zaprowadził Eve do łazienki i zamknął drzwi. Usłyszałem okrzyk bólu, który wydała Eve.

Kiedy Zoë wróciła z pudełkiem opatrunków, nie wiedziała, gdzie są rodzice, podprowadziłem ją więc pod łazienkę i zaszczekałem. Denny, uchylwszy drzwi, wziął opatrunki.

- Dziękuję, Zoë. Teraz zaopiekuję się mamą. A ty możesz się pobawić albo pooglądać telewizję.

Zamknął drzwi.

Zoë przez chwilę patrzyła na mnie z niepokojem w oczach; chciałem jej pomóc. Ruszyłem w stronę pokoju telewizyjnego, po czym obejrzałem się za siebie. Zoë jeszcze się wahała, wróciłem więc po nią. Zachęciłem ją lekkim szturchnięciem i tym razem poszła za mną. Usiadłem przed telewizorem, czekając, aż go włączymy a ona szybko to zrobiła. Oglądaliśmy Klan na drzewie. Potem weszli Denny i Eve.

Zobaczyli, że oglądamy telewizję, i na ten widok poczuli chyba ulgę? - Usiedli obok Zoë; bez słowa patrzyli z nami. Gdy odcinek się skończył, Eve wyłączyła pilotem głos.

- Rana nie jest bardzo groźna - powiedziała do Zoë. - Jeśli jesteś jeszcze głodna, mogę ci zrobić hot doga...

Zoë pokręciła głową.

A wtedy Eve się rozplakała. Obserwowana przez nas, siedziała na kanapie, jakby zapadła się w sobie - widziałem, że traci energię.

- Tak mi przykro - zaszlochała. Denny objął ją i przytulił.

- Nie chcę taka być - mówiła przez łzy. - To nie jestem ja. Tak mi przykro. Nie chcę być wredna. Nie jestem taka.

„Trzeba być czujnym” - pomyślałem. „Zebra może się kryć wszędzie”.

Zoë przytuliła się mocno do matki, co u obu wywołało powódź łez; dołączył do nich Denny, który unosił się nad nimi jak śmigłowiec gaśniczy, tłumiąc ogień wiadrem swoich łez.

Wyszedłem. Nie dlatego, że wyczułem ich potrzebę prywatności, uwierzcie mi. Wyszedłem, bo uznałem, że rozwiązali swoje problemy i wszystko w moim świecie wróciło do normy.

A poza tym byłem głodny.

Powędrowałem do jadalni i poszukałem resztek na podłodze. Niewiele ich było. Znalazłem jednak coś dobrego. Trafił mi się nugget z kurczaka.

Zoë wypuściła go zapewne z ręki, gdy Eve się skaleczyła. Nugget wydał mi się niezłą przekąską. Pomyślałem, że zaspokoję nim głód do czasu, aż im przejdzie i przypomnę sobie, że trzeba mnie

nakarmić. Powąchałem mięso i odrzuciło mnie. Było niedobre! Powąchałem jeszcze raz. Zepsute. Śmierzące. Można by się nim

zatruc! Nuggetsy leżały zbyt długo w lodówce lub poza nią. Albo i jedno, i drugie - ten wniosek wysnułem, obserwując ludzką niefrasobliwość, jeśli chodzi o artykuły spożywcze i ich opakowania. Ten nugget, jak i prawdopodobnie wszystkie pozostałe, niewątpliwie się popsuł.

Było mi żal Zoë, wystarczyłoby przecież, aby powiedziała, że kurczak ma dziwny smak, a wówczas nie doszłoby do tego incydentu. Ale Eve znalazłaby - tak przypuszczam - jakiś inny pretekst do tego, żeby się zranić. Coś takiego było im potrzebne. Ta właśnie chwila. Miała wielkie znaczenie dla nich jako rodziny i ja to rozumiałem.

Na wyścigach mówi się, że samochód podąża za wzrokiem kierowcy. Kierowca, który w chwili utraty panowania nad samochodem nie może oderwać oczu od bandy, w nią właśnie wjedzie; kierowca patrzący na tor przed sobą, czując odrywanie się opon od nawierzchni, odzyska panowanie nad pojazdem.

Twój samochód jedzie tam, dokąd podążają twoje oczy. Oto po prostu jeszcze jeden sposób powiedzenia, że przyszłość pokaże, na co naprawdę cię stać.

Wiem, że to prawda - wyścigi nie kłamią.

W NASTĘPNYM TYGODNIU DENNY WYJECHAŁ, A MY PRZENIEŚLIŚMY SIĘ do rodziców Eve, aby być pod ich opieką. Rękę Eve zabandażowano, co przekonało mnie o tym, że rana okazała się groźniejsza, niż sama Eve chciała przyznać. Ale bynajmniej nie z tej rany wynikło spowolnienie jej aktywności.

Maxwell i Trish - Bliźnięta - mieszkali w bardzo oryginalnym domu na sporej, zalesionej parceli na wyspie Mercer, z przepięknym widokiem na jezioro Waszyngtona i Seattle. Mimo mieszkania w tak urokliwej okolicy należeli do najniezwyklejszych ludzi, jakich zdarzyło mi się kiedykolwiek spotkać. Nic ich nie zadowalało. Ciągłe mówili, że to czy owo mogłoby być lepsze, albo dziwili się, że co innego jest aż tak złe. Kiedy się pojawiliśmy, od razu zaczęli narzekać na Denny'ego. „On spędza zbyt mało czasu z Zoë. On nie dba o wasz związek. Jego psa powinno się wyką-Pac • Jakby moja higiena miała w ogóle coś do rzeczy.

~ Co masz zamiar zrobić? - z tym pytaniem Maxwell zwrócił się do Eve.

Wszyscy stali w kuchni, kiedy Trish gotowała na obiad coś, co nie mogło Zoë przypaść do smaku. W ciepły, wiosenny wieczór Bliźnięta miały na sobie koszulki polo i luźne spodnie. Maxwell i Trish popijali manhattany z wisienkami, a Eve piła wino. Rodzice proponowali jej środek przeciwbólowy, który uchronił się po operacji przepukliny Maxwella sprzed kilku miesięcy.

- Dojdę do siebie - powiedziała Eve. - Czuję się dobrze.

- Ależ ty jesteś szczupła - odezwała się Trish.

- Nawet przy szczupłej figurze można się czuć grubą. Nieforemna.

- Ach tak.

- Pytałem, co masz zamiar zrobić z Denny'ym - przypomniał Maxwell.

- A co miałabym zrobić? - zdziwiła się Eve.

- Cokolwiek! Cóż on wnosi do waszego życia? Tylko ty zarabiasz!

- Jest moim mężem i ojcem Zoë, kocham go. Cóż więcej miałby wnosić do naszego życia?

Maxwell prychnął i uderzył pięścią w blat. Wzdrygnąłem się.

- Przestraszyłeś psa - upomniała go Trish. Rzadko używała mojego imienia. Słyszałem, że tak się postępuje w obozach jenieckich. Chodzi o depersonalizację.

- Jestem po prostu rozczarowany - stwierdził Maxwell. - Dla moich dziewczynek chcę wszystkiego, co najlepsze. Za każdym razem, kiedy tutaj się przenosisz, przyczynę stanowi jego wyjazd na wyścig. To nie jest dla ciebie dobre.

- Ten sezon ma naprawdę ogromne znaczenie dla jego kariery - powiedziała Eve, starając się zachować zimną krew. - Chciałabym okazywać większe zainteresowanie, staram się, jak umiem, a on to docenia. Nie potrzebuję jednak twoich pretensji z tego powodu.

- Przepraszam. - Maxwell podniósł ręce, jakby się poddawał. -Przepraszam. Po prostu chcę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze.

\_ Wiem, tato - przyznała ?ve i pocałowała go w policzek. - Ja też chcę dla siebie wszystkiego, co najlepsze.

?ve poszła ze swoim winem za dom, a ja zostałem na miejscu. Maxwell otworzył lodówkę i wyjął z niej stoik ostrych papryczek, które bardzo lubił. Wciąż się nimi zajadał. Po otwarciu słoika wsunął do niego palce i wyciągnął długie peperoncino, po czym wgryzł się w przysmak.

- Widzisz, jaka ona wątpa? - zapytała Trish. - Jest chuda jak chart. Ale czuje się gruba.

Maxwell pokręcił głową.

- Moja córka żoną mechanika, nie, nawet nie mechanika. On jest pracownikiem technicznej obsługi klientów. Gdzie popełniliśmy błąd?

- Ona zawsze sama wybierała - odparła Trish.

- Ale przynajmniej sensownie. Przecież jest specjalistką od historii sztuki. I trafił się jej ktoś taki...

- Pies na ciebie patrzy - powiedziała po chwili Trish. - Może ma ochotę na papryczkę.

Maxwell przybrał inny wyraz twarzy.

- Chcesz coś dobrego, mały? - zapytał, podając mi peperoncino. Nie po to go obserwowałem. Chciałem lepiej zrozumieć jego

słowa. Ale że byłem głodny, to powąchałem papryczkę.

- Są dobre - zachęcił Maxwell. - Import z Włoch. Przyjął

em od niego peperoncino i zaraz poczułem swędzenie na Jeżyku. Ugryzłem, a usta wypełniła mi paląca ciecz. Szybko to Przełknąłem i pomyślałem, że przykre doświadczenie się skończyło - kwas w moim żołądku na pewno sobie poradzi z kwasem Patyczki - ale dopiero wtedy zaczął się prawdziwy ból. Czuję się ak> jakby mi ktoś oskrobał w środku gardło. Mój żołądek się buntował. Natychmiast

wyszedłem z kuchni i z domu. Na zewnątrz przy tylnych drzwiach, stała moja miska z wodą; rzuciłem się na nią, ale niewiele to pomogło. Przeniósłem się pod pobliskie krzaki i ułożyłem w cieniu, aby doczekać ustąpienia zgagi.

Kiedy wieczorem zostałem wyprowadzony przez Trish i Maxwell-la (Eve od dawna już spała), stanęli na tylnym ganku i powtarzali swoją głupią mantrę:

- Nie ociągaj się, mały, nie ociągaj się.

Jeszcze trochę wytrącony z równowagi, odszedłem od domu dalej niż zwykle, przyjąłem odpowiednią pozycję i załatwiłem się. A potem zobaczyłem luźny i wodnisty stolec, a gdy to powąchałem, poczułem obrzydliwy zapach. Wiedziałem, że to koniec kłopotu, ale od tamtej pory wystrzegam się jedzenia, które mogłoby mi zaszkodzić, i nie przyjmuję niczego od ludzi niebudzących mojego pełnego zaufania.

KOLEJNE TYGODNIE MIJAŁY NADZWYCZAJ SZYBKO, JAK GDYBY WEJŚCIE w jesień było misją największej wagi. Na rozpamiętywanie pojedynczych sukcesów nie pozostawało wiele czasu: pierwsze zwycięstwo Denny odniósł na początku czerwca w Lagunie, na Road Atlanta stanął na podium jako trzeci, a wyścig w

Denver ukończył na ósmej pozycji. Tamten tydzień z chłopakami w Sonomie ułatwił współpracę z obsługą techniczną, ale wszystko to spoczywało na barkach Denny'ego. Na jego szerokich barkach.

Było o czym rozmawiać, kiedy latem siedzieliśmy przy obiedzie. Trofea. Fotografie. Późno wieczorem powtórki w telewizji. Nagle zaczęli się pojawiać różni ludzie, goście obiadowi. Nie tylko Mike, kolega Denny'ego z pracy, gdzie wszyscy chętnie się dostosowywali do jego zwariowanego harmonogramu, ale też inni. Weteran NASCAR -u Derrike Cope. Uwieczniony w Hali Sławy Sportów Motorowych Chip Hananer. Poznaliśmy nawet Lucę Pantoniego, kogoś bardzo ważnego w głównej siedzibie firmy Ferrari we włoskim Maranello, człowieka, który odwiedzał najlepszego trenera wyścigowego w Seattle, Dona Kitcha juniora. Nigdy nie złamałem własnej zasady i nie wszedłem do jadalni - jestem zbyt porządnym, by się inaczej zachować. Ale, zapewniam, siedziałem na progu. Moje pazury były już w pokoju, co zbliżało mnie do wielkiego świata. W ciągu tamtych paru tygodni dowiedziałem się więcej o wyścigach niż we wszystkich poprzednich latach, kiedy oglądałem filmy na wideo i transmisje telewizyjne. Nadstawiałem uszu, gdy znakomity trener Ross Bentley mówił o oddychaniu - o oddychaniu!

Zoë paplała bez przerwy, zawsze miała coś do powiedzenia i do pokazania. Siedziała u Denny'ego na kolanach i z szeroko otwartymi oczami pochłaniała każde wypowiedziane przez niego słowo, a w odpowiednim momencie padała z jej ust jakaś, zasłyszana od Denny'ego, prawda o wyścigach, na przykład „powolne ręce przy wielkiej szybkości, szybkie ręce przy powolnej jeździe”, a wszyscy ci mistrzowie byli wtedy pod wrażeniem. W takich chwilach Zoë napawała mnie dumą; ponieważ sam nie mogłem zaimponować tamtym specom od wyścigów swoją wiedzą, dzięki Zoë miałem przynajmniej namiastkę tej przyjemności.

Eve była znów szczęśliwa: jak to sama określała, chodziła na ćwiczenia „na macie” i wyrabiała sobie mięśnie, często też - nawet bardzo natarczywie - przypominała Denny'emu o potrzebach swego urodzajnego pola. I wyraźnie poprawił się jej stan zdrowia, na co nie było żadnego wyjaśnienia - zniknęły bóle głowy i mdłości. Ale, o dziwo, dokuczala jej wciąż zraniona ręka; czasami przy gotowaniu podtrzymywała nadgarstek. Dźwięki docierające do mnie z sypialni późnym wieczorem pozwalały się jednak domyślać, że jej ręce zachowywały tyle elastyczności, by Denny'ego i ją sani? uczynić bardzo szczęśliwymi ludźmi.

Cóż, po każdym szczycie następuje dolina. Kolejny wyścig Denny'ego miał ogromne znaczenie, bo dobry finisz mógł ugruntować jego pozycję najlepszego w tym roku wśród nowych kierowców. W wyścigu na Phoenix International Raceway Denny został na pierwszym okrążeniu potrącony.

Oto jedna z zasad wyścigów: żadnego wyścigu nie wygrywa się na pierwszym zakręcie, ale wiele z nich tam właśnie przegrano.

Denny znalazł się w złym miejscu. Ktoś próbował opóźnić hamowanie. Opony, które się nie obracają, nie pracują. Napastnik przewalił w lewe przednie koło samochodu Denny'ego i popsuł geometrię podwozia. Koło ustawiło się rozbieżnie, tak że samochód czołgał się jak krab, tracąc na każdym odcinku cenne sekundy.

Stabilność, opóźnienie hamowania, odcięcie drogi, wykoślawienie błotnika - czysty żargon. To po

prostu pewne terminy przydatne do opisywania otaczających nas zjawisk. A liczy się nie tyle precyzja opisu zdarzenia, ile ono samo i jego skutek - w tym przypadku zniszczenie samochodu Denny'ego. Ukończył wyścig, ale ukończył NJO. Tak to określił, opowiadając mi całą historię. To nowa kategoria. Istnieje już WNW: „wcale nie wystartował”. Istnieje też WNU: „wcale nie ukończył”. I pojawiło się NJO: „niestety jako ostatni”.

- To po prostu nie fair - powiedziała Eve. - Winien był tamten kierowca.

-Jeśli ktokolwiek zawinił - odparł Denny - to ja sam, bo byłem tam, gdzie mogli mnie trafić.

Już nie raz słyszałem od niego takie słowa: złość na innego kierowcę z powodu kraksy nie ma sensu. Trzeba obserwować sąsiadów, orientować się, co potrafią, rozpoznawać ich pewność siebie i agresywność i dostosowywać się do ich jazdy. Trzeba wiedzieć, ^to jest obok. Wszelkie problemy obciążają mnie samego, bo to ode mnie zależy, gdzie jestem i co tam robię.

Czy sam winien, czy też nie, Denny był zdruzgotany. Zoë była zdruzgotana. Eve była zdruzgotana. A ja - przynębiony. Tak niewiele brakowało do wielkości. Już nam pachniała jak pieczeń wieprzowa. Ten zapach lubi każdy. Ale co jest gorsze: czuć pie. czyste i nie ucztować czy w ogóle niczego nie czuć?

Sierpień był gorący i suchy, trawa w okolicy stała się brunatna i zmarniała. Denny spędzał czas na różnych wyliczeniach. Wyni. kało z nich, że jeszcze mógłby się zmieścić w pierwszej dziesiątce i być może, zostać najlepszym wśród nowych kierowców tego roku, a każde z tych osiągnięć zapewniłoby mu starty w przyszłym roku.

Siedzieliśmy na tylnym ganku, rozkoszując się przedwieczornym słońcem i czując zapach owsianych placków, które Denny właśnie smażył. Zoë zajęła się zraszaczem. Denny delikatnie masował bolącą dłoń Eve. Ja leżałem obok, starając się udawać iguanę: wchłaniałem jak najwięcej ciepła, aby rozgrzać swą krew, licząc na to, że jeśli wchłonę go dość, to przetrwam zimę, która pewnie będzie sroga, posępna, męcząca, bo tak zwykle jest w Seattle po upalnym lecie.

- A może nie doczekamy się tego - powiedziała Eve.

- Doczekamy się w swoim czasie - pocieszył ją Denny.

- Ale ciebie nigdy nie ma, gdy jajeczkuje.

- W takim razie wybierz się ze mną w przyszłym tygodniu. Zoë będzie zachwycona; zatrzymamy się gdzieś, gdzie jest basen. Uwielbia baseny. A ty będziesz mogła przyjść na wyścig.

- Nie mogę - wyznała Eve. - Nie teraz. To znaczy, chciałabym tam być, naprawdę bym chciała. Ale wiesz przecież, że ostatnio dobrze się czuję. I dlatego... boję się. Na torze jest tak głośno i tak gorąco, pachnie gumą i benzyną, w uszach dźwięczą mi fale radiowe, a wszyscy dookoła krzyczą, żeby siebie nawzajem usłyszeć. Mogłoby to... mogłabym źle na to zareagować.

Denny uśmiechnął się i westchnął. Nawet Eve zdobyła się na uśmiech.



- Rozumiesz? - zapytała.

\_ Tak — odpowiedział Denny.

Ja też rozumiałem. To, co dotyczy torów. Tamtejsze dźwięki, zapachy. Przestrzenie za boksami, rozpierająca energia, rozgrzewanie silników wyścigowych samochodów, wyczuwalne z każdego stanowiska. Prąd, który przebiega przez cały teren, gdy spiker wzywa kolejny zespół. Obserwacja gorączkowych przygotowań do startu i domysły co do toku wyścigu, kiedy samochody są niewidoczne, bo jadą w innych częściach toru, potem ich start albo finisz w zupełnie innej kolejności, uniki, wybiegi taktyczne, nagłe oddalanie się i wślizgiwanie w następny zakręt, przez co wszystko może się znów odmienić. Denny i ja ekscytowaliśmy się tym, jawiło się to nam jako źródło życia. Ale doskonale rozumiem, że coś, co nam dodawało energii, mogło być toksyczne dla kogo innego, zwłaszcza dla Eve.

- Moglibyśmy użyć kuchennej pipety - powiedział Denny, a Eve wybuchnęła gromkim śmiechem, głośniejszym niż ostatnimi czasy.

- Zostawiłbym ci w kubeczku w lodówce gromadkę przyszłych dzidziusiów - dodał Denny i wywołał jeszcze większą salwę śmiechu. Ja nie zrozumiałem tego dowcipu, ale Eve wydał się on niesamowicie zabawny.

Eve wstała, weszła do domu, po chwili zaś przyniosła z kuchni pipetę. Przyglądała się jej z dziwnym uśmiechem i wodziła palcami po jej ściankach.

- Hmm - powiedziała. - Może się nada.

Oboje się rozchichotali, a potem i oni, i ja patrzyliśmy na traw-nik: na Zoë z mokrymi włosami, które opadały lśnącymi lokami na ramiona. Widzieliśmy jej dziecięce bikini i opalone stopy. Gdy krążyła dookoła zraszacza, była w tym czysta radość - okrzyki, Plski i śmiech Zoë rozbrzmiewały echem na ulicach Dzielnicy Centralnej.

## SAMOCHÓD PODAŻA ZA WZROKIEM KIEROWCY.

Wybieraliśmy się do Denny Creek, ale nie dlatego że nazwano to miejsce imieniem Denny'ego (tak nie było), lecz po prostu z tego powodu, iż bardzo dobrze się tam jechało, później zaś Zoe po raz pierwszy wędrowała w traperkach, a ja zostałem spuszczonej ze smyczy. Lato w Górach Kaskadowych jest zawsze przyjemne, chłodne w cieniu cedrów i olch. Na szlakach było niezbyt tłoczno, co ułatwiało dłuższe marsze, a poza ścieżkami znajdowało się - miłsze dla psów - miękkie i gąbczaste podłoże z opadłych igieł, które gnijąc, zapewniają drzewom nieustanną pożywkę. I ten zapach!

Gdybym miał jeszcze jądra, taki aromat wywołałby u mnie erekcję. Bogactwo i urodzaj. Rozrost i śmierć, pożywka i rozkład. Oczekiwanie. Po prostu oczekiwanie na kogoś, kto poczuje owe przyziemne warstwy zapachów, z których każdy ma swoje aromatyczne znaczenie, swoje własne miejsce. Tak dobry nos jak mój rozróżnia wszystkie zapachy, rozpoznaje je i znajduje w nich upodobanie-Rzadko kiedy pozwalam sobie na luz, bo przecież wprawiam si?

we właściwej ludziom powściągliwości, ale tamtego lata, w tamtym dniu, pomny wszystkich radosnych zdarzeń w naszym życiu, mając na względzie sukces Denny'ego, entuzjazm Zoë, a także wesołość i swobodę Eve, biegałem po lasach bez opamiętania, niczym oszalały pies, dawałem nura w krzaki, przeskakiwałem przez wyrwione drzewa, niezbyt gorliwie uganiałem się za wiewiórkami ziemnymi, szczekałem na sójki i turlałem się, przysparzając sobie zadrapań na grzbiecie przez kontakt z patykami, liśćmi, igłami i ziemią.

Wędrowaliśmy szlakiem, wspinaliśmy się na wzgórze i schodziliśmy z nich, pozostawialiśmy za sobą korzenie i występy skalne, aż w końcu dotarliśmy do tak zwanych Śliskich Płyt, gdzie potok (Denny Creek) płynie nad szerokimi i płaskimi kamieniami, tu i ówdzie wolniej, a w innych miejscach całkiem wartko. Dzieci uwielbiają te Śliskie Płyty, pomiędzy którymi przemyka woda, tworząc śluzy i rozbijając kamienie na mniejsze. Tak więc dotarliśmy tam i napiłem się wody, zimnej i zdatnej do picia, tej reszty, która

pozostała po zeszłorocznym śniegu. Zoë, Denny i Eve rozebrali się do kostiumów kąpielowych, po czym pływali bez pośpiechu. Zoë była już w takim wieku, że potrafiła samodzielnie przepłynąć pewne odcinki, ale mimo to Denny asekurował ją od dołu, Eve zaś od góry i tak oto razem pomagali córce pokonać wartki nurt, przy czym Eve nadawała jej właściwy kierunek, więc Zoë udawało się spływać coraz niżej w dół strumienia. Suche kamienne płyty zapewniały przyczepność, a na mokrych powstawała śliska powłoka. Zoë wpadała, wijąc się i piszcząc, do zimnej sadzawki u stóp Denny'ego, ten zaś podnosił ją szybko i oddawał żonie, która kierowała ją znowu w dół. I znowu.

Ludzie, tak jak psy, bardzo lubią powtórzenia. Uganianie się za Płką, kolejne okrążenia pokonywane samochodem wyścigowym, leszcze jeden zjazd ze stoku. Otóż każde z tych zdarzeń jest podobne do innych, choć także i na swój sposób odmienne. Denny wbiegał po płycie, oddawał Zoë i wracał na swoje miejsce przy sadzawce Eve zanurzała córkę, ta zaś, rozbawiona, krzyczała i rzucała się na-przód, po czym ześlizgiwała się po płycie, a wtedy znowu chwytał ją Denny.

Jeden raz stało się inaczej. Eve zanurzyła córkę, lecz Zoë nie krzyczała i nie rozbryziwała wody, tylko nagle wydobyla stopy z zimnego potoku, powodując, że Eve straciła na chwilę równowagę. Matka jednak utrzymała się na nogach i postawiła Zoë na suchej kamiennej płycie, tyle że ten ruch okazał się zbyt raptowny.

Kobieta straciła grunt pod nogami. Wyciągnęła ręce przed siebie, ale uchwyciła tylko powietrze i zacisnęła pustą pięść. Jej głowa z hukiem uderzyła o kamienną płytę, odbijając się od niej jak gumowa piłka. Staliśmy - chyba długo - czekając na dalszy ciąg. Eve leżała bez ruchu, a stojąca przy niej Zoë niestety nie wiedziała, co robić. Dziewczynka popatrzyła na ojca, który szybko do nich podbiegł.

- Wszystko w porządku?

Na twarzy Eve malował się ból, z trudem mrugała oczami. W ustach miała krew.

- Ugryzłam się w język - powiedziała niewyraźnie.

- A co z twoją głową? - zapytał Denny.

- Boli.

- Dojdiesz do samochodu?

Denny poprowadził Eve, ja i Zoë szliśmy przed nimi. Uważałem na dziewczynkę, bo chociaż nie potykała się, to jednak traciła orientację i mogłaby się zgubić. Pod wieczór dotarliśmy do szpitala w Bellevue.

- Zapewne masz niegroźny wstrząs mózgu - rzekł uspokajająco Denny. - Ale niech to sprawdzą.

- Czuję się dobrze - powtarzała wciąż Eve. Ja jednak widziałem to inaczej. Była oszołomiona, mówiła niewyraźnie i ogarniała ją senność, ale Denny budził ją i przestrzegał przed zaśnięciem, bo mógł to przecież być wstrząs mózgu.

Wszyscy weszli do szpitala, a ja zostałem w samochodzie z odrobinę opuszczonymi szybami. Usadoviłem się na małym jak kieszeń miejscu dla pasażera w bmw 3.0 CSI - aucie Denny'ego - i starałem się usnąć; we śnie nie odczuwałem tak wielkiej potrzeby siusiania jak na jawie.

KIEDY W MONGOLII ZDYCHA PIES, ZOSTAJE POCHOWANY WYSOKO, w górach, aby ludzie nie deptali jego grobu. Właściciel psa szepcze mu do ucha życzenie, by w następnym życiu powrócił na ziemię jako człowiek. Później odcina się psu ogon i kładzie go pod łeb, a w pysku umieszcza się trochę mięsa albo stoniny, jako pokarm dla duszy na czas jej podróży; zanim dochodzi do reinkarnacji, dusza psa zostaje wyzwolona i wędruje, jak długo chce, po kraju, przez pustynne wyżyny.

Dowiedziałem się tego z programu na kanale National Geographic, jest to więc chyba prawda. Ponoć nie wszystkie psy powracają? w ludzkiej postaci, a tylko te, które są gotowe powrócić.

Ja jestem gotów.

DENNY WRÓCIŁ PO KILKU GODZINACH, SAM. WYPUŚCIŁ MNIE I JAK tylko wygramoliłem się z miejsca dla pasażera, oblałem najbliższą latarnię strumieniem moczu.

- Przepraszam cię, stary - powiedział Denny. - Nie zapomniałem o tobie.

Kiedy skończyłem, otworzył opakowanie krakersów z masłem orzechowym, które pewnie kupił w automacie. Te krakersy lubię najbardziej. Smakuje mi połączenie soli i masła z tłuszczem orzeszków ziemnych. Starałem się jeść powoli, delektować się każdym kęsem, ale byłem zbyt głodny i łykałem je bardzo szybko, prawie wcale więc nie czułem smaku. Szkoda tak wspaniałego jedzenia dla psa. Czasami wręcz nienawidzę swej psiej natury.

Dość długo siedzieliśmy na ławce w zupełnym milczeniu. Denny Wydawał się zmartwiony, a ja wiedziałem, że w takiej sytuacji powi-menem po prostu przy nim być. Leżałem więc obok i czekałem.

Parkingi to dziwne miejsca. Ludzie uwielbiają swoje samochody Nv tuchu, ale kiedy auta przestają się ruszać, właściciele czym prędzej od nich uciekają. Nikt nie lubi długo siedzieć w zaparkowanym samochodzie. Przypuszczam, że ludzie obawiają się usłyszeć od kogoś przyganę z tego powodu. Jedynymi ludźmi, którzy siedzą w zaparkowanych samochodach, są policjanci i detektywi, czasem też taksówkarze, kiedy mają przerwę, ale ci przeważnie wtedy jedzą. A ja mógłbym godzinami siedzieć w zaparkowanym samochodzie i nikogo to nie zainteresuje. Dziwne, mógłbym być psem tropicielem - i co wtedy? Ale na tamtym przyszpitalnym parkingu,

0 bardzo czarnym dachu, nagrzanym jak zdjęty dopiero co sweter,

1 białych - bardzo białych - liniach wymalowanych z chirurgiczną precyzją, ludzie zostawiali swoje

samochody i uciekali od nich. Sprintem wbiegali do budynku. Albo też wypadali z budynku, aby czym prędzej wskoczyć do aut i odjechać bez ustawiania lusterka i oceny odstępu od sąsiadów, jakby ktoś ich gonił.

Denny i ja długo siedzieliśmy, obserwując przyjazdy i wyjazdy, niezajęci niczym poza oddychaniem; aby się porozumieć, nie potrzebowaliśmy słów. Po pewnym czasie na parking wjechał samochód, który zatrzymał się przy nas. Było to piękne, będące w idealnym stanie alfa romeo GTV z 1974 roku, w sosnowozielonym odcieniu, z fabrycznym otwieranym dachem z tkaniny. Powoli wysiadł z niego Mike i podszedł do nas.

Powitałem go, za co nagrodił mnie niedbałym pogłaskaniem po łbie. Mike zajął moje miejsce na ławce obok Denny'ego-Zauważyłem smętny nastrój, spróbowałem więc okazać trochę radości, ale kiedy zbliżyłem pysk do nogi Mike'a, ten mnie odsunął.

- Dziękuję, że przyjechałeś, Mike - powiedział Denny.

- Ależ to żaden problem. Gdzie Zoe?

- Mój teść zabrał ją do siebie i położył do łóżka.

Mike pokiwał głową. Trochę lepiej niż odgłosy ruchu na pob'1' skiej międzystanowej autostradzie 405 było słychać świerszcz\*

Wsluchaliśmy się w ich koncert, a także w szum wiatru, liści, samochodów i wentylatorów na dachu szpitala.

Oto, dlaczego nadaję się na człowieka. Bo słucham. Nie umiem mówić, więc słucham bardzo uważnie. Nigdy nie przerywam, nigdy nie zakłócam toku rozmowy własnym komentarzem. Ludzie, jeśli się im dobrze przysłuchać, ciągle zmieniają sobie nawzajem kierunek rozmowy. To tak, jakby pasażer samochodu nagle sięgnął po kierownicę i raptownie skręcił. Wyobraźmy sobie, na przykład, imprezę, podczas której chciałbym opowiedzieć o tym, że kiedyś, gdy odzyskiwałem piłkę z posesji sąsiada, zostałem popędzony przez jego psa i uciekając przed nim, wpadłem do basenu; a kiedy ciągnąłbym tę historię, ktoś z was, usłyszawszy o „piłce” i „sąsiedzie”, mógłby przerwać i wspomnieć, że w dzieciństwie miał za sąsiada Pelego, tego znanego piłkarza, ja zaś, okazując uprzejmość, zapytałbym, czy on nie grał w nowojorskim Cosmosie. I czy wspominający wychował się w Nowym Jorku. Mógłbym wtedy usłyszeć odpowiedź, że ten ktoś dorastał w Brazylii na ulicach Tres Coracoes, razem z Pelem. Musiałbym przyznać, że przypuszczałem, iż mój rozmówca pochodzi z Tennessee, ten zaś wyjaśniłby, że jednak skądinąd, i wdałby się w szczegółowe omówienie własnego rodowodu. Takim sposobem mój pierwotny pomysł na ożywienie rozmowy - śmieszna historia ucieczki przed psem sąsiada - zostałby zaprzeczony, i to tylko dlatego, że ktoś musiał opowiedzieć o Pelem. Uczcie się słuchać! Błagam was. Udawajcie, że jesteście Psami podobnymi do mnie i wolicie słuchać innych, niż okradać ich z historii, jakie mają do opowiedzenia.

W tamten wieczór nadstawiłem uszu i coś usłyszałem.

"-Jak długo ją potrzymają? - zapytał Mike.

~ Być może nawet nie zrobią biopsji. Mogą po prostu przeprowadzić operację i usunąć go. Złośliwy czy nie, wciąż daje się jej we znaki. Bóle głowy, mdłości, zmiany nastroju...

- Coś takiego... - zdziwił się Mike. - Zmiany nastroju? A nu? moja żona ma nowotwór.

Mike chciał zażartować i nie zastanowił się nad swoimi słowami, ale Denny nie miał tamtego wieczoru poczucia humoru. Zareago. wał ostro:

- To nie nowotwór, Mike. To narośl. Nie można mówić o nowotworze, zanim nie zbadają, co się dzieje.

- Przepraszam - powiedział Mike. - Chciałem... Przepraszam. Mike chwycił mnie za kark i wytarosił.

- Ciężka sprawa - stwierdził. - Gdybym był na twoim miejscu, wychodziłbym z siebie.

Denny wstał i się wyprostował. Mógł się wydać wysokim mężczyzną, choć taki nie był. Był facetem z Formuły 1. Dobrze zbudowanym, silnym, ale niewysokim. Waga musza.

-Ja wychodzę z siebie - powiedział.

Mike pokiwał głową w zadumie.

- Nie widać tego po tobie. Pewnie dlatego jesteś takim dobrym kierowcą - stwierdził, a ja zerknąłem na niego. Byłem tego samego zdania.

- Czy mógłbyś pojechać do mnie i zabrać to, co potrzebne psu?

Denny wyjął pęk kluczy i zaczął szukać w nim właściwego.

-Jedzenie jest w spiżarni. Weźmiesz dla niego półtora porcji. Na kolację pies dostaje trzy ciasteczka z kurczaka. I zabierz z sypialni jego legowisko. I jego psa. Po prostu zapytaj: „Gdzie twój pies? j a on go przyniesie, czasami go ukrywa.

Denny natrafił na klucz od domu i podał go Mikeowi, gdy tymczasem pozostałe klucze kołysały się na kółku.

-Jednym otwiera się dwa zamki - wyjaśnił.

- Poradzimy sobie - zapewnił Mike. - Mam ci przywieźć coś d° ubrania?

\_ Nie - odpowiedział Denny. - Rano pojedę do domu i spakuję torbę, jeśli tu zostaniemy. \_ Mam ci potem odwieźć klucze? \_ W szpitalu są klucze Eve.

Inne słowa nie padły, pozostały świerszcze, wiatr, ruch uliczny, wentylatory na dachu, daleki dźwięk syreny.

\_ Nie musisz wszystkiego dusić w sobie - odezwał się chwilę później Mike. - Możesz wyluzować. Jesteśmy na parkingu.

Denny popatrzył na swoje buty, te stare buty do połowy łydki, w których lubił chodzić na wycieczki; mówił kiedyś, że przydałyby mu się nowe, ale nie chciał na to wydawać pieniędzy, bo chyba miał nadzieję, że ktoś go obdaruje takimi butami na urodziny albo Boże Narodzenie, albo przy innej okazji. Nikt jednak nie zrobił mu takiego prezentu. Denny miał sto par rękawic wyścigowych, nikt jednak nigdy nie pomyślał o podarowaniu mu butów turystycznych. Ja słucham.

Denny spojrział na Mike'a.

- Dlatego Eve nie chciała iść do szpitala.

- Co mówisz? - zdziwił się Mike.

- Tego właśnie się bała.

Mike pokiwał głową, ale raczej nie rozumiał, co Denny miał na myśli.

- A twój wyścig w przyszłym tygodniu? - zapytał.

-Jutro zadzwonię do Jonny'ego i powiem, że w tym sezonie nie Mę jeździć - odparł Denny. - Muszę być tutaj.

Mike zabrał mnie do naszego domu po moje rzeczy. Poczułem się uPokorzony jego pytaniem: „Gdzie twój pies?”. Nie chciałem Sle przyznać, że jeszcze spiam z wypchanym zwierzakiem, '^tak było. Pokochałem tego psa i Denny miał rację, gdy mówił, e g° w ciągu dnia ukrywam, bo faktycznie tak robiłem. Nie uciałem, żeby Zoë dołączyła go do swojej kolekcji, poza tym

nie lubię, kiedy ludzie bawią się moim psem, na co mają ochotę ledwo go wypatrzą.

Wtedy jednak wydobyłem mojego psa z kryjówki pod sofą, po czym wsiedliśmy do alfy Mike'a i pojechaliśmy do niego. Jego żona - właściwie nie żona, lecz mężczyzna w tej roli - zapytała, co się dzieje, ale Mike zbył tę osobę i zrobił sobie drinka.

- Ten facet jest strasznie spięty - powiedział Mike. - Doczeka się tętniaka albo czegoś jeszcze.

„Żona" Mike'a podniosła mojego psa z podłogi, bo tam go rzuciłem.

- Czy to też musimy trzymać? - zapytała.

- Posłuchaj. - Mike westchnął. - Każdy potrzebuje czegoś, co daje poczucie bezpieczeństwa. Co ci

szkodzi ten pies?

- Śmierdzi - powiedziała „żona” Mike'a. - Upiorę go.

I włożyła go do pralki! Mojego psa! Pierwszą zabawkę, jaką dał mi Denny, wrzuciła do pralki... pełnej mydła! Nie wierzyłem własnym oczom. Byłem zdumiony. Nikt nigdy jeszcze nie potraktował tak mojego psa!

Patrzyłem przez szybkę w pralce na wirowanie mojego pieska w mydlinach, obserwowałem to. A oni się ze mnie śmiali. Nie, nie złośliwie. Sądzieli po prostu, że jestem głupim pieskiem - tak myślą wszyscy ludzie. Śmiali się, ja zaś prowadziłem obserwację, a kiedy już wydobyli pieska, owinęli go w ręcznik i umieścili w suszarce-ja zaś dalej czekałem. Tony, czyli „żona” Mike'a, wyciągnął pieska i, jeszcze ciepłego, podał mi go, mówiąc:

- Tak jest dużo lepiej, prawda?

W tamtej chwili chciałem go znienawidzić. Chciałem zapalać nienawiścią do całego świata. Zapraǳnęłem znienawidzić własnego pieska, który był głupim wypchanym zwierzakiem, podarowany” mi przez Denny'ego, kiedy ja sam byłem jeszcze szczeniakiem. Strasznie mnie rozzłościło nagłe rozbitcie naszej rodziny: ^ u Bliźniąt, Eve chora w szpitalu, ja poniewierany jak dziecko w rodzinie zastępczej. I teraz jeszcze mój piesek, pozbawiony brzydkiego zapachu. Chciałem wszystkich od siebie odepchnąć i zacząć samodzielne życie wśród moich przodków na pustynnych wyżynach Mongolii - strzec tam owiec przed wilkami.

Kiedy Tony oddał mi pieska, przez szacunek chwyciłem to zwierzątko zębami. I umościłem się z nim na swoim pośłaniu, bo tego oczekiwałby ode mnie Denny. Razem zwinęliśmy się w kłębek.

O ironio, spodobała mi się ta sytuacja.

Mój wypchany pies bardziej przypadł mi do gustu po wypraniu niż jako cuchnąca przytulanka. Nie wyobrażałem sobie wcześniej takiej czystości, a teraz była dla mnie jakby źródłem nadziei, przekonania, że to, co stanowi istotę naszej rodziny, nie może ucierpieć z powodu jakiegoś incydentu, przypadkowego umycia, niespodziewanej choroby. Byłem świadomy istnienia głębokiej więzi w naszej rodzinie - między Dennym, Zoë, Eve, mną, a nawet moim wypchanym psem. Jakikolwiek zmiany nastąpią wokół nas, my zawsze będziemy razem.



JAKO PIES, W NIEWIELE SPRAW BYŁEM WTAJEMNICZANY. NIE wpuszczano mnie do szpitala, w którym słyszałbym ciche rozmowy, diagnozę, prognozę, analizę, widziałbym lekarza w niebieskiej czapce i niebieskim fartuchu, szeptem mówiącego o swych obawach i sygnałach, które wszyscy powinni byli wcześniej dostrzec, ujawniającego sekrety działania mózgu. Mnie nikt się nie zwierzał. I nikt nie konsultował się ze mną. Niczego nie oczekiwano ode mnie, bylebym tylko w stosownym czasie zrobił, co trzeba, na zewnątrz i bylebym na żądanie przestał szczekać.

Eve długo leżała w szpitalu. Wiele tygodni. Ponieważ Denny miał mnóstwo obowiązków - bo musiał zadbać o mnie, o Zoë i jak najczęściej odwiedzać Eve w szpitalu - uznał, że najlepiej będzie zastąpić spontaniczność naszego trybu życia systematycznością?-Dawniej Denny i Eve zabierali czasem Zoë do restauracji, ale odkąd Eve nie było, stale jedliśmy w domu. Dawniej Denny zabierał Zoë od czasu do czasu na śniadanie do jakiegoś baru kawowego, a pod nieobecność Eve śniadanie spożywałem) w domu. Na rytm dnia składał się cały cykl stałych wydarzeń: Zoë jadła płatki w tym czasie, gdy Denny przygotowywał dla niej woreczek z lunchem - czyli kanapkę z pełnoziarnistego chleba, na którym znajdowały się masło orzechowe i banan -a oprócz tego jeszcze chipsy, smaczne ciasteczka i małą butelkę wody mineralnej. Potem zostawiał Zoë na półkoloniach i jechał dalej, do pracy. Po pracy odbierał Zoë i wracał do domu, gdzie gotował obiad, a jego córka oglądała w tym czasie kreskówki. Po obiedzie Denny karmił mnie i jechał razem z Zoë do szpitala, żeby odwiedzić Eve. Później, gdy już byli w domu, Denny kąpał córeczkę, czytał jej jakąś historyjkę i kładł ją do łóżka. Jeszcze później zajmował się tym, czym należało się zająć, na przykład rachunkami do zapłacenia albo sporem z towarzystwem ubezpieczeniowym

0        nadmierne koszty leczenia, terminy płatności i tak dalej. Większość weekendu mijała w szpitalu. Nie był to zbyt urozmaicony tryb życia. Ale skuteczny. A ze względu na poważną chorobę Eve skuteczność stanowiła nasze największe osiągnięcie. Na spacery chodziłem dość rzadko, w parku dla psów nie bywałem w ogóle. Ani Denny, ani Zoë nie mieli dla mnie wiele czasu. Byłem jednak gotów się

poświęcić, byleby Eve powróciła do zdrowia, ale też w imię zachowania dynamiki życia rodzinnego. Postanowiłem, że nigdy nie stanę się zawodą.

Po dwóch tygodniach takiego życia Maxwell i Trish zaproponowali, że zabiorą Zoë na weekend do siebie, aby Denny mógł trochę odetchnąć. Powiedzieli mu, że źle wygląda i powinien odpocząć od kłopotów. Eve się z tym zgodziła. Ponoć, jak poinformował Zoë

1        mnie Denny, zapowiedziała, że nie chce go w ten weekend widzieć. Denny przyjął jej pomysł z mieszanymi uczuciami; widziałem to P° nim, gdy pakował Zoë na weekend u dziadków. Wahał się, czy 13 tam puścić. Ale w końcu się zdecydował i zostaliśmy sami. Była to bardzo dziwna sytuacja.

Robiliśmy wszystko, do czego dawniej przywykliśmy. Uprawia, liśmy jogging. Na lunch zamawialiśmy pizzę. Po południu obej. rzeliśmy świetny film Le Mans, w którym Steve McQueen zostaje poddany ekstremalnej próbie odwagi i wytrzymałości duchowej godnie znosząc tragedię i ból. Oprócz tego oglądaliśmy jedną z taśm Denny'ego, na której z lotu ptaka widać było wspaniały niemiecki tor Niirburgring, sfilmowany w latach jego świetności, kiedy tacy kierowcy jak Jackie Stewart czy Jim Clark pokonywali długą, bo dwudziestodwukilometrową, pętlę północną, Nordschleife, liczącą sto siedemdziesiąt cztery zakręty. Później Denny zabrał mnie do-oddalonego o kilka przecznic - Parku Błękitnego Psa, Blue Dog Park, i rzucał mi piłeczkę. Ale nawet ta wyprawa okazała się daremną stratą energii, bo jakiś ponury pies zaczął mnie ścigać i, gdziekolwiek się ruszyłem, skakał mi zaraz do gardła, gotów wbić w nie kły, nie mogłem więc biegać za piłeczką tenisową, tylko musiałem trzymać się blisko Denny'ego.

Wszystko wyglądało nie tak, jak powinno. Na przykład - nieobecność Eve i Zoë. We wszystkich naszych zajęciach czegoś brakowało. Kiedy już obaj zjedliśmy obiad, siedzieliśmy w kuchni i wierciliśmy się niespokojnie. Nic innego nie mieliśmy do roboty, mogliśmy tylko się wiercić. Bo przecież nic z tego, do czego przywykliśmy, nie sprawiało nam radości.

Wreszcie Denny wstał. Zabrał mnie na zewnątrz, więc się wysusiałem, żeby go ucieszyć. Dostałem na kolację te same ciasteczka, co zawsze, a potem Denny powiedział do mnie:

- Bądź grzeczny. - I dodał: - Muszę do niej pojechać. Poszedłem za nim aż do drzwi - też chciałem do niej pojechać.

- Nie - usłyszałem. - Zostań. Nie wpuszczą cię do szpitala. Zrozumiałem; odszedłem na swoje legowisko i tam się umości-

łem.

-        Dzięki, Enzo - rzucił Denny. I odjechał.

\Wrócił kilka godzin później, już po ciemku, i cicho się położył, drżąc z zimna, zanim pościel się rozgrzała. Uniosłem łeb, Denny spojrział na mnie.

\_ Ona wyzdrowieje - odezwał się do mnie. - Wyzdrowieje.

ZOE PRZYPIĘŁA MI SKRZYDŁA TRZMIEŁA, KTÓRE MIAŁA W POPRZEDNIM

roku na Halloween. Sama ubrała się w różowy strój baletnicy, czyli tiulową spódniczkę, trykot i pończochy. Wyszliśmy za dom i biegaliśmy razem wkoło, aż jej różowe stopy się całkiem ubrudziły.

Zoe i ja, bawiący się w słoneczne popołudnie na podwórku. Był wtorek po jej weekendzie u Maxwella i Trish; zdążyła już się pozbyć kwaśnego zapachu octu, którym przesiąkała w domu Bliźnięt. Denny wyszedł wcześniej z pracy i zabrał Zoe na zakupy, a właściwie wybrał się z nią po nowe adidas i skarpety. Po powrocie Denny zabrał się za sprzątanie, my natomiast - Zoe i ja - bawiliśmy się Tańczyliśmy, śmialiśmy się, biegaliśmy i udawaliśmy anioły.

Dziewczynka ściągnęła mnie w róg podwórka, tam, gdzie był kran. Na paru drewniakach leżała jedna z jej lalek Barbie. Zoe uklękła przy niej.

- Będzie dobrze - powiedziała do lalki. - Wszystko dobrze siC skończy.

Rozwinęła przyniesioną z domu ścierkę do naczyń. Miała w niej nożyczki, flamaster z ostrym czubkiem

i taśmę maskującą. Odłączyła głowę lalki. Nożyczkami obcięła jej włosy aż do samego plastiku. Następnie wyrysowała jakąś linię na skórze lalki, wciąż przy tym szepcząc:

\_ Wszystko dobrze się skończy.

Potem urwała trochę maskującej taśmy i owinęła nią głowę lalki. Połączyła głowę z szyją i położyła lalkę. Oboje przypatrywaliśmy się jej. Nastąpiła minuta ciszy.

- Teraz może odejść do nieba - wyjaśniła mi Zoë. — A ja będę mieszkać z babcią i dziadkiem.

Przygnębiło mnie to. Najwidoczniej Maxwell i Trish nie byli szczerzy, proponując Denny'emu weekendowy odpoczynek. Nie miałem dowodów, ale coś już przeczuwałem. Dla Bliźniąt był to pracowity weekend, bo starali się wcielić w życie jakiś plan. Już sadzili ziarna własnej historii, przędli nici propagandy, prorokowali przyszłość, jakiej chcieli dla Zoë.

**PO WEEKENDZIE I ŚWIĘCIE PRACY ZoE ZACZĘŁA CHODZIĆ DO SZKOŁY.**

Jak sama mówiła, do „prawdziwej szkoły”. Pierwszy etap to klasa zerowa. Zoe bardzo się cieszyła. Wieczorem przed pierwszym dniem szkoły przygotowała sobie ubranie: spodnie dzwony, adidas i

jasnożółtą bluzkę. Miała też tornister, pojemnik z drugim śniadaniem, piórniki i zeszyt. Denny i ja w wielce uroczystym nastroju odprowadziliśmy Zoe do następnej przecznicy - Martin Luther King Jr. Way - i poczekaliśmy na autobus, który miał ją zabrać do szkoły. Czekaliśmy razem z innymi dziećmi i rodzicami z sąsiedztwa.

Gdy autobus wolno wtaczał się na wzgórze, wszyscy odczuliśmy podekscytowanie.

- Pocałuj mnie teraz - powiedziała Zoe do Denny'ego.

- Teraz?

- Tak, zanim nadjedzie autobus. Nie chcę, żeby Jessie to widziała.

Jessie była jej najlepszą koleżanką z przedszkola i trafiła do tej samej zerówki.

Denny spełnił prośbę córki i pocałował ją przed przyjazdem autobusu.

\_ po lekcjach pójdziesz do świetlicy - przypomniał. - Wczoraj wyjaśniałem ci, jak tam dotrzeć. Pamiętasz?

\_ Tato! - oburzyła się.

\_ Odbiorę cię ze świetlicy. Czekaj tam na mnie. -Tato!

Denny zobaczył obrażoną minę córki i przez chwilę byłbym gotów przysiąc, że mam przed sobą Eve. Ten gniew w oczach. Te rozedrgane nozdrza. Ta zadziorna postawa osoby gotowej do walki \_  
podpieranie się pod boki, wysoko uniesiona głowa. Zoë szybko się odwróciła i wsiadła do autobusu, przeszła na jego tył, po czym pomachała nam i dopiero wtedy zajęła miejsce obok koleżanki.

Autobus pojechał do szkoły.

- Pierwsze dziecko? - zapytał Denny'ego któryś z ojców.

- Tak - odpowiedział Denny. - Jedynaczka. A u pana?

- Trzecie - wyjaśnił mężczyzna. - Ale nie ma to, jak odprowadzać pierwsze dziecko. One tak szybko rosną.

- O tak - potwierdził z uśmiechem Denny; odwróciliśmy się i poszliśmy do domu.

-

-

WSZYSTKO, CO TAMCI MÓWILI, MIAŁO SENS, ALE NIE POTRAFIŁEM powiązać tego w jedną całość. Było to w ów wieczór, kiedy Denny zabrał mnie do szpitala, żebym odwiedził Eve, choć nie wszedłem do środka. Po wizycie Zoë i ja czekaliśmy w samochodzie, a tymczasem Maxwell, Trish i Denny naradzali się na chodniku. Zoë była pochłonięta łamigłówkami-labiryntami, które uwielbiała, a ja uważnie słuchałem rozmowy. Mówili wciąż Maxwell i Trish.

- Oczywiście przez całą dobę musi przy niej dyżurować pielęgniarka.
- One pracują na zmiany...
- Owszem, ale ta, która ma dyżur, też robi sobie przerwy.
- Musi więc być ktoś, kto pomoże.
- A my jesteśmy zawsze na miejscu.
- Nie mamy innych zajęć...
- A ty musisz pracować.
- To jest więc najlepsze rozwiązanie.

- Tak, najlepsze.

Denny kiwał głową, choć bez przekonania. Potem wsiadł do samochodu i odjechaliśmy. \_ Kiedy mama wróci do domu? - zapytała Zoë. \_ Już wkrótce - odpowiedział Denny.

Przejeżdżaliśmy właśnie przez most pontonowy, który Zoë, kiedy była młodsza, nazywała „High 90”.

\_ Mama pomieszka trochę z babcią i dziadkiem - odezwał się Denny. — Dopóki się lepiej nie poczuje. Zgadzasz się?

\_ Tak - zapewniła Zoë. - A dlaczego tak ma być?

- Tak będzie łatwiej dla... - Denny nie dokończył myśli. - To będzie łatwiejsze.

Kilka dni później, w sobotę, Zoë, Denny i ja wybraliśmy się do domu Maxwella i Trish. W salonie już stało łóżko. Duże, szpitalne łóżko, które przesuwano się w górę i w dół, i na boki, a gdy się używało pilota, wyczytnało też inne rzeczy, ponadto miało szeroki podnózek, na którym wisiała tabliczka do pisania. Owo łóżko pojawiło się razem z pielęgniarką, niemłodą kobietą o pomarszczonej twarzy i głosie, który brzmiał tak, jakby każde słowo wyśpiewywała. Nie lubiła psów, ale ja nie miałem do niej żadnych zastrzeżeń. Ta pielęgniarka od razu zaczęła narzekać na moją obecność. Ku mojemu rozżaleniu, poparł ją Maxwell, a Denny się zmartwił i w końcu zostałem odesłany na podwórko, gdzie - na szczęście - wyratowała mnie Zoë.

- Mama przyjeżdża! - powiedziała.

Zoë była bardzo przejęta; miała na sobie ładną, cieniutką, bawełnianą sukienkę, którą chętnie nosiła. Zaraziła mnie wtedy swoim przejęciem, dołączyłem więc do świętujących prawdziwy powrót Eve do domu. Zoë bawiła się ze mną: ona rzucała mi piłkę, ja popisywałem Sle przed nią i tarzaliśmy się w trawie. Przeżywaliliśmy wspólnie, wyjątkowy dzień, bo przecież rodzina znów była razem.

-Już jest! - zawołał Denny od tylnych drzwi, my zaś, Zoë i ja, wbiegliśmy do domu, żeby ją zobaczyć; tym razem zostałem wpuszczony do środka. Najpierw weszła matka Eve, a za nią mężczyzna w luźnych, niebieskich spodniach i żółtej koszulce z jakimś log0. właśnie ten mężczyzna prowadził wózek, na którym siedziała biała postać o zgaszonym wzroku, manekin w kapciach. Maxwell i Denny przenieśli tę postać na łóżko, po czym pielęgniarka ją przykryła a Zoë powiedziała:

- Cześć, mamo.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że ową dziwną postacią nie jest manekin, lecz Eve.

Na głowie miała jakąś siatkę. Policzki jej się zapadły, a skóra poszarzała. Eve uniosła głowę i rozejrzała się.

- Czuję się jak choinka - powiedziała. - Wszyscy mnie otoczyli w salonie, jak gdyby się czegoś spodziewali. Nie mam żadnych prezentów.

Zebrani zaśmiali się niepewnie. A potem Eve spojrzała na mnie.

- Enzo - rzekła. - Podejdz.

Zamerdałem ogonem i ostrożnie się zbliżyłem. Nie widziałem jej, odkąd trafiła do szpitala, nie byłem więc przygotowany na to, co zobaczyłem. Odniosłem wrażenie, że szpital uczynił ją bardziej chorą, niż była w rzeczywistości.

- On nie wie, co myśleć - wyręczył mnie Denny.

- Wszystko w porządku, Enzo - usłyszałem od niej.

Ręka Eve zwiśla z łóżka, a ja dotknąłem jej nosem. Nie podobało mi się to wszystko: ani nowe meble, ani mizerny wygląd i smutek Eve, ani ci ludzie, którzy stali, jakby chodziło o Boże Narodzenie, tyle że bez prezentów. Nic nie było w porządku. I choć wszyscy się we mnie wpatrywali, stanąłem za plecami Zoë, po czym wyrząłem przez okno na skąpane w słońcu podwórze.

- Chyba się obraził na to, że jestem chora - odezwała się Eve. Wcale tak nie myślałem. W moich uczuciach był taki galimatias' że jeszcze dziś nie umiałbym ich klarownie objaśnić, chociaż tamto Aline!0 ime brakowało mi czasu na refleksje. Wtedy mogłem tylko się położyć, niczym dywan, przy łóżku Eve.

-Ja też się sobie nie podobam - wyznała Eve.

Tamto popołudnie ciągnęło się bez końca. Dochodziła pora obiadu; Maxwell, Trish i Denny przygotowali sobie koktajle, które bardzo poprawiły im nastrój. Z jakichś zakamarków wydobyto stary album ze zdjęciami Eve z lat dziecięcych; wszyscy śmiali się raz po raz, podczas gdy z kuchni, gdzie Trish przygotowywała jedzenie, dochodził zapach czosnku i oleju. Eve zdjęła nakrycie głowy; wszystkich zaskoczyły jej łysa czaszka i liczne dziwaczne blizny. Pielęgniarka pomogła jej wziąć prysznic. Po wyjściu z łazienki Eve - we własnej sukience zamiast szpitalnego stroju -wyglądała prawie tak samo jak zwykle, jednak w jej oczach czaiły się i smutek, i pogodzenie z losem. Próbowwała czytać córce, ale sama przyznała, że litery jej się rozmazują, dlatego Zoë starała się jak najlepiej poczytać mamie i to „jak najlepiej" wyszło całkiem dobrze. Ja powędrowałem do kuchni, gdzie Denny znów naradzał się z Trish i Maxwelllem.

- Naprawdę uważamy, że Zoë powinna zostać u nas - mówił Maxwell. - Dopóki...

- Dopóki... - powtórzyła Trish, która stała odwrócona przy kuchence.

Taki ogrom słów pozostaje niewypowiedziany. Tak wiele w języku zastępują spojrzenia, gesty i dźwięki, niebędące słowami. Ludzie nie są świadomi całej złożoności swojej komunikacji. Mechaniczne powtórzenie przez Trish tego jednego słowa „dopóki" w pełni ujawniło, co miała na myśli.

- Dopóki co? - zapytał Denny. Wyczułem irytację w jego głowie - Skąd wiesz, co się stanie? Nic nie wiecie, a już wydajecie na ^ Wyrok.

Trish z brzękiem rzuciła patelnię na palnik i wybuchnęła pja. czem. Maxwell otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie. Spojr^i na Denny'ego.



- Proszę cię, Denny. Musimy być realistami. Lekarz mówi) o sześciu, może ośmiu miesiącach. I nie pozostawił złudzeń.

Trish odsunęła się i uspokoiła, powstrzymawszy łzy.

- Moja maleńka - wyszeptwała.

- Zoë jest jeszcze dzieckiem - mówił dalej Maxwell. - To cenny czas, jedyny, jaki ona może spędzić razem z Eve. Nie wyobrażam sobie... ani przez chwilę nie uwierzę, że mógłbyś mieć coś przeciwko temu.

-Jesteś taki opiekuńczy - dodała Trish.

Widziałem, że Denny został przyparty do muru. Wcześniej zgodził się na pobyt Eve u rodziców, a oni teraz zapragnęli mieć u siebie także Zoë. Jeśliby się sprzeciwił, rozdzieliłby matkę i córkę. A jeśliby przyjął ich propozycję, znalazłby się na marginesie, byłby poza własną rodziną.

- Rozumiem was... - zaczął Denny.

- Na to liczyliśmy - wtrąciła Trish.

- Ale będę musiał porozmawiać z Zoë, żeby się przekonać, czego ona chce.

Trish i Maxwell spojrzeli po sobie niepewnie.

- Chyba nie mówisz poważnie... Pytać małą dziewczynkę, czego chce... ? - zdziwił się Maxwell. - Na miłość boską, ona ma dopiero pięć lat! Nie może...

- Porozmawiam z Zoë, żeby się przekonać, czego chce - powtórzył stanowczym tonem Denny.

Po obiedzie Denny zabrał Zoë na tył domu i usiedli na stopniach prowadzących na taras.

- Mama cieszyłaby się, gdybyś została tutaj z nią, babcią i dziad' kiem - zaczął. - Co o tym sądzisz?  
lo? zaczęła rozważać propozycję.

- A co ty o tym myślisz? - zapytała.

\_ Hmm... to chyba najlepsze rozwiązanie - stwierdził Denny.

|vlama bardzo się za tobą stęskniła i chciałaby, abyście spędzały więcej czasu razem. Niezbyt długo to potrwa. Póki mama nie wy-dobrzeje i nie wróci do domu.

- Ach tak - powiedziała Zoe. - A czy dalej będę jeździć do szkoły autobusem?

\_ Przez pewien czas raczej nie - wyjaśnił po zastanowieniu Denny. -Chyba babcia albo dziadek będzie cię zawozić do szkoły i odbierać. Gdy mama poczuje się lepiej, obie wróćcie do domu i wtedy znów będziesz mogła jeździć autobusem.

-Aha.

- Będę was codziennie odwiedzał - przyrzekł Denny. -1 w weekendy będziemy razem, a czasem przyjedziesz też do mnie. Ale tak naprawdę mama chce mieć cię przy sobie.

Zoe smętnie kiwała głową.

- Tak naprawdę babcia i dziadek też mnie chcą - oświadczyła. Denny był wyraźnie zmartwiony, ale dobrze - jak sądziłem -

ukrywał to przed córeczką. Zoe" odznacza się jednak równą bystrością, co jej ojciec. Mimo swych pięciu lat wiele rozumiała.

- W porządku, tato - powiedziała. - Wiem, że nie zostawisz mnie tutaj na zawsze.

Denny uśmiechnął się do Zoe, uściśnął jej dłoń i pocałował dziewczynkę w czoło.

- Nigdy bym tego nie zrobił.

I tak oto pobyt Zoe u dziadka i babci został postanowiony, choć

n'e ucieszyło to ani Denny'ego, ani jego córki.

Oboje mnie zadziwili - chyba bardzo trudno być człowiekiem. Ciągnąć

tłumić własne pragnienia. Robić to, co należy, a nie to, czego Samernu by się chciało. Gwoli szczerości przyznam, że w tamtym

momencie mocno zwątpiłem w moją zdolność do interakcji ru takim poziomie. Straciłem pewność, czy mógłbym kiedyś stać człowiekiem na miarę swoich oczekiwań.

Tego wieczoru, ale później, Denny siedział na pufie przy łóżku Eve i nerwowo stukał palcami we własną nogę.

- To nonsens - stwierdził nagle. - Ja też tu zostanę. Będę spać na kanapie.

- Nie, Denny - sprzeciwiła się Eve. - Będzie ci niewygodnie...

- Spałem już na tyłu kanapach... To nie problem.

- Proszę cię, Denny...

W głosie Eve i w jej oczach znać było takie błaganie, że Denny już nie nalegał.

- Proszę cię, jedź do domu - odezwała się Eve. Denny podrapał się po karku i spuścił wzrok.

- Zoë jest tutaj - stwierdził. - Twoi rodzice są tutaj. Mówiłaś, że chcesz dzisiaj zatrzymać tu też Enza. A mnie odsyłasz. Czym zawiniłem?

Eve westchnęła głęboko. Była bardzo zmęczona i chyba nie miała już dosyć siły, żeby cokolwiek Denny'emu wyjaśniać. Spróbowała jednak.

- Zoë nie będzie pamiętać - rzekła. - To, co myślą rodzice, jest mi obojętne. A Enzo... hmm... Enzo rozumie. Nie chcę jednak, żebyś ty oglądał mnie w takim stanie.

- W jakim stanie?

- Popatrz na mnie - poprosiła. - Mam ogoloną głowę, twarz starej kobiety. Mój oddech świadczy o tym, że psuję się od wewnątrz Jestem brzydka...

- Twój wygląd jest bez znaczenia - oznajmił Denny. - Widz? Ciebie. Widzę, jaka jesteś naprawdę.

- Ale ja się przejmuję swoim wyglądem - odpowiedziała Eve zmuszając się do uśmiechu, znanego nam z dawnych czasów^-

Kiedy patrzę na ciebie, widzę w twoich oczach swoje odbicie, jżie chcę, byś oglądał mnie brzydką.

penny odwrócił się od niej, jakby chciał ukryć swe oczy, dla ?ve - lustra. Wyrzał przez okno na podwórze za domem, oświetlone lampami wzdłuż krawędzi patio oraz lampkami zawieszonymi na drzewach; była to iluminacja naszego życia. Dalej, poza zasięgiem światła, zaczynała się strefa obcości. Wszystkiego, co nie było nami.

- Spakuję rzeczy Zoë i rano wrócę - powiedział w końcu Denny, nie odwróciwszy się w stronę Eve.

- Dziękuję, Denny - odrzekła z ulgą. - Możesz zabrać Enza. Nie chcę, żebyś się czuł osamotniony.

- Nie - zaprotestował. - Enzo powinien zostać. On za tobą tęskni.

Denny pocałował Eve na dobranoc, przykrył ją starannie i pozostawił mnie z nią. Nie wiedziałem, dlaczego Eve chciała, żebym był w pobliżu, ale pojąłem, dlaczego zależało jej na odjeździe Denny'ego; pragnęła przyśnić mu się taką, jaka była kiedyś, a nie teraz. Nie chciała, by obecny wygląd skaził ten jej obraz, którego życzyła mężowi. Nie rozumiała, że Denny potrafił ignorować jej fizyczność. On przygotowywał się już do wejścia w następny zakręt. Gdyby Eve posiadała podobną zdolność, być może jej życie potoczyłoby się inaczej.

W domu zapanowały spokój i mrok. Zoë była w łóżku, a Maxwell i Trish w swoim pokoju, wpatrzeni w telewizor, czego pozwalała S1C domyślać smuga światła pod drzwiami. Eve leżała w salonie, P°d opieką pielęgniarki, która w ciemnym kącie pokoju szukała ukrytych słów, zakreślając podpowiedzi w specjalnej książce. Za-legfem przy łóżku Eve.

Gdy zasnęła, poczułem szturchnięcie stopą. Uniósłem łeb i zo-aczyłem pielęgniarkę z palcem na ustach; usłyszałem, że mam być grzecznym psem i pójść za nią, co zrobiłem. Przeprowadziła mnie przez kuchnię i pralnię na tył domu, tam zaś otworzyła garaż.

- Wchodź - powiedziała. - Nie chcemy, żebyś zakłócał sen panj Swift.

Zdziwiony, popatrzyłem na pielęgniarkę. Ja miałbym przeszły, dzać Eve? Niby dlaczego?

Moje wahanie kobieta odebrała jako bunt, chwyciła mnie więc za kark i popchnęła. Gdy wpędziła

mnie już do ciemnego garażu zamknęła drzwi. Usłyszałem, że szurając kapciami, poczłapała z powrotem do domu.

Nie bałem się. Zdziwiła mnie tylko ciemność w garażu.

Nie było zbyt zimno ani strasznie, jeśli pominąć betonową podłogę i zapach oleju silnikowego w całkiem ciemnym pomieszczeniu. Jestem pewien, że nie było tam szurów, bo Maxwell dbał o to, by jego cenne auta znajdowały się w czystym garażu. Ale nigdy przedtem w garażu nie spałem.

Czas mijał, szcękając. Dosłownie. Obserwowałem to szcękające przemijanie na starym elektrycznym zegarze, który Maxwell trzymał na nieużywanym warsztacie. Był to jeden z owych staroświeckich zegarów z cyframi na małych, plastikowych tabliczkach, które obracają się dookoła wrzeczona oświetlonego maleńką żarówką, jedynym źródłem światła. Na każdą minutę przypadają dwa szcęknięcia: pierwsze po zwolnieniu małej, plastikowej połówki, drugie po usadowieniu się tejże połówki i pojawieniu się całkiem nowej cyfry. Szcęknięcie, szcęknięcie i mija minuta. Szcęknięcie, szcęknięcie - kolejna minuta. Tamten czas uwięzienia spędziłem-licząc owe dźwięki. Ale też wspominając oglądane kiedyś filmy-

Moimi ulubionymi aktorami są, w takiej właśnie kolejności, Steve McQueen i Al Pacino. Filmem absolutnie niedocenionym, podobnie jak rola Al Pacino w nim, jest Bobby Deetfield. Trzeci aktor, którego bardzo lubię, to Paul Newman; wyśmienicie prowadził w filmie

Wyścigowiec, prywatnie zresztą był doskonałym kierowcą wyścigowym, właścicielem zespołu wyścigowego. Lubię go też i dlatego, że sprowadzał olej palmowy z odnawialnych źródeł w Kolumbii, tym samym sprzeciwiając się wycinaniu lasów deszczowych na Borneo i Sumatrze. W czwartym ulubionym aktorem jest George Clooney, a przypadł mi do gustu, bo w Ostrym dyżurze nadzwyczaj inteligentnie leczy dzieci, no i dlatego że w okolicy oczu trochę przypomina mnie. Na piątym miejscu plasuje się Dustin Hoffman, przede wszystkim dlatego, że tak znakomicie spopularyzował w Absolwencie markę Alfa Romeo. Jednak najbardziej cenię Steve'a McQueena, nie tylko z powodu J.Mans i Bullitta, dwóch najwspanialszych filmów samochodowych, jakie kiedykolwiek nakręcono. Także z powodu filmu Papillon - jako pies wiem dobrze, co znaczy beznadziejne tkwienie w więziennej celi, codzienne oczekiwanie na otwarcie rozsuwanych drzwi i wsunięcie przez okienko miski z czymś mało pożywным.

Po kilku godzinach tamtego koszmaru otworzyły się drzwi garażu i ukazała się Eve w koszuli nocnej; rozpoznałem jej sylwetkę dzięki nocnemu światłu z kuchni.

- Enzo? - odezwała się.

Nie odpowiedziałem - po prostu wynurzyłem się z ciemności, odczuwając ulgę, że ją znowu widzę.

- Chodź ze mną.

Eve zabrała mnie z powrotem do domu, po czym zdjęła z sofy poduszkę i położyła ją tuż obok łóżka, na którym spała. Poprosiła, żebym się ułożył na tej poduszce, a ja to uczyniłem. Potem wróciła na swoje postanie i przykryła się po szyję.

-Jesteś mi potrzebny - powiedziała. - Nie odchódź już.

Ależ ja nie odszedłem! Zostałem porwany!

Czułem, że ogarnia ją senność.

-Jesteś mi potrzebny - powtórzyła. - Tak bardzo się boję. Tak bardzo się boję.

„Spokojnie - odezwałem się.-J es tern tutaj". Eve przesunęła się na brzeg łóżka i spojrzała na mnie ze łzami w oczach.

- Pomóż mi przetrwać tę noc - poprosiła. - Tylko tego potrzebuję Ochroń mnie. Nie pozwól, żeby to się stało dziś w nocy. Proszę cię, Enzo. Tylko ty możesz pomóc.

„Pomogę"- zapewniłem.

- Nie mam nikogo oprócz ciebie. Nie przejmuj się tą pielęgniarką, odesłałam ją do domu.

Zerknąłem w róg salonu - pomarszczona stara baba faktycznie odjechała.

- Na nic mi ona - rzekła Eve. - Jedynie ty możesz mnie ochronić. Proszę cię. Nie pozwól, żeby to się stało dziś w nocy.

Tamtej nocy w ogóle nie spałem. Zostałem na warcie, oczekując, że demon ukaże swoje oblicze. Ów demon zamierzał zabrać Eve, ale musiał najpierw natknąć się na mnie, a ja byłem gotów. Rejestrowałem każdy dźwięk, każdy trzask, każdą zmianę gęstości powietrza i - już to stojąc, już to przenosząc ciężar ciała z łapy na łapę - bez słów uświadomiłem demonowi, że będzie musiał zmierzyć się ze mną, jeśli zechce zabrać Eve.

Demon się nie pokazał. Rano zbudzili się wszyscy inni, Eve miała więc opiekę, a ja mogłem porzucić służbę wartowniczą i pospać.

- Co za leniwy pies! - usłyszałem wypowiedziane półgłosem słowa Maxwella, kiedy przechodził obok mnie.

I w tym samym momencie poczułem na karku głaszczącą mnie dłoń Eve.

- Dziękuję ci - powiedziała. - Dziękuję.

KILKA PIERWSZYCH TYGODNI NOWEGO TRYBU ŻYCIA - DENNY I JA w naszym domu, Eve i Zoë u Bliźnięt - minęło tak, iż Denny odwiedzał je co wieczór po pracy, a ja zostawałem w pojedynkę w domu. W okolicach Halloween Denny nieco zwolnił tempo, a bliżej Święta Dziękczynienia bywał już u nich tylko dwa razy w tygodniu. Ilekroć przyjeżdżał od Bliźnięt, opowiadał mi o świetnym wyglądzie Eve, coraz wyraźniejszej poprawie i jej rychłym powrocie do domu. Ale ja obserwowałem ją w weekendy, gdy zabierał mnie ze sobą w odwiedziny, i widziałem swoje. Stan zdrowia Eve nie poprawiał się i nie należało oczekiwać, że wkrótce znajdzie się w domu.

Denny i ja odwiedzaliśmy Eve w każdą sobotę; przywoziliśmy wtedy do nas Zoë, która po przespanej nocy, w niedzielę, wracała do mamy, zresztą i my tutaj często jadaliliśmy niedzielny obiad w Poszerzonym gronie. Zdarzyło się też, że spędziłem noc w salo-n'e> w którym spała Eve, już nigdy jednak nie potrzebowała mnie aż tak bardzo jak tamtej pierwszej nocy, gdy tak strasznie się bała.

chcieliśmy, aby Zoë, spędzając czas z nami dwoma, czuła radość,

lecz dziewczynka bynajmniej nie sprawiała wrażenia szczęśliwej: Czy mogła się czuć szczęśliwa, mieszkając z umierającą matką, a nie z pełnym życia ojcem?

Na krótko przedmiotem sporu stała się jej szkoła. Tuż po przejeździe do domu Maxwella i Trish zażyczyli oni sobie przeniesienia wnuczki do szkoły w Mercer Island<sup>1</sup>, ponieważ męczyła ich codzienna dwukrotna jazda przez most pontonowy na trasie 1-90. Ale Denny stanowczo się sprzeciwił, bo wiedział że Zoë bardzo polubiła szkołę w Madronie. Jako ojciec i prawny opiekun zdecydował o pozostawieniu córki w tej szkole; posłużył się dodatkowym argumentem - mianowicie bliskim powrotem Zoe oraz Eve do domu.

Maxwell, zirytowany nieustępliwością Denny'ego, zaproponował nawet pokrycie czesnego w prywatnej szkole w Mercer Island. Maxwell i Denny rozmawiali o tym często i zapalczywie. Ale natarczywość Maxwella wyzwoliła w Denny'ym prawdziwą twardość, jakby przebudziła się w nim okropna Gila<sup>2</sup>. Nie wiem, po kim on to odziedziczył: po matce czy po ojcu. W końcu postawił na swoim, a Maxwell i Trish musieli dwa razy dziennie przedostawać się na drugi brzeg jeziora.

-Jeżeli naprawdę chcą się poświęcać dla Zoë i Eve - powiedział mi któregoś dnia Denny - to piętnaście minut jazdy przez jezioro nie powinno stanowić problemu. To przecież nie jest długa trasa.

Wiem, że Denny'emu ogromnie brakowało obecności żony, nie mniej też tęsknił za Zoë. Ta jego tęsknota była najbardziej widoczna, gdy Zoë zostawała u nas na noc i gdy odprowadzaliśmy ją na przystanek autobusowy. Przeważnie w poniedziałki albo w czwartki. jCiądy z tych dni zdawał się elektryzować cały nasz dom i dlatego rano nie potrzebowaliśmy - ani Denny, ani ja - budzika, lecz po ciemku niespokojnie czekaliśmy na porę budzenia Zoë. Nie chcieliśmy utracić choćby minuty wspólnego pobytu. W te dni Denny stawał się całkiem innym człowiekiem. Starannie przygotowywał woreczek z lunchem i często wkładał doń kartkę z jakąś myślą czy żartem, by wywołać uśmiech na twarzy córeczki. Pieczołowicie kroił banany na równe plasterki, przygotowując kanapki z masłem orzechowym i owocami. (Przy takich okazjach chętnie zjadałem banany, których Denny nie wykorzystywał. Uwielbiam te owoce prawie tak samo jak moje ulubione naleśniki).

Kiedy w owe dni Zoë odjeżdżała żółtym autobusem, ojciec trojga dzieci, o którym już wspominałem, niekiedy zapraszał nas na kawę, a my czasem przystawaliśmy na tę propozycję i wtedy w trójkę szliśmy do naszej cukierni przy Madison Square i piliśmy na zewnątrz kawę. Tak było, póki tamten ojciec nie zapytał:

- Czy pańska małżonka pracuje?

Najwidoczniej od dawna próbował sobie wytłumaczyć nieobecność Eve.

- Nie - odparł Denny. - Dochodzi do siebie, bo miała raka mózgu.

Na wieść o sytuacji Eve tamten mężczyzna spuścił głowę.

Kiedykolwiek potem dochodziliśmy do przystanku autobusowego, ów człowiek był zajęty pogawędką z kim innym albo sprawdzaniem wiadomości w telefonie komórkowym. Nigdy więcej z nim n'e rozmawialiśmy.

W LUTYM, NAJGORSZYM MIESIĄCU ZIMY, POJECHALIŚMY NA PÓŁNOC

środkowej części stanu Waszyngton, do doliny Methow. Ponieważ obywatele Stanów Zjednoczonych koniecznie powinni obchodzić urodziny swoich największych prezydentów, wszystkie szkoły zamknięto na tydzień; Denny, Zoë i ja wybraliśmy się do schroniska w zaśnieżonych górach, żeby świętować. Schronisko należało do któregoś z nieznanym mi wcześniej krewnych Eve. Było dość zimno, dla mnie



zbyt zimno, choć w cieplejsze popołudnia chętnie biegałem po śniegu. Ale oczywiście wolałem leżeć przy grzejniku, a uprawianie sportu - narciarstwa, snowboardu i czego tam jeszcze - pozostawić innym. Nie było z nami Eve, nazbyt słabej, by podróżować, ani jej rodziców. Znalazło się tam natomiast wiele innych osób, bez wyjątku jakoś spokrewnionych z Eve. Jak podsłuchałem, trafiliśmy między nich, ponieważ Eve, bliska śmierci, uznała, że Zoë powinna spędzić trochę czasu wśród tych ludzi.

Nie spodobało mi się to rozumowanie. Po pierwsze, przewidy" wanie rychłej śmierci Eve. Po drugie, to, że Zoë musiała przebyć

ludźmi\* których nigdy przedtem nie spotkała, właśnie z powodu bliskiej już śmierci matki. Cóż, mogli być całkiem sympatycznymi ludźmi w tych swoich bufiastych spodniach, polarowych karmelkach i przepoconych swetrach. Dziwiło mnie jednak, dlaczego i towarzyskimi spotkaniami czekali na chorobę Eve.

Było ich bardzo wielu, nie miałem pojęcia, kto jest czyim krewnym. Zrozumiałem tyle, że wszyscy byli kuzynami, ale myliły mnie pewne luki pokoleniowe, niektórym bowiem brakowało rodziców, mieli natomiast wujów i ciotki, a jeszcze innych łączyły tylko więzy przyjaźni. Zoë i Denny trzymali się przeważnie razem, choć brali udział w pewnych grupowych zabawach, jak jazda konna po śniegu, sanna czy snowboard. Podczas wspólnych posiłków panował wesoły nastrój i ktoś spośród owych kuzynów był zawsze gotów podsunąć mi coś smacznego, choć właściwie postanowiłem wcześniej, że zachowam rezerwę. Nikt też nie przepędzał mnie spod wielkiego stołu, pod którym - łamiąc osobisty kodeks honorowy - tkwiłem podczas obiadu. W tamtym domu rozpanoszyła się swoista anarchia, bo dzieci pozostawały na nogach do późnych godzin, a dorośli spali w różnych porach dnia, jak psy. Czemuż nie miałbym korzystać z tego rozpasania?

Mimo demonstrowanej przeze mnie niechęci co wieczór dostawałem coś, co mi się bardzo podobało. Za domem - z wieloma identycznymi pokojami i wieloma takimi samymi łózkami, aby cały ten tłum mógł się pomieścić - było kamienne patio z dużym P'ecem. Latem używano go pewno do gotowania na wolnym powietrzu, ale przydawał się też w zimie. Nie cieszyły mnie kamienie Patia, były bowiem bardzo zimne i posypane grudkami soli, które sprawiały mi ból, gdy dostawały się między poduszki moich łap, a'e Polubiłem piec. Ogień! Trzaskał, dając ciepło; wieczorami, już P° obiedzie, wszyscy, ubrani w obszerne płaszcze, schodzili się i spiewali do wtóru gitary, na której ktoś grał w rękawiczkach bez czubków palców. Temperatura spadała sporo poniżej zera, ale ja miałem miejsce przy piecu. I widzieliśmy tyle gwiazd! Chyba mj. liony, a to z powodu całkowitej ciemności. Z oddali docierały do różne dźwięki, na przykład trzask łamiącej się, obciążonej śniegiern gałęzi. I szczekanie moich braci, kojotów, które zwoływały się na łowy. A gdy zimno brało górę nad ciepłem pieca, wracaliśmy do domu, każdy do swojego pokoju; nasze futra i okrycia długo jeszcze pachniały dymem, żywicą sosnową i prawoślazem.

W jeden z takich wieczorów przy piecu zauważyłem, że Denny ma wielbicielekę. Była to młoda osoba, czyjaś siostra, którą mój pan poznał chyba przed laty w któreś Święto Dziękczynienia albo na Wielkanoc, ponieważ w pierwszych słowach skierowanych do niej i innych obecnych stwierdził, że bardzo urosła od czasu ich ostatniego spotkania. Ta nastolatka miała już czym karmić i odznaczała się na tyle szerokimi

biodrami, by móc rodzić, właściwie była więc osobą dorosłą, choć jeszcze zachowywała się jak dziecko, bo ciągle prosiła o pozwolenie, kiedy chciała zrobić to czy tamto.

Owa nie całkiem kobieca dziewczyna miała na imię Annika, wydawała się niezwykle przebiegła i zawsze potrafiła być we właściwym czasie i we właściwym miejscu, w którym mogła spotkać Denny'ego. Zajmowała miejsce obok niego przy piecu. Siadała naprzeciw podczas posiłków. Zawsze udawało się jej znaleźć przy nim na tylnym siedzeniu czyjśgo suburba. Każdą jego uwagę kwitowała zbyt głośnym śmiechem. Zachwycała się włosami Denny'ego, gdy zdejmował przepoconą czapkę narciarską. Deklarowała nadzwyczajny podziw dla jego rąk. Była oczarowana jego córeczką Zoé. Cokolwiek Denny mówił o Eve, wzruszało Annikę. Tyle że Denny nie dostrzegał jej zabiegów; nie wiem, czy świadomie, czy też nie, ale zachowywał się tak, jakby nie zdawał sobie z niczego sprawy.

Cóż znaczy Achilles bez pięty? Cóż znaczy Samson bez Dali<sup>1</sup> Cóż znaczy Edyp bez kompleksu? Będąc z natury rzeczy istotą niemą\* poznaję sztukę retoryczną całkiem bezinteresownie, nie 2 powodu przerostu ego, znam więc odpowiedzi na te pytania.

prawdziwy bohater ma jakąś skazę. Prawdziwym potwierdzeniem mistrzostwa nie jest umiejętność odnoszenia zwycięstw, lecz pokonywanie przeszkód - zwłaszcza tych stawianych przez samego siebie - na drodze do triumfu. Bohater bez wad nie interesuje ani widowni, ani w ogóle wszechświata, którego podstawami istnienia są wszak konflikt i sprzeciw, działanie przemożnej siły na przedmiot niedający się poruszyć. I właśnie dlatego Michael Schumacher, niewątpliwie jeden z najbardziej utalentowanych kierowców w całych dziejach Formuły 1, ten, który zwyciężył w największej liczbie wyścigów, zdobył najwięcej tytułów mistrzowskich i najczęściej startował na pozycji uprzywilejowanej, nie trafia na listy ulubieńców. Nie przypomina Ayrtona Senny, który często stosował nie mniej oryginalną i zaskakującą taktykę niż Schumacher, ale robił to z przymrużeniem oka, dzięki czemu nazywano go kierowcą charyzmatycznym i uczuciowym, nikt nie przypisywał mu rezerwy i nieprzystępności - co spotyka Schumachera. Ten ostatni jest nieskazitelny. Posiada najlepszy samochód, najlepiej opłacany zespół, najdoskonalsze opony i najwięcej umiejętności. Kogo ucieszą jego zwycięstwa? Słońce wschodzi przecież codziennie. Za cóż je kochać? A gdyby tak zamknąć słońce w jakiejś szkatułce... Sprawić, by musiało pokonać przeciwności, jeśli zechce wzejść... Wtedy dopiero byśmy wiwatowali! Jeszcze niejedną raz będę podziwiał P'eknie wschodzące słońce, którego jednak nigdy nie uznaję za m'istrza tylko dlatego, że wzeszło. Otóż to. Jeślibym opowiedział historię Denny'ego, prawdziwego mistrza, pominąwszy jego błędy niepowodzenia, wyświadczyłbym wszystkim zainteresowanym niedźwiedzią przysługę.

P°d koniec tamtego tygodnia zmieniły się radiowe prognozy Pogody i Denny zaczął się bardzo niepokoić. Wkrótce wypadało wracać do Seattle. Denny chciał wyruszyć jak najszybciej, z<sup>^</sup> skierować się na autostradę i po pięciu godzinach jazdy, międZv innymi przez górskie przełęcze, dotrzeć do domu po tamtej stro. nie, gdzie było zimno, ponuro i mokro, ale szczęśliwie śnieg njc tworzył prawie dwumetrowych zasp, a temperatura nie spadała poniżej zera. Jak mówił sam Denny, musiał wrócić do pracy. Zoe potrzebowała trochę czasu, żeby się znowu przyzwycząić do rytmu szkolnego życia. I...

I Annika też musiała wrócić. Czekają ją, uczennicę katolickiego liceum dla dziewcząt, konsultacje z koleżankami w związku z pewnym wspólnym projektem, który dotyczył życia w zgodzie ze środowiskiem

naturalnym. Annika przedstawiła te zajęcia jako pilne, ale stały się pilnymi dopiero wtedy, gdy dziewczyna się zorientowała, że Denny zamierza ruszyć wcześniej niż reszta kuzynów. Dopiero gdy sobie uświadomiła, że jeśli zabrałaby się z Dennym, to zyskałaby pięć godzin obok niego w samochodzie, pięć godzin przyglądania się jego rękom na kierownicy, pięć godzin patrzenia na zmierzwione włosy Denny'ego i wdychania oszałamiającego zapachu jego feromonów.

Nadszedł dzień naszego wyjazdu, poprzedzony taką burzą, że okna budynku smagał zamarzający deszcz, jakiego nigdy przedtem nie widziałem. W owo przedpołudnie Denny był prawie cały czas rozdrażniony. W radiu usłyszała o zamknięciu Przełęczy Stevensa z powodu burzy. Z kolei na Snoqualmie przydawał) się łańcuchy.

- Zostańcie! Zostańcie!

Tak mówili antypatyczni kuzyni. Nie cierpiałem ich. Brzydko pachnieli. Brali prysznic, a potem z powrotem wkładali na siebie nieuprane swetry i kwaśna woń powracała do nich jak bumerang

Po szybkim lunchu wyjechaliśmy i na jednej ze stacji benzynowych kupiliśmy łańcuchy na opony. Jazda była okropna. Wy\*3\* raczki nie radziły sobie z zamarzającym deszczem, który w czasie tej jazdy na południe błyskawicznie gromadził się na przedniej szybie, tak więc Denny niejedną raz zatrzymywał samochód, choć udawało mu się przejechać ledwie kilka kilometrów, i wychodził, żeby zdrapać lód. To była niebezpieczna jazda, wcale mi się nie podobała. Siedziałem z tyłu, obok Zoë; Annika znalazła się z przodu. Zwróciłem uwagę na to, że Denny wyraźnie zbyt mocno zaciskał ręce na kierownicy. W samochodzie wyścigowym ręce muszą być luźne i tak jest zawsze z dłońmi Denny'ego, co widać na kręconych z wnętrza samochodu wideofilmach; często wygina palce, żeby sobie przypominać o większym luzie. Ale w czasie tamtej nieznośnej jazdy, wzdłuż biegu rzeki Columbia, Denny trzymał kierownicę w śmiertelnym uścisku.

Bardzo było mi żal Zoë, niewątpliwie przerażonej. Tył samochodu przemieszczał się raptowniej niż przód, dlatego też ona i ja dotkliwie odczuwaliśmy poślizgi na lodzie. Wyczuwając ogromny strach Zoë, sam też byłem podminowany i nie potrafiłem nad sobą zapanować. W krótkim czasie po prostu zacząłem panikować. Tłukłem pyskiem o szyby. Próbowałem, całkiem bez sensu, przedostać się na przednie siedzenie. W końcu Denny warknął:

-Zoë, proszę, uspokój Enza!

Dziewczynka chwyciła mnie za kark i mocno przytrzymała. Gdy się znowu położyłem, zaczęła mi śpiewać na ucho piosenkę, którą zapamiętałem z jej wcześniejszych lat: Hej, mały Enzo, tak się Ci!a2f, że cię widzę... Zoë nauczyła się tej piosenki w pierwszych tygodniach pobytu w przedszkolu. Śpiewały ją razem z Eve. Ode-tchnąłem i pozwoliłem się ukotysać. Hej, mały Enzo, i ja się cieszę, widzę...

I Chętnie wmówiłbym wam, że doskonale kieruję własnym Sem, że zaaranżowałem całą sytuację, że się nakręciłem, aby e mogła mnie uspokoić w czasie jazdy i dzięki temu zapo-

mniała o swoim strachu. Muszę jednak przyznać, że cieszyła się, gdy mnie trzymała; bardzo się bałem i byłem jej wdzięczny, za troskę.

Sznur samochodów przesuwiał się nieustannie, ale powoli. Co chwila jakieś auto stawało na poboczu, żeby przeczekać burzę. L<sup>^</sup>. torzy prognoz radiowych ostrzegali jednak, iż przeczekiwanie jest gorszym wyjściem, ponieważ front atmosferyczny się zatrzyma) niebo pozostawało zachmurzone, a przewidywane ocieplenie miało roztopić lód i groziła powódź.

Kiedy dotarliśmy do skrzyżowania z autostradą numer 2, w radiu ogłoszono, że przełęcz Blewett została zamknięta, bo utknął tam ciągnik z przyczepą. Czekaliśmy nas długi objazd, abyśmy w pobliżu miasta George w stanie Waszyngton mogli wjechać na 1-90. Denny liczył, że szersza 1-90 pozwoli na szybszą jazdę, ale tam warunki okazały się jeszcze gorsze. Już wcześniej zaczęły się deszcze i środkowy pas trawy między częścią wschodnią a zachodnią przypominał koryto z przelewającą się wodą. Mimo wszystko jechaliśmy dalej, bo nic innego nam nie pozostawało.

Po siedmiu godzinach wyczerpującej jazdy dotarcie do Seattle nawet przy dobrej pogodzie zajęłoby nam kolejne dwie godziny. Wtedy Annika na prośbę Denny'ego zadzwoniła z komórki do swoich rodziców, aby znaleźli nam w okolicy Cle Elum jakieś miejsce, w którym moglibyśmy się zatrzymać. Rodzice Anniki szybko oddzwonili i dowiedzieliśmy się, że z powodu burzy wszystkie motele są zajęte. Stanęliśmy przy McDonaldzie, w którym Denny kupił nam coś do jedzenia (ja dostałem nuggety z kurczaka), a potem przedzieraliśmy się do Easton.

W pobliżu Easton śnieg zalegał po bokach autostrady; Denny stanął więc w zatoczce, w ciągu kilkudziesięciu osobowych i ciężarowych samochodów, po czym zaryzykował wyjście na marznącą deszcz. Położył się na jezdni między autostradą a ową zatoką i nałożył na opony łańcuchy. Zajęło mu to pół godziny, a kiedy wrócił do samochodu, był przemoczony i drżał z zimna.

„Biedaku... - powiedziała Annika, która zaczęła masować mu barki, żeby go rozgrzać.

\_ Wkrótce zamkną przełęcz - oznajmił Denny. - Tamten kierowca ciężarówki usłyszał o tym przez radio.

- Czy nie możemy tutaj poczekać? - zapytała Annika.

\_ Zapowiadają powódź. Jeśli do wieczora nie zdążymy przebyć przełęczy, to możemy utknąć na wiele dni.

Padła marznąca deszcz ze śniegiem; okropna, uciążliwa mieszanka, sprzyjająca powstawaniu lodu, ale jechaliśmy dalej. Nasze małe, stare bmw wspinało się pod górę, aż wreszcie dotarliśmy na szczyt, na którym widniały wyciągi narciarskie, i wszystko się odmieniło. Nie było śniegu ani lodu, był tylko deszcz. Wręcz cieszyliśmy się na jego widok!

Denny zaraz zatrzymał wóz, żeby zdjąć łańcuchy, co znów trwało pół godziny i naraziło go na przemoczenie, po czym ruszyliśmy w dół. Wycieraczki poruszały się tam i z powrotem tak szybko, jak potrafiły, ale niewiele mogły zdziałać. Widoczność była bardzo kiepska. Denny zaciskał ręce na kierownicy i uważnie wpatrywał się w mrok. Dojechaliśmy w końcu do Północnego Zakrętu, potem do Issaquah, następnie pozostawiliśmy za sobą most pontonowy ?przedostaliśmy się na drugi brzeg Jeziora Waszyngtona. Zbliżała się północ - pięciogodzinna zwykle jazda zajęła ponad dziesięć godzin - i Annika powiadomiła telefonicznie rodziców, że dojechaliśmy bezpiecznie do Seattle. Przyjęli to z ulgą. Powiedzieli le) - a ona przekazała to nam - o tym, co mówiono przez radio, a Mianowicie o nagłej powodzi i obsunięciu się kamieni, które tuż Przy najwyższym punkcie zablokowały autostradę 1-90.

- Uniknęliśmy- tego w ostatniej chwili - domyślił się Denny. - Chwała Bogu.

„Strzeżmy się kaprysów fortuny - powiedziałem sobie. - ona jest złośliwa jak suka labradora”.

- Nie, nie - mówiła przez telefon Annika. - Zostanę u Denny 'ego Za bardzo się zmęczył, żeby jeszcze prowadzić, a Zoë usnęła na tylnym siedzeniu, trzeba ją położyć do łóżka. Denny powiedział że chętnie odwiezie mnie rano do domu.

Po tych słowach dziewczyny Denny odwrócił się i spojrzał na nią ze zdziwieniem, nie pamiętając takich słów. Ja doskonale wiedziałem, że wcale one nie padły. Annika uśmiechnęła się do Denny'ego i mrugnęła porozumiewawczo. Po rozłączeniu schowała telefon do torebki.

- Dziękuję - rzekła, wpatrując się w drogę i szybko oddychając, jakby się czegoś nie mogła doczekać.

Dlaczego Denny pozostał wtedy bierny? Dlaczego nie wrócił na szosę i nie odwiózł dziewczyny do Edmonds, do rodziców? Dlaczego nie odezwał się ani słowem? Nigdy się tego nie dowiem. Być może na jakimś poziomie świadomości odczuwał potrzebę obcowania z kimś, kto przypominał mu, jaka namiętność łączyła go z Eve. Być może.

Już w domu Denny zaniósł Zoe do jej pokoju i położył córkę do łóżka. Włączył też telewizor i zobaczyliśmy, że władze zamknęły wjazd na przełęcz Snoqualmie; optymistycznie zapowiedziano, że tylko na parę dni, ale w rzeczywistości pewnie na tydzień albo jeszcze dłużej. Denny poszedł do łazienki i zrzucił z siebie mokre ubranie, wrócił w spodniach od dresu i koszulce polo. Wyjął z lodówki piwo i je otworzył.

- Czy mogę wziąć prysznic? - zapytała Annika.

Denny wydawał się zaskoczony. Miał za sobą tyle bohaterskich zmagañ, że prawie o niej zapomniał.

Pokazał jej, gdzie są ręczniki i jak regulować temperaturę wofy z ręcznego prysznica, po czym zamknął drzwi.

Przygotował dodatkową pościel, czyli prześcieradło, powłoczki, poduszki i koce, po czym rozłożył kanapę w pokoju telewizyjnym, upewniając w ten sposób Annice tymczasowe postanie. Przeszedł potem

do swojej sypialni i usiadł na brzegu łóżka.

- Mam dość - powiedział do mnie i opadł na wznak; leżał więc i rękoma na piersi, a stopami jeszcze na podłodze, przy czym kolana wystawały poza krawędź łóżka, a cała reszta jego ciała pogrążyła się we śnie, mimo że światło w sypialni było jeszcze włączone. Ja ułożyłem się na podłodze przy łóżku Denny'ego i też zasnąłem.

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem stojącą nad Denny'ym Annikę. Miała mokre włosy i płaszcz kąpielowy Denny'ego na sobie. Nic nie mówiła. Obserwowała przez kilka minut śpiącego mężczyznę, a ja obserwowałem ją. Było to dziwaczne zachowanie. Niesamowite. Nie spodobało mi się. Annika rozchyliła płaszcz i ukazała smugę białawego ciała oraz wytatuowane dookoła pępka słońce z promieniami. Nadal się nie odzywała. Zrzuciła płaszcz i stanęła nago, kierując ku Denny'emu swoje duże piersi o brązowych brodawkach. Denny nie zdawał sobie jednak z tego sprawy. Spał.

Annika pochyliła się i wsunęła swe małe ręce w jego spodnie. Ściągnęła mu te spodnie aż do kolan.

- Przestań - wymamrotał, jeszcze z zamkniętymi oczami, Denny.

Miał za sobą ponad dziesięć godzin wyczerpującej jazdy po śniegu i lodzie, w ulewnym deszczu. Na odparcie jakiegokolwiek ataku nie starczało mu sił.

Annika zsunęła mu spodnie do kostek, po czym uniosła kolejno obie nogi Denny'ego, żeby całkiem ściągając nogawki. Spojrzała nierzadko tym na mnie.

~ Znikaj - usłyszałem.

Nie zniknąłem. Byłem na to zbyt wściekły. A jednak jej nie zaatakowałem. Coś mnie powstrzymało. Zebra nie przestaje tańczyć.

Annika obrzuciła mnie nieżyczliwym spojrzeniem i skupiła się na Denny'ym.

- Nie rób tego - powiedział przez sen.

- Sza - uspokoiła go. - Nie przejmuj się.

Jestem pełen wiary. Zawsze będę wierzył w Denny'ego. Muszę więc żywić przekonanie, że to, co Annika z nim robiła, działa się bez jego zgody, bez jego wiedzy. On nie miał w tym żadnego udziału. Był więźniem ciała pozbawionego już energii, a dziewczyna to wykorzystwała.

Nie mogłem jednak dłużej stać obok i tylko obserwować. Swego czasu miałem możliwość powstrzymania demona przed zniszczeniem zabawek Zoe, ale zawiodłem. Podczas tej nowej próby nie mogłem sprawić zawodu. Zaszczekałem głośno i agresywnie. Warczałem, chwyciłem Denny'ego za ubranie, aż się obudził; otworzył szeroko oczy, zobaczył nagą dziewczynę i odsunął się od niej.

- Co do diabła... ? - krzyknął.

Nie przestawałem szczeleć. Demon wciąż tam był.

- Enzo! - ofuknął mnie Denny. - Dość tego!

Uciekłem, ale nie spuszczałem Anniki z oka, pilnując, żeby nie zaatakowała Denny'ego po raz drugi.

- Gdzie moje spodnie? - zapytał, nie panując nad sobą i stojąc na łóżku, Denny. - Co ty robisz?

- Tak bardzo cię kocham - powiedziała Annika. - Ja mam żonę!

- W małżeństwie seks się nie liczy - stwierdziła.

I weszła na łóżko, po czym wyciągnęła ręce, a ja znów zaszczeakałem.

- Odpraw psa - poprosiła.

- Przestań, Anniko!

Denny uchwycił jej nadgarstki, ona zaś udała, że chce je uwolnić

\_ Przestań! - krzyknął Denny, zeskoczył szybko z łóżka, sięgnął

0 rzucone na podłogę spodnie i szybko je założył.

^ - Myślałam, że ci się podobam - wyznała, już w gorszym nastroju, dziewczyna. - Anniko...

\_ Myślałam, że mnie pragniesz.

- Anniko, włóż to na siebie - poprosił Denny, podając dziewczynie płaszcz kąpielowy, w którym była wcześniej. - Nie mogę rozmawiać z nagą piętnastolatką. Prawo tego zabrania. Nie powinnaś tu być. Odwiozę cię do domu.

Annika przycisnęła płaszcz do ciała.

- Ależ, Denny...

- Proszę cię, Anniko, ubierz się.

Denny mocniej zawiązał spodnie od dresu.

- Anniko, to się nie zdarzyło. Nic się nie dzieje. Nie rozumiem, dlaczego pomyślałaś...

- To ty! - rozżaliła się Annika i wybuchnęła płaczem. - Ty flirtowałeś ze mną przez cały tydzień. Ty mnie prowokowałeś. I pocałowałeś mnie.

- W policzek - uściślił Denny. - Co w tym dziwnego, że krewni całują się w policzki? Tak okazuje się serdeczność, ale nie miłość.

- Ja cię jednak kocham! - wykrzyknęła Annika i już po chwili zaniósła się spazmatycznym płaczem, mocno zacisnąwszy powieki

1       wykrzywiwszy twarz. - Kocham ciebie!- powtarzała raz po raz. "Kocham cię!

Denny znalazł się w pułapce. Chciał ją pocieszyć, ale gdy tylko S'C zbliżał, dziewczyna opuszczała ręce, którymi przyciskała pognieciony już płaszcz. I nagle pojawiały się mu przed oczyma jej bujne Piersi, unoszone przez smutek, jaki ją ogarnął, musiał więc się cofać. Ta sytuacja powtórzyła się kilka razy, można by ją było skojarzyć z Jakąś śmieszną zabawką, na przykład małpą z cymbałkami albo

czymś takim. Denny podchodził, żeby pocieszyć Annikę, ona opuSzczała ręce, jej piersi atakowały go, więc odskakiwał. Niewykluczone że byłam świadkiem odgrywania sceny ze staroświeckiego, taniego pisemka pornograficznego. Coś podobnego widziałem w filmie Ka. skader z przypadku, w którym niedźwiedź spótkował z dziewczyną na huśtawce.

Denny musiał to w końcu przerwać.

-       Wyjdę stąd - oznajmił. - Ty w tym czasie włożysz płaszcz i doprowadzisz się do porządku. Kiedy będziesz przyzwoicie ubrana, przyjdź do pokoju telewizyjnego, porozmawiamy o tym wszystkim.

Po tych słowach Denny odwrócił się na pięcie i odmaszerował. Poszedłem za nim. A potem czekaliśmy. Czekaliśmy. Czekaliśmy.

Annika wyszła wreszcie w płaszczu kąpielowym, mając oczy opuchnięte od płaczu. Bez słowa udała się do łazienki. Niebawem ją opuściła, już ubrana.

-       Odwiozę cię do domu - zaproponował Denny.

- Z sypialni zadzwoniłam do ojca - oznajmiła Annika. Denny zamarł. Nagle wyczułem w pokoju lęk.

- Co mu powiedziałaś? - zapytał.

Dziewczyna długo przyglądała się Denny'emu, zanim udzieliła odpowiedzi. Jeśli chciała go nastraszyć, to jej się udało.

- Poprosiłam, żeby mnie stąd zabrał - wyjaśniła - bo łóżko jest niewygodne.

- Dobrze - westchnął Denny. - Dobrze pomyślane.

Annika nie zareagowała, po prostu nie przestawała się przyglądać Denny'emu.

-       Przykro mi, że odniosłaś mylne wrażenie - odezwał się, n'e patrząc jej w oczy. - Jesteś bardzo atrakcyjna, aleja mam żonę, poza tym jesteś taka młoda. Nie do pomyślenia byłaby taka...

Denny urwał. Te niewypowiedziane słowa...



- Przygoda - zdecydowanym tonem dokończyła Annika.

\_ Taka sytuacja - wyszeptał.

Dziewczyna sięgnęła po torebkę i kurtkę, po czym wyszła do edpokoju. wszyscy zauważyliśmy światła samochodu, który stanął przed domem. Annika otworzyła drzwi na oścież i wybiegła na ulicę. Stojąc w drzwiach, patrzyliśmy z Dennym na dziewczynę, gdy wrzucała bagaż na tylne siedzenie mercedesa i sadowiła się z przodu, jej ojciec, ubrany w piżamę, przed odjazdem do nas pomachał.

WSZYSTKIE MIESIĄCE TAMTEJ ZIMY MOCNO NAS WYCHŁODZIŁY, KIEDY zatem w kwietniu nadszedł pierwszy ciepły, wiosenny dzień, pociągnął za sobą takie ożywienie drzew, kwiatów i traw, że w wiadomościach telewizyjnych pojawiły się ostrzeżenia dla alergików. Dosłownie zabrakło antyhistamin w aptekach. Firmy farmaceutyczne - te, które czerpią zyski z cudzego nieszczęścia - nie mogłyby sobie wymarzyć bardziej dochodowego scenariusza niż zima już to mroźna, już to wilgotna, z grypą i obfitością medykamentów bez recepty, a potem gorąca wiosna i rekordowe ilości pyłków kwiatowych. (Moim zdaniem ludzie nie byli tak uczuleni na swoje środowisko, póki nie zaczęli siebie samych i całego

otoczenia skażać tyłoma lekami i toksynami. Ale cóż, nikt mnie nie pyta o zdanie). Resztę świata trawiła więc gorączka, a ludzie z mojego świata byli zajęci czym innym. Eve kontynuowała swe nieuchronne umieranie, Zoë spędzała zbyt wiele czasu z dziadkiem i babcią, Denny i ja natomiast staraliśmy się spowolnić akcję naszych serc, aby n'e odczuwać aż tak wielkiego bólu.

Wlino wszystko Denny szukał czasem jakiejś odmiany i taka okazja trafiła się w kwietniu. Jedna ze szkół dla kierowców wyścigowych, z którymi był związany, zaproponowała mu dodatkową pracę: szkoła dostała kontrakt na zapewnienie kierowców do telewizyjnej reklamówki; postanowili do owej grupy dołączyć Denny'ego. Tor wyścigowy był w Kalifornii, w miejscu zwanym Thunderhill Raceway Park. Wiedziałem, że impreza ma się odbyć w kwietniu, bo Denny dość często i z wielkim przejęciem wspominał o całej sprawie. Ale nie miałem pojęcia, że postanowił pojechać tam samochodem, co oznaczało dziesięć godzin w drodze. A już wcale bym nie przypuszczał, że umyślił sobie zabranie mnie w tę podróż.

Ach, jakaż to była radość! Denny i ja, i nasze bmw, cały dzień jazdy aż do wieczora, jazdy dwóch bandytów uciekających przed wymiarem sprawiedliwości, współwinnych zbrodni. Bo przecież musiało być zbrodnią takie życie jak nasze; życie, w którym wyścigi samochodowe pozwalały uciekać od kłopotów!

Podróż nie była nadzwyczajna: w środkowej części stanu Oregon trudno o piękne krajobrazy, choć gdzie indziej w tym stanie jest inaczej. A na górskich przełęczach północnej Kalifornii zalegało jeszcze trochę śniegu, na którego widok nie mogłem się nie wzdygnąć, bo przypominał mi Annikę i to, że chciała wykorzystać Denny'ego. Szczęśliwie śnieg pasma Siskiyou sięgał tylko poboczy autostrady, a nawierzchnia była od niego wolna, tyle że mokra. I w końcu spadliśmy z nieba między zieleniące się pola na północ °d Sacramento.

Wszystko zadziwia. Doprawdy zadziwia rozległa przestrzeń, która tak bardzo sprzyja narodzinom oraz wzrostowi, i to w porze zycia między senną zimą a żarem lata. Owa przestrzeń wzgórz pokrytych świeżą, falującą trawą i wielkimi połaciami dzikiego kwie-Cla- Ci ludzie na traktorach, zajęci rozpulchnianiem gleby, czemu towarzyszy oszołamiające uwalnianie zapachów i wilgoci, gnicia, nawozów i spalin. W Seattle żyjemy pośród drzew i wód, czuję się ukotysani w kolebce życia. Nasze zimy nie są mroźne, lato j jest u nas upalne, sami sobie gratulujemy wyboru tak wspaniale miejsca, w którym pozwalamy, by odpoczęła głowa, i hoduję kurczaki. A wokół Thunderhill Raceway Park wiosna jest wi0 sną! Nigdzie indziej nie widać tej pory roku lepiej niż tam.

I jeszcze tor. Dość nowy, zadbany i tyle na nim można zobaczyć tyle zaskakujących zakątków i wzniesień. Nazajutrz po naszym przyjeździe Denny zabrał mnie na jogging. Przebiegliśmy truchtem cały tor. Denny zrobił to, żeby się zapoznać z nawierzchnią. Jak sam mówił, nie widać dobrze toru podczas jazdy wyścigowym samochodem, który pędzi co najmniej dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Trzeba wyjść na zewnątrz i poczuć tor.

Denny wyjaśnił mi, czego szukał. Wybruszeń nawierzchni, które mogłyby zaszkodzić zawieszeniu. Widocznych szwów, przydatnych jako sygnały, że należy zwolnić, albo jako miejsca ułatwiające skręcanie. Dotykał nawierzchni w szczytowych punktach zakrętów, sprawdzał stan asfaltu, zwłaszcza

gładkość kamyków. Zastanawiał się, czy nie uzyska lepszego kontaktu z nawierzchnią, jeśli nieco zboczy z idealnego toru jazdy. Wypukłość niektórych zakrętów była zwodnicza, zwłaszcza w tych miejscach, w których z wnętrza samochodu tor wydawał się równy, a w rzeczywistości lekko się unosił, na ogół po to, by sływała zeń woda deszczowa i nie tworzyły się niebezpieczne kałuże.

Dokładnie poznaliśmy cały pięciokilometrowy tor z piętnastoma zakrętami i wróciliśmy na padok. Wcześniej przyjechały dwie duże pociężarówki. Kilku mężczyzn w strojach ekip technicznych ustawiało namioty i osłony w kształcie baldachimów, a oprócz tego przygotowywało wyszukany prowiant, inni zaś wyładowywali sześć idealnie jednakowych samochodów marki Aston Martin DB5, rozstawionej przez Jamesa Bonda. Denny

edstawił się komuś, kto niósł tabliczkę do pisania ze spiętymi kartkami papieru i szedł krokiem osoby sprawującej władzę. gyltoKen.

\_ Dziękuję za twoje zaangażowanie - powiedział Ken. - Ale wyjechałeś przed czasem.

Chciałem przejść tor - wyjaśnił Denny. \_ Proszę bardzo. \_ Już to zrobiłem. Dzięki. Ken pokiwał głową i spojrzał na zegarek.

-Jest za wcześnie na silniki wyścigowe - stwierdził. - Ale możesz sobie pojeździć czymś z seryjnym wydechem, jeśli chcesz. Inie wariuj.

- Dzięki - odpowiedział Denny i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Podeszliśmy do ciężarówki ekipy technicznej i Denny znalazł za nią kogoś z obsługi. -Jestem jednym z kierowców, nazywam się Denny - zagał. Tamten uściśnął mu dłoń i przedstawił się jako Pat.

- Czasu masz dość - wyjaśnił. - Tam jest kawa.

- Chcę zrobić kilka spokojnych kótek moją beemką. Ken się zgodził. Zastanawiałem się, czy nie mógłbyś mi pożyczyć pasa do ładunku.

- Na co ci to? - zapytał Pat.

Denny zerknął na mnie, a Pat wybuchnął śmiechem.

- Słuchaj, Jim - zwrócił się do kolegi. - Ten facet chce pożyczyć coś, czym mógłby przywiązać psa, żeby się z nim przejechał.

Obaj wybuchnęli śmiechem, co mnie trochę zmieszało.

- Mam lepszy pomysł - oznajmił Jim. Obszedł ciężarówkę i po chwili wrócił z prześcieradłem, które wyjął z szoferki.

- Proszę - powiedział. - Jeśli pies się sfajda, upiorę je w hotelu. Denny kazał mi usiąść na przednim siedzeniu, usłuchałem go.

[142]

[143]

Zostałem tak okręcony prześcieradłem i przyciśnięty do siedzenia że wystawał mi tylko łeb. Jakoś udało im się zabezpieczyć prze ścieradło od tyłu.

- Nie za ciasno? - zapytał Denny.

Byłem zbyt przejęty, żeby odpowiedzieć. Przecież zabierał mnie na przejażdżkę swoim samochodem!

- Potraktuj go łagodnie, zanim nie zyskasz pewności, że to wytrzyma - poradził Pat. - Nie ma gorszej rzeczy niż sprzątanie psiego gówna w aucie.

-Już to robisz?

-Jasne - zapewnił Pat. - Mój pies to uwielbiał. Denny obszedł samochód. Wziął z tylnego siedzenia kask i wcisnął go na głowę. Wsiadł i zapiął pas.

- Jedno szczeknięcie oznacza wolniejszą jazdę, a dwa szybszą, rozumiesz?

Zaszczekałem dwa razy, czym zaskoczyłem Denny'ego, a także Pata i Jima, którzy stali obaj pochyleni przy przedniej szybie od strony pasażera.

- On już chce jechać szybciej - stwierdził Jim. - Masz dobrego psa.

Padok w Thunderhill Raceway Park jest wciśnięty między dwie długie, równoległe linie proste; reszta trasy uzupełnia przestrzeń rozwidleniem, które przypomina dwa skrzydła motyla. Przejechaliśmy bardzo powoli przez aleję serwisową, aż do wyjazdu na tor.

- Nie będziemy się spieszyć - zapowiedział Denny i ruszyliśmy. Jazda na torze była dla mnie nowym doświadczeniem. Bez

budynków, bez znaków, bez wycucia proporcji. Przypominało to pokonywanie pola, ślizganie się po równinie. Denny gładko zmieniał biegi, ale dostrzegałem w jego jeździe większą agresywność niż w ruchu drogowym. O wiele mocniej zwiększał obroty silnika i raptownie hamował.

\_ Odnajduję to, co mogę zapamiętać wzrokiem - wyjaśnił mi. dobre miejsca wchodzenia w zakręty i

takie, w których trzeba 'yhamować. Niektórzy kierowcy jeżdżą raczej na wycucie. Wpadają w pewien rytm i temu ufają. A ja jestem przede wszystkim wzrokowcem. Czuję się bezpieczniej, kiedy mam punkty zaczepienia, jsja tym torze znalazłem ich już kilkadziesiąt, choć nigdy się na nim nie ścigałem. Oprócz tego nasz spacer po torze pozwolił mi zauważyć siedem albo osiem charakterystycznych cech każdego zakrętu.

I pokonywaliśmy kolejne zakręty. Denny wskazywał mi szczyty zakrętów oraz wyjścia. Na prostych nabieraliśmy szybkości. Nie była to bardzo szybka jazda, może sto na godzinę, ale wspaniale czułem prędkość na zakrętach, kiedy opony wydawały głuchy, niesamowity dźwięk, brzmiący prawie jak krzyk sowy. Taką jazdę z Denny traktowałem jako wyróżnienie. Nigdy przedtem nie zabierał mnie na tor. Miałem poczucie bezpieczeństwa i byłem odprężony; doceniłem wygodę, jaką dawało ściste przytrzymywanie. Otwarte okna pozwalały zażywać chłodnego, orzeźwiającego wiatru. Mógłbym tak przejeździć cały dzień.

Po tych okrążeniach Denny zerknął na mnie.

- Hamulce są rozgrzane - powiedział. - Opony są rozgrzane. Nie rozumiałem jego intencji.

- Czy masz ochotę na gorące okrążenie?

Gorące okrążenie? Zaszczekałem dwa razy. I jeszcze dwa razy. Denny wybuchnął śmiechem.

- Zaśpiewaj, jeśli ci się to nie spodoba - zaproponował. - Wystarczy jeden dłuższy skowyt.

Mocno docisnął pedał gazu.

Nic nie może się z tym równać. Z odczuwaniem prędkości. Nie na tym świecie.

Nagłe przyspieszenie, a nie prześcieradło Jima, przygwoździło mnie do miejsca, kiedy z większą szybkością pokonaliśmy pierwszą prostą.

- Teraz uważaj - ostrzegł Denny. - Przemkniemy przez ten zakręt.

Jechaliśmy szybko, coraz szybciej, pędziliśmy, widziałem że zbliża się zakręt, słyszałem jego skierowany do nas krzyk, a mieliśmy go już właściwie za sobą, a wtedy Denny zdjął nogę z pedału gazu i zaczął raptownie hamować. Dziób samochodu dał jakby nura i byłem w tym momencie wdzięczny za prześcieradło, bo bez niego wylądowałbym na przedniej szybie. Wolno, wolno, coraz wolniej klocki hamulcowe przytrzymywały tarcze tak mocno jak potrafiły, płonąc od tarcia i rozpraszając energię. Wtedy Denny przekręcił kierownicę w lewo i natychmiast, bezzwłocznie, znów dodał gazu i popędziliśmy przez ten zakręt, za sprawą sił odśrodkowych spychani na zewnątrz, ale zatrzymywani przez opony, które wcale nie wyły - o, nie. Sowa zamilkła na zawsze. Opony piszczały, krzyczały, skowytały i jęczały z bólu, oooooch! W punkcie szczytowym Denny zmniejszył nacisk na kierownicę i samochód zaczął dryfować ku wyjściu z zakrętu, potem zaś Denny docisnął pedał i wylecieliśmy - wylecieliśmy! -z tego zakrętu, zaraz też weszliśmy w następny i jeszcze następny. W Thunderhill jest ich piętnaście. Piętnaście. I wszystkie podobają mi się tak samo; wszystkie te zakręty uwielbiam. Każdy jest inny, każdy zapewnia odmienne

doznania i każdy okazuje się wręcz wspaniały! Pokonywaliśmy tor coraz szybciej, wykonując jedno okrążenie po drugim.

- W porządku? - zapytał, zerkając na mnie, kiedy pędziliśmy zewnętrzną prostą z prędkością sięgającą dwustu kilometrów na godzinę.

Zaszczekałem dwa razy.

- Zużyję opony, jeśli będziesz mnie tu trzymał - powiedział--Jeszcze jedno okrążenie.

Tak, jeszcze jedno okrążenie. Jeszcze jedno okrążenie. Zawsze ryłko jeszcze jedno okrążenie. Żyję dla jeszcze jednego okrążenia. Oddam życie za jeszcze jedno okrążenie! Proszę cię, Panie gote, daj mi jeszcze jedno okrążenie!

I było ono pamiętne. Uniostem wzrok, gdy Denny zaczął mnie pouczać.

- Otwieraj szeroko oczy i patrz daleko - mówił.

Punkty odniesienia, orientacji dla wzroku, które ustalił, gdy wcześniej szliśmy po torze, teraz przesuwały się tak szybko, że nie od razu sobie uświadomiłem, iż on ich wcale nie widzi. On je przeżywał! Wcześniej zaprogramował w swoim mózgu mapę toru i powstał jakby system GPS; kiedy zwalnialiśmy przed jakimś zakrętem, Denny unosił głowę i wypatrywał następnego, a nie szczytowego punktu tego zakrętu, w który wjeżdżaliśmy. Tor był dla Denny'ego po prostu pewnym stanem egzystencjalnym. To, że tam się znajdowaliśmy, uszczęśliwiało go i czułem emanującą z niego radość, umiłowanie życia. Ale jego koncentracja - oraz i n -te n c j a - sięgały znacznie dalej, bo kolejnego zakrętu i tego, który był jeszcze po nim. Każdemu następnemu oddechowi towarzyszyły dostosowanie się, nowa ocena sytuacji, skorygowanie czegoś -i wszystko to Denny wykonywał podświadomie; zrozumiałem wtedy, jak to możliwe, że w czasie wyścigu potrafił zaplanować, iż wyprzedzi innego kierowcę trzy albo cztery okrążenia później. Tamtego dnia Denny wyjawiał mi swój sposób myślenia, stosowane przez siebie strategie i działanie swego umysłu.

Wykonawszy odprężające okrążenie, wjechaliśmy na padok, na którym czekała cała obsługa techniczna. Otoczyli samochód, uwolnili mnie od uprzęży i wyostałem się na asfalt.

~ Podobało ci się? - zapytał jeden z nich, a ja zaszczekałem. Tak! Zaszczekałem i wysoko podskoczyłem.

~ To była ostra jazda - powiedział Pat do Denny'ego. - Mamy u naszym zespole kierowcę wyścigowego z prawdziwego zdarzenia.

- Cóż, Enzo zaszczekał dwa razy - wyjaśnił ze śmiechem Denny - Dwa szczeknięcia oznaczają szybkość

jazdę!

Tamci też się zaśmiali, a ja znowu zaszczeakałem dwa razy. Szyb. ciej! Te emocje. To uczucie. Ten ruch. Ta prędkość. I samochód. I opony. I dźwięki. I wiatr. I nawierzchnia toru. Punkt szczytowy. Wyjście z zakrętu. Punkt zmiany biegu. Strefa hamowania. Jazda. Właśnie o tę jazdę chodzi!

Nie mam więcej nic do powiedzenia o tamtej podróży, bo czyż mogłoby być coś bardziej niewiarygodnego niż owych kilka górą-cych okrążeń, którymi ucieszył mnie Denny? Przedtem myślałem, że kocham wyścigi. Przekonywałem siebie, wysilając umysł, iż chętnie znalazłbym się w wyścigowym samochodzie. Aż do tamtej chwili nie wiedziałem. Któż może to wiedzieć, póki nie usiądzie w wozie osiagającym prędkość wyścigową i nie zacznie pokonywać zakrętów tak, iż samochód ledwo dotyka nawierzchni, i póki nie doświadczy hamowania o włos od blokady kół, gdy silnik błaga o czerwoną strefę na obrotomierzu?

Resztę podróży odbyłem, jakbym się unosił w powietrzu. Marzyłem o powtórzeniu tamtej szybkiej jazdy, ale podejrzewałem (jak się okazało, słusznie), że raczej nie powinienem liczyć na więcej doświadczeń na torze. Miałem jednak swoje wspomnienia i przeżyłem coś, co mogłem niejedną raz sobie odtworzyć. Dwa szczeknięcia oznaczają szybszą jazdę. Jeszcze teraz zdarza mi się we śnie zaszczeakać dwa razy, gdy przyśni mi się Denny, który wiezie mnie po torze Thunderhill; wtedy wykonujemy gorące okrążenie, a dwukrotnym szczeknięciem proszę o większą szybkość. Jeszcze jedno okrążenie, Denny! Szybciej!

ÓW PÓŁROCZNY CZAS ZACZAŁ SIĘ I SKOŃCZYŁ, A EVE ŻYŁA NADAL.

Minęło też siedem miesięcy. I osiem. W pierwszy dzień maja zostaliśmy, Denny i ja, zaproszeni na obiad u Bliźnięt. Było to niezwykle wydarzenie, bo wypadło w poniedziałek, a w dni powszednie nigdy nie składaliśmy im wizyt. Stanęliśmy, niepewni siebie, w salonie, w którym znajdowało się - puste teraz - łóżko szpitalne, natomiast Trish i Maxwell zajęli się dalszym przygotowywaniem obiadu. Brakowało tam Eve.

Ruszyłem w głąb korytarza, żeby wy badać sytuację, i odnalazłem Zoë, która bawiła się spokojnie w swoim pokoju. U Maxwella i Trish miała o wiele większy pokój niż w domu, i to wypełniony Wszystkim, czego może pragnąć mała dziewczynka. Były tam lalki, zabawki, pościel z falbanami i chmurki na suficie. Zoë nie zauważyła, że wszedłem, bo była bardzo zajęta domkiem dla lalek.

Wpatrzyłem na podłogę zwiniętą w kłębek parę skarpetek, które najpewniej wypadły z szafki, gdy wkładano tam czyste rzeczy i rzuciłem się na ten kłębek. Dla zabawy zostawiłem go pod nogami Zoë, pchnąłem nosem, a potem opadłem na łokcie, uniosłem tylną część tułowia i wystawiłem ogon - jest to powszechnie stosowana zachęta: „Pobawmy się!”. Zoë jednak nie zwróciła na mnie uwagi.

Spróbowałem więc jeszcze raz. Chwyciłem skarpety, rzuciłem je do góry, a później pchnąłem ten kłębek pyskiem, odzyskiwałem go i znów zostawiałem skarpety u jej stóp, trzymając pysk tuż nad podłogą. Nastawiłem się na zabawę „Enzo, podaj”. Zoë nie miała na nią ochoty. Nogą odepchnęła skarpetki.

Podjąłem jeszcze ostatnią próbę: zaszczekałem, spodziewając się pozytywnej reakcji. Zoë odwróciła się w moją stronę i spojrzała na mnie poważnym wzrokiem.

- To zabawa dla maluchów - powiedziała. - Ja muszę teraz być dorosła.

Moja mała Zoë, dorosła w tak wczesnym wieku... To smutne. Rozczarowany, powędrowałem powoli w stronę drzwi i obejrzałem się na nią.

- Czasem dzieje się coś złego - powiedziała do siebie Zoë. - Czasem coś się zmienia i my też musimy się zmienić.

Zoë powtarzała cudze słowa i wątpię, czy dawała im wiarę albo choćby zrozumiała ich sens. Być może starała się je zapamiętać, bo liczyła na to, że kryją w sobie jakąś wskazówkę co do jej niepewnej przyszłości.

Wróciłem do salonu i czekałem tam z Denny, póki wreszcie z korytarza, od strony sypialni i łazienki, nie wychynęła Eve. Pielęgniarka, w przerwach zajęta obsesyjnym robieniem na drutach, które



doprowadzały mnie do furii ocieraniem się o siebie i zgrzytaniem, pomagała Eve w chodzeniu. A Eve wyglądała prześlicznie-Miała na sobie piękną, długą sukienkę w morskim kolorze, z nie« ^ kim dekoltem. Szyję zdobił sznur uroczych słodkowodnych per z Japonii, подарowany jej przez Denny ego w piątą rocznicę śluDU

Oprócz tego upiększały ją makijaż i włosy, które odrosły na tyle, że mogła je już ufryzować. Promieniała. Mimo że z pomocą, szła jak na wybiegu dla modelek i Denny uczcił to owacją na stojąco.

\_ To mój pierwszy dzień, w którym jednak żyję - powiedziała jo nas Eve. - Zrobimy sobie imprezę.

Przeżywać każdy dzień, jakby wykradło się go śmierci - tak chciałbym żyć. Odczuwać radość istnienia, jaką odczuwała Eve. Nie borykać się z codziennym obciążeniem psychicznym, lękiem, niepokojem. Mówić: „Żyję, czuję się cudownie, jestem”. Istnieję. Warto do tego dążyć. Tak będę chciał żyć jako człowiek.

Impreza okazała się prawdziwym świętem. Wszyscy byli uszczęśliwieni, a kto nie był, ten udawał tak przekonująco, że zwiódł pozostałych. Nawet Zoë demonstrowała swoje poczucie humoru i chyba na krótko zapewniała o potrzebie dorosłości. Gdy nadeszła pora naszego odjazdu, Denny mocno pocałował Eve.

- Bardzo cię kocham - wyznał. - Chciałbym, żebyś mogła wrócić do domu.
- Chcę wrócić do domu - odpowiedziała. - I wrócę.

Eve była zmęczona, siadła więc na kanapie i przywołała mnie. Pozwoliłem, żeby pocierała mi uszy. Denny pomagał Zoë w przygotowaniach do snu, a Bliźnięta zachowywały tym razem pełen szacunku dystans.

- Wiem, że Denny jest rozczarowany - rzekła do mnie Eve. -Wszyscy są rozczarowani. Chcieliby widzieć we mnie kolejnego Lance'a Armstronga. I pewnie stałabym się kimś takim, gdybym Potrafiła. Ale nie umiem, Enzo. To mnie przerasta. Jest wszędzie.

Z sąsiedniej łazienki docierał do nas śmiech kąpiącej się Zoë i Denny'ego - jakby oboje nie mieli żadnych zmartwień.

- Niedobrze, że się zgodziłam - wyznała z żalem Eve. - Powin-j^m była się uprzeć i wrócić do domu, żebyśmy się nie rozłączali.

°mój błąd; mogłam okazać więcej stanowczości. Ale Denny powiedziałyby, że nie trzeba się martwić czymś, co już się stało, więc Enzo, zaopiekuj się Dennym i Zoë, proszę. Oni są tacy cudowni kiedy ze sobą przebywają.

Eve potrząsnęła głową, aby się uwolnić od smutnych myśli i popatrzyła na mnie.

- Widzisz? - zapytała. - Już się tego nie boję. Przedtem chciałam mieć cię przy sobie, byś mnie chronił, ale teraz już się nie boję. Bo to nie koniec.

I rozbrzmiał ten śmiech Eve, jaki pamiętałem z przeszłości.

- Ale ty wiedziałaś - stwierdziła. - Ty wiesz wszystko.

Nie wszystko. Wiedziałem jednak, iż nie myliła się co do swego stanu: czasem lekarze potrafią człowiekowi pomóc, a jej umieli powiedzieć tylko, czego nie potrafili zrobić. I wiedziałem, że - skoro rozpoznano jej chorobę, skoro wszyscy wokół niej pogodzili się z tą diagnozą, potwierdzali ją i od czasu do czasu przypominali ją samej Eve - ona nie mogła już niczego powstrzymać. To, co widzialne, staje się nieuchronne. Samochód podąża za wzrokiem kierowcy.

Denny i ja opuściliśmy dom Bliźniąt. Inaczej niż zwykle, nie spałem w samochodzie w drodze do naszego domu. Obserwowałem - jakże piękne - migotanie jaskrawych świateł Bellevue i Mediny. Jazdę pontonowym mostem przez jezioro, blask Madison Park i Leschi, ukazujące się spoza grzbietu Mount Baker budynki śródmieścia - miasto w całej ostrości swych kształtów, miasto pełne chłodu, z brudem i patyną czasu skrytymi w niemym mroku.

Jeśli stanę kiedyś przed plutonem egzekucyjnym, będę patrzeć na moich katów nieostojniętymi oczami i będę myśleć o Eve. Przypomnę sobie jej słowa. To nie koniec.

Eve umarła tamtej nocy. Ostatnie tchnienie pozbawiło ją dusz} - zobaczyłem to we śnie. Widziałem, że owym tchnieniem sprawiła, iż dusza opuściła ciało, potem już nie było żadnych potrzeb-żadnej racji dla jej bytu; Eve została wyzwolona ze swego ciała\*

. wyzwoliwszy się - kontynuowała swą podróż w inne miejsca, Idj firmamentowi, gdzie zbiera się istota duszy i spełnia wszelkie marzenia oraz radości, które my, istoty doczesne, ledwie sobie możemy wyobrazić; gdzie są wszelkie rzeczy dla nas niepojęte, a mimo to osiągalne, jeśli zechcemy je osiągnąć i jeśli uwierzymy, że naprawdę stać nas na ich zdobycie.

NAZAJUTRZ DENNY NIC NIE WIEDZIAŁ O EVE, A JA, NIE CAŁKIEM przebudzony, coś tylko podejrzewałem. Denny zawiózł mnie do parku im. Luthera Burbanka na wschodnim brzegu wyspy Mer-cer. W ten ciepły wiosenny dzień był to dobry wybór dla psów, ponieważ mieliśmy dostęp do jeziora, Denny mógł więc rzucać mi piłkę, po którą skakałem do wody. Innych psów w parku nie było, cieszyliśmy się tylko sobą.

- Przywieziemy ją do domu - zapowiedział Denny, rzucając mi piłkę. - I Zoe. Powinniśmy wszyscy być razem. Brak mi ich.

Wy płynąłem na zimne jezioro i złapałem piłkę.

- W tym tygodniu - oznajmił. - W tym tygodniu przywiozę obie do domu.

I znowu rzucił piłkę. Przebrnąłem przez kamieniste dno, a potem mogłem już płynąć, dotarłem do piłki, wydobyłem ją z wody i wróciłem. Gdy położyłem piłkę u stóp Denny'ego i spojrzałem w górę, przekonałem się, że trzyma w ręku komórkę. Po chw<sup>1</sup> pokiwał głową i rozmowa dobiegła końca.

.\_ Odeszła - powiedział, po czym głośno zapłakał i odwrócił się, by ukryć przede mną łzy spadające na ziemię.

\Jie należę do psów uciekających od złych rzeczy. Nigdy przedtem nie uciekłem Denny'emu i potem też nie. Ale w tamtym momencie musiałem odbiec.

Był jakiś powód. Jaki - nie wiem. Sprzyjająca sceneria parku dla psów, który urządzono na wschodnim brzegu wyspy. Ogrodzenie z przerwami między jednym a drugim prętem nie mogło mnie bynajmniej zatrzymać. Takie otoczenie zachęca psa do biegu, do ucieczki i niewoli, do buntu przeciw losowi. Więc zbiegłem.

Najpierw na południe, krótszą ścieżką ku ogrodzeniu, w którym skorzystałem z przerwy między poprzeczkami, i na otwartą przestrzeń, a potem skręciłem na zachód. Poza asfaltową dróżką, po przeciwnej stronie amfiteatru, znalazłem to, czego szukałem: nieoswojoną dzikość. Potrzebowałem jej. Byłem zmartwiony, smutny, zły... jaki w końcu? Musiałem coś zrobić! Musiałem siebie poczuć, zrozumieć, pojąć okropny świat, w którym tkwimy jak w pułapce, w którym zarazki, guzy, wirusy potrafią dotrzeć do naszych mózgów, wypełniając je zgniłymi jajami i zżerając nas od wewnątrz. Musiałem wnieść swój wkład do uporania się z tym światem, przezwyciężyć to, co mnie atakowało, własny tryb życia. I dlatego uciekłem.

Gałęzie i winorośl smagały mi pysk. Szorstka ziemia raniła łapy. Ale biegłem, póki nie wypatrzyłem tego, co musiałem w końcu zobaczyć. Była to wiewiórka. Tłusta i zadowolona z siebie. Pochłaniająca torebkę Fritos. Bezrozumnie objadająca się chipsami. Na jej widok zrodziła się w najmroczniejszym zakamarku mojej duszy nienawiść, jaką nigdy przedtem nie pałałem. Nie wiedziałem, skąd się wzięła, ale przecież ogarnęła mnie i zaatakowałem wiewiórkę, choć późno uniosła wzrok. Zauważyła mnie o wiele później, niż ja, jeśli chciałaby żyć. Dopadłem ją, nie miała szans. By-

łem bezwzględny. Moje szczęki zacisnęły się na niej, zmiażdżyły jej grzbiet, moje zęby wbiły się w jej sierść, a potem, żeby całkiem dogodzić, wytrząsałem z niej życie, trząsałem nią, aż usłyszałem, że złamałem jej kark. W końcu ją pożarłem. Rozpruwałem tę wiewiórkę kłami, siekaczami, rozdzierałem jej ciało. Miałem jej krew w sobie, całą krew, gorącą, obfitą, wypłem z owej wiewiórki życie, zjadłem trzewia tego zwierzęcia, rozkruszyłem i połamałem jej kości. Rozpłatałem jej czaszkę i zjadłem jej łebek. Pożarłem ją. Musiałem to zrobić. Tak bardzo brakowało mi Eve, że nie mogłem już próbować być człowiekiem ani odczuwać ludzkiego bólu. Musiałem znów stać się zwierzęciem. Pożerałem, łapczywie pochłaniałem, robiłem wszystko, czego nie powinienem robić. Moja próba życia według ludzkich norm nie przydała się Eve; a więc dla niej zjadłem tamtą wiewiórkę.

Zasnąłem w krzakach. Po pewnym czasie wychynałem, znów taki, jak dawniej. Denny w końcu mnie odnalazł i nic nie powiedział. Zaprowadził mnie do samochodu. Usadawiłem się z tyłu i natychmiast znowu zasnąłem. Spałem, czując smak krwi wiewiórki, którą zamordowałem. I śniły mi się wrony.

Polowałem na nie; chwytałem je; zabijałem. Robiłem to dla Eve.

ŚMIERĆ EVE DLA NIEJ SAMEJ BYŁA KOŃCEM BOLESNYCH ZMAGAŃ. Dla Denny'ego stanowiła ich początek.

Mój parkowy wyczyn świadczył o egoizmie, ponieważ zaspokoilem najniższe potrzeby. Mój egoizm sprawił też, iż Denny nie od razu mógł pojechać do Zoë. Miał do mnie żal o to, że musiał dłużej zostać w parku. Ale być może okazałem nadzwyczajne miłosierdzie, skoro, choć niewiele, opóźniłem jego konfrontację z tym, co go czekało w domu Bliźniąt.

Kiedy przebudziłem się z drzemki, byliśmy już u Maxwella i Trish. Na podjeździe stała biała furgonetka o zaciemnionych oknach, z francuską lilią na drzwiach od strony kierowcy. Denny ^parkował tak, by nie zastawić tamtego podjazdu, a potem zaprowadził mnie za dom, gdzie był wąż ogrodowy. Wodą z węża zmył krew z mojego pyska, robił to szorstko i ze smutkiem, było to przymusowe mycie, a nie kąpiel dla higieny.

- W co się tam wdałeś? - zapytał.

Kiedy zmył ze mnie brud i krew, wypuścił mnie, a ja otrząsną^ się z wody. Denny podszedł do oszklonych drzwi, które prowadz?v na patio, i zapukał. Po chwili ukazała się Trish. Otworzywszy drzwi przytuliła Denny'ego. Płakała.

Po długim czasie Denny uwolnił się z jej objęć (tymczasem pojawili się Maxwell i Zoë) i zapytał:

- Gdzie ona jest?

Trish wskazała ludzi z karawanu:

- Poprosiliśmy, żeby poczekali na ciebie - wyjaśniła. Denny wszedł do domu i mimochodem pogłaskał Zoë po głowie

Kiedy zniknął, Trish zerknęła na Maxwella.

- Dajmy mu chwilę - powiedziała.

Po tych słowach i oni, i Zoë odsunęli się, żeby zamknąć oszklone drzwi i po raz ostatni zostawić Denny'ego z Eve, choć ona już nie żyła.

Świadomy próżni wokół mnie, wypatrzyłem na klombie starą piłeczkę tenisową; podniosłem ją i rzuciłem pod nogi Zoë. Nie wiedziałem, co robię. Czy w ogóle krył się za tym jakiś zamiar? Czyżbym chciał spłoszyć smętny nastrój? Nie wiem. Tak czy inaczej, czułem, że coś muszę zrobić. Piłeczka zatrzymała się przy bosych nogach Zoë.

Dziewczynka spojrzała na zabawkę i ją zignorowała.

Maxwell zauważył mój gest i brak reakcji ze strony Zoë. Podniósł piłeczkę, zamachnął się i odrzucił ją tak daleko w zarośla za domem, że straciłem ją z oczu; dosłyszałem tylko odgłosy przebijania się zabawki przez krzaki na ziemię. Był to nie byle jaki rzut: biała piłeczka tenisowa poszybowała w powietrzu na tle czystego, błękitnego nieba. Nie wiedziałem wtedy, jak wielką psychiczną udrękę wyraził Maxwell tym rzutem.

- Przynieś ją, mały - odezwał się do mnie zasadniczym tonem Maxwell i odwrócił się w stronę domu.

\ic przyniosłem piłeczki, tylko po prostu poczekałem z nim na wrót Denny'ego. Kiedy wyszedł, od razu skierował się do Zoë,

podniósł ją i mocno przytulił. Dziewczynka kurczowo chwyciła

się szyi ojca.

„Jestem taki smutny - przyznał się Denny. -Ja też.

Denny usiadł na jednym z leżaków i wziął Zoë na kolana. Córeczka przytuliła twarz do jego ramienia i już pozostała w takiej pozycji.

\_ Zabiorą ją teraz ludzie od Bonnay-Watsona - oznajmiła Trish. „Pochowamy ją w rodzinnym grobowcu. Eve życzyła sobie tego. -Wiem. - Denny skinął głową. - Kiedy? -Jeszcze w tym tygodniu.

- Na co mogę się przydać? Trish zerknęła na Maxwella.

- Zajmiemy się wszystkim - zapewnił Maxwell. - Jest jednak coś, o czym chcieliśmy z tobą porozmawiać.

Denny czekał na dalsze słowa, ale jego teść zamilkł.

- Nie jadłaś śniadania, Zoë - odezwała się Trish. - Chodź ze mną, ugotuję ci jajko.

Zoë ani drgnęła, póki Denny nie dotknął jej ramienia.

- Idź z babcią i coś zjedz - polecił.

Zoë posłusznie weszła do domu razem z Trish.

Kiedy córki już nie było, Denny odchylił się na oparciu, zamknął oczy i głęboko westchnął, zwróciwszy twarz ku niebu. W takiej Pozycji trwał długo. Kilka minut. Jak posąg. Podczas gdy Denny Pozostawał w bezruchu, Maxwell przestępował z nogi na nogę. Kilka razy chciał coś powiedzieć, ale w końcu się powstrzymywał. Chyba nie mógł się zebrać do tej rozmowy.

- Wiedziałem, że to nastąpi - odezwał się w końcu Denny, nadal z zamkniętymi oczami. - A jednak... jestem zaskoczony.

Maxwell pokiwał głową.

- Trish i ja jesteśmy tym zmartwieni - powiedział. Denny otworzył oczy i spojrzał na Maxwella.

- Zmartwieni? - zdziwił się.

- Tym, że nie poczyniłeś żadnych przygotowań.

- Przygotowań?

- Nie masz żadnego planu.

- Planu?

- Powtarzasz moje ostatnie słowa - stwierdził po chwili Maxwell.

- Bo nie rozumiem, o czym mówisz - wyznał Denny.

- Właśnie to nas martwi.

Denny, który jeszcze siedział, pochylił się do przodu i zwrócił wzrok w stronę Maxwella.

- Co konkretnie was martwi? - zapytał. W tym momencie pojawiła się Trish.

- Zoë je jajko z tostem w kuchni i ogląda telewizję - oznajmiła Pełnym oczekiwania wzrokiem zerknęła na Maxwella.

- Dopiero zaczęliśmy - usłyszała od niego.

- Ach tak - zdziwiła się Trish. - A ja myślałam... Co zdążyliście sobie powiedzieć?

- Zaczynij sama, Trish - zaproponował Denny. - Maxwell ma z tym jakiś problem. Martwicie się...

Trish rozejrzała się, wyraźnie rozczarowana tym, że jeszcze się nie pozbyli trosk.

- Prawdę mówiąc - zaczęła - odejście Eve jest straszną tragedią-Ale liczyliśmy się z tym od wielu miesięcy. Niejeden raz rozmawialiśmy z Maxwellem o naszym życiu - o życiu nas wszystkich - po śmierci Eve i wzięliśmy pod uwagę wszystkie szczegóły) Trzeba ci też wiedzieć, że omawialiśmy to z Eve. Uważamy że dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli to my przejmujemy opiekę nad Z\*\*aby dorastała w

cieple, w stabilnej rodzinie, otrzymała wychowanie, jakie możemy jej zapewnić, i dzięki nam - niech to nie zabrzmie njezręcznie - korzystała z pewnych przywilejów. Naszym ^daniem, tak będzie najlepiej. Mamy nadzieję, że nie odbierzesz tego jako oceny siebie i swoich ojcowskich predyspozycji. My widzimy w tym po prostu najlepsze rozwiązanie dla Zoë.

Denny zerkał na przemian na Trish i Maxwella, jeszcze z wyrazem zakłopotania na twarzy, ale się nie odezwał.

Też byłem zakłopotany. Ja rozumiałem, że Denny pozwolił, by Eve zamieszkała z Bliźniętami, bo chciał im umożliwić stałe obcowanie z umierającą córką, a na pobyt Zoë u nich zgodził się po to, aby ta mogła być przy umierającej matce. Sądziłem, że Zoë zamieszka z nami, skoro Eve umarła. Przekonałby mnie pomysł jakiegoś okresu przejściowego: Eve odeszła poprzedniej nocy, następny dzień pobytu wnuczki u dziadka i babci albo nawet kilka dni można by więc uznać za rozsądne rozwiązanie. Ale opieka?

- Co o tym myślisz? - zapytała Trish.

-Nie możecie przejąć opieki nad Zoë - odpowiedział po prostu Denny.

Maxwell, któremu zrzedła mina, skrzyżował ręce i zaczął stukać palcami w swoje bicepsy, przykryte ciemnym, poliestrowym blezerem.

- Wiem, że to dla ciebie niełatwe - odezwała się Trish. - Ale musisz przyznać, że za nami przemawiają: doświadczenie w chowaniu dzieci, dysponowanie wolnym czasem i zamożność, która upewni naszej wnuczce wykształcenie, jakiego zapragnie. Oprócz tego będzie mieszkać w dużym domu, w bezpiecznej dzielnicy, gdzie n,ebraak młodych rodziców i dzieci w jej wieku.

Denny przez chwilę się zastanawiał.

" Nie możecie przejąć opieki nad Zoë - oświadczył.

"\* Mówiłem ci, że tak będzie - rzucił Maxwell do Trish.

- Prześpij się z tym - zaproponowała Denny'emu Trish. - Jestem pewna, że przynasz nam rację. To jest najlepsze rozwiązanie dla wszystkich. Ty będziesz mógł pozostać kierowcą wyścigowym a nasza wnuczka wychowa się pod opieką ludzi, którzy ją kochają i wesprą w każdej sytuacji. Takie było życzenie Eve.

- Skąd wiecie? - zapytał Denny. - Czy mówiła wam o tym?

- Tak.

- Ale mnie nie mówiła.

- Nie rozumiem czemu - zdziwiła się Trish.

- Mnie nie mówiła - powtórzył dobitnie Denny. Trish zmusiła się do uśmiechu.



- Prześpisz się z tym? - nalegała. - Czy przemyślisz to, co powiedzieliśmy? Tak będzie dużo łatwiej.

- Nie, nie prześpię się z tym - odparł Denny, podnosząc się z leżaka. - Nie możecie przejąć opieki nad moją córką. To ostateczna odpowiedź.

Rozległo się jednocześnie westchnienie Bliźnięt. Oburzona Trish kręciła głową. Maxwell sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął z niej urzędową kopertę.

- Nie chcieliśmy, żeby tak to się odbyło. - Wręczył kopertę Denny'emu.

- Co to jest? - spytał Denny.

- Otwórz - podpowiedział Maxwell.

Denny otworzył kopertę i wyjął kilka kartek, na które rzucił okiem.

- Co to znaczy? - zapytał znowu.

- Nie wiem, czy masz adwokata - odezwał się Maxwell. -Je^1 nie masz, poszukaj jakiegoś. Wystąpiliśmy do sądu z wnioskiem o przyznanie opieki nad wnuczką.

Denny zamrugał oczami, jakby został trafiony poniżej paSâ' Z dokumentami w ręku opadł z powrotem na leżak.

Zjadłam jajko - oznajmiła Zoe. Pojawiła się niepostrzeżenie. I usiadła Denny'emu na kola-

- A ty jesteś głodny? - zapytała. - Babcia tobie też może ugotować jajko.

\_ Nie jestem głodny - wymówił się Denny. Zoë zamyśliła się na chwilę.

- Czy jesteś jeszcze smutny?

- Tak - nie od razu odparł Denny. - Jeszcze jestem bardzo smutny.

-Ja też - wyznała i położyła głowę na jego piersi.

Denny spojrzał na Bliźnięta. Długa ręka Maxwella spoczywała na wąskich ramionach Trish niczym ciężki łańcuch. I w tym momencie dostrzegłem w Denny'ym pewną zmianę. Zobaczyłem na jego twarzy determinację.

- Zoë - rzekł, wstając. - Biegnij do swojego pokoju i spakuj się, dobrze?

- Dokąd jedziemy? - zapytała. -Jedziemy teraz do domu.

Zoë z uśmiechem ruszyła przed siebie, ale Maxwell stanął jej na drodze.

- Zoë, poczekaj - polecił. - Tato ma trochę spraw do załatwienia. Zostaniesz tymczasem z nami.

-Jak śmiesz! - oburzył się Denny. - Za kogo się masz?

-Od ośmiu miesięcy to ja ją wychowuję - odciął się, z zaciętością "a twarzy, Maxwell.

Zoë zerknęła to na ojca, to na dziadka. Nie wiedziała, co zrobić, doszło do patowej sytuacji. Wtedy wmieszała się Trish.

- Idź do swojego pokoju i poustawiaj lalki - powiedziała do Zoë. ~My tu jeszcze trochę porozmawiamy.

Zoë wycofała się niechętnie.

- Pozwól jej zostać u nas, Denny - poprosiła Trish. - Możemy to jakoś ułożyć. Wiem, że możemy. Niech zostanie u nas, pó] ^ adwokaci nie zaproponują jakiegoś kompromisu. Było ci wygodnie kiedy Zoë tu mieszkała.

- Błagaliście mnie, żebym ją tu zostawił - odparł Denny. - Jestem pewna, że jakoś to można ułożyć.

- Nie, Trish - zaproponował. - Zabieram ją do domu.

- A kto się nią zajmie, gdy będziesz w pracy? - wtrącił Maxwell, trzęsąc się ze złości. - Kiedy na wiele dni wyjeżdżasz, żeby wziąć udział w wyścigach? Kto zaopiekuje się Zoë, jeśli, Boże uchwój, zachorujesz? Ghyba że zlekceważysz ten fakt i będziesz go ukrywać przed ludźmi, póki nie powstanie śmiertelne zagrożenie, tak jak postąpiłeś z Eve...

- Nie ukrywałem Eve przed lekarzami.

- A jednak u żadnego nie była...

- To ona nie chciała! - wykrzyczał Denny. - Nie zgadzała się na wizytę u żadnego lekarza!

- Mogłeś ją zmusić - równie głośno stwierdził Maxwell.

- Nikt nie potrafił zmusić Eve do niczego, na co sama nie miała ochoty - wyjaśnił Denny. - Ja nie potrafiłem.

Maxwell zacisnął pięści. Na jego szyi widać było napięte ścięgna. -1 dlatego zmarła - powiedział.

- Co takiego? - zdumiał się Denny. - To jakiś żart?! Nie zamierzam dłużej z wami rozmawiać.

Przeszył Maxwella wzrokiem i ruszył w stronę domu.

- Żałuję, że w ogóle kiedykolwiek cię spotkała - wypowiedział półgłosem Maxwell pod adresem zięcia.

Denny zatrzymał się przy drzwiach i krzyknął:

- Zoë, jedźmy już! Później wrócimy po lalki!

Zoë pojawiła się, z niepewnością na twarzy, trzymając w rękach kilka wypchanych zwierzątek.

\_ Czy mogę je zabrać? - zapytała. \_ Tak, kochanie. Ale teraz jedźmy. Wrócimy po resztę, penny skierował ją na drogę prowadzącą przed dom. \_ Pożałujesz tego - wysyczał Maxwell, kiedy Denny go mijał. „Nie wiesz, z kim zadzierasza. -Jedziemy, Enzo - rzucił Denny.

Przeszliśmy na podjazd i wsiedliśmy do naszego samochodu. Viawell poszedł za nami i patrzył, jak Denny przypina Zoë. Denny włączył silnik.

\_ Pożałujesz tego - odezwał się znowu Maxwell. - Zapamiętaj moje słowa! Denny z trzaskiem zamknął drzwi auta.

- Czy mam adwokata? - zapytał sam siebie. - Pracuję w najbardziej renomowanej stacji obsługi mercedesów i bmw w Seattle. Co on sobie myśli? Mam dobre kontakty z najlepszymi adwokatami w tym mieście. I numery ich telefonów domowych.

Opuściliśmy podjazd, odrzuciwszy trochę żwiru pod nogi Maxwella. Wjechaliśmy na uroczą i krętą drogę wyspy Mercer; nie mogłem w niczym pomóc, ale zauważyłem, że zniknęła biała furgonetka. A wraz z nią zniknęła i Eve.

NABYTE DOŚWIADCZENIE POZWALA KIEROWCY LEPIEJ ZROZUMIEĆ samochód, gdy ten zbliża się do granic swoich możliwości. Kierowca, jadąc na granicy przepaści, potrafi czuć się komfortowo, więc kiedy opony tracą przyczepność, może wprowadzić poprawkę, zastanowić się i odzyskać kontrolę. Świadomość tego, gdzie i kiedy możliwe jest wydobyć z samochodu działania ponad jego normalne osiągi, staje się oczywistą cechą kierowcy.

Zaledwie w połowie wyścigu, i to w warunkach znacznej presji, kierowca, który jest uporczywie ścigany przez rywala, dochodzi do wniosku, że natarcie z tyłu da lepsze efekty niż jazda na przód wadzeniu. W takim przypadku mądrzej robi ten, kto przekazuje prowadzenie jadącemu z tyłu i przepuszcza owego kierowcę do przodu. Pozbawiony tego brzemienia, może przyłgnąć do rywala, jadąc bezpośrednio za nim, i sprawić, że nowy lider wciąż musi patrzeć w lusterko.

A dlaczego czasem jednak trzeba utrzymać pozycję i nie dopuścić do wyprzedzenia? Ze względów strategicznych i psycholog

h Kierowca musi czasem po prostu udowodnić, że góruje nad , 'walami-

W wyścigach samochodowych liczy się samodyscyplina i męstwo, a nie cięższa stopa. Kto jeździ inteligentnie, ten zawsze odniesie ostateczne zwycięstwo.

ZOE UPARŁA SIĘ, ŻE NASTĘPNY DZIEŃ SPĘDZI W SZKOLE, A GDY DENNY

zapowiedział, że po nią przyjedzie o czasie, wyznała, że chciałaby po lekcjach pobawić się z koleżankami. Denny przystał na to, choć niechętnie.

- Przyjadę po ciebie trochę wcześniej niż zwykle - uprzedził, gdy ją zawieźliśmy. Bał się pewnie, że bliźnięta spróbują wykraść wnuczkę.

Spod szkoły dotarliśmy, jadąc aleją Jedności, do Piętnastej Alei i dokładnie naprzeciw Victrola Coffee znaleźliśmy miejsce do zaparkowania. Denny przypiął mnie do stojaka dla rowerów i wszedł do kawiarni, a po kilku minutach wrócił z kawą i trójkątnym plackiem. Odwiązał mnie i kazał usiąść pod jednym ze stolików przed kawiarnią; posłuchałem go. Po kwadransie ktos do nas dołączył. Mężczyzna dość okazały, choć nieotyły, a prócz tego kolisty, bo obdarzony okrągłą głową i takim samym torsem, okrągłymi udami i takimiz rękoma. Pośrodku głowy nie roi\* w ogóle włosów, ale wiele ich rośło po bokach. Był w bardz° szerokich dżinsach i obszernej, szarej bluzie dresowej z ogromną, czerwoną literą „W”.

\_ Witaj, Dennisie - powiedział. - Przyjmij szczerze wyrazy współczucia z powodu wielkiej straty.

Ów człowiek pochylił się i mocno uściskał Denny'ego, który siedział w nienaturalnej pozie, z rękoma na kolanach, i wpatrywał się w ulicę.

-Ja... - zaczął, ale urwał, gdy tamten mężczyzna wypuścił go i objął i wyprostował się. - Owszem - przyznał Denny, zażenowany sytuacją.

Tamten skinął nieznacznie głową, pominąwszy milczeniem nieskładną odpowiedź Denny'ego, i wcisnął się w metalowe oparcie drugiego krzesła, które stało przy naszym stoliku; nie był człowiekiem o wielkiej tuszy, w pewnych kręgach uznano by go raczej za muskularnego, a jednak rzucał się w oczy.

- Ten pies robi dobre wrażenie - powiedział. - Czy ma w sobie coś z teriera?

Uniosłem łeb. Ja?

- Nie wiem dokładnie - odparł Denny. - Prawdopodobnie.

- To zwierzę robi dobre wrażenie - powtórzył refleksyjnie tamten.

Byłem zdumiony, że w ogóle mnie zauważył.

- Ach, ona robi doskonałą łątę - powiedział, siorbiąc kawę. -Kto?
- Moja mała tutejsza baristka. Ta, która ma wydatne usta, przekłutą brew i czekoladowe oczy...

-Nie zauważyłem jej.

- Masz o czym myśleć - stwierdził tamten. - Wykosztujesz się na te poradę. Jestem bardzo pazerny. Wykosztujesz się, czy zechcesz ^ej korzystać z moich usług, czy też nie.

W porządku.

- Pokaż mi te papiery.

Denny wręczył mu kopertę, którą otrzymał od Maxwella. Ta^ ten otworzył ją i wyjął dokumenty.

- Według nich Eve wyraziła życzenie, aby właśnie oni wyCri0 wywali Zoë.
- To mnie nie obchodzi - stwierdził ów człowiek.
  - Eve potykała czasem tyle leków, że mogłaby niejedno mówić - odezwał się z rozpaczą w głosie Denny. - Niewykluczone, że coś takiego powiedziała, ale na pewno nie miała tego na myśli.
  - Nie obchodzą mnie czyjeś słowa ani powody, które sprawiły, że zostały wypowiedziane - oznajmił tamten ostro. - Dzieci nie są przedmiotami. Nie można się ich pozbywać ani też nimi handlować. Wszystko, co nastąpi, będzie służyć interesom dziecka.
  - Oni też o tym mówili - dodał Denny. - O tym, co najlepsze dla Zoë.
  - Są wykształconymi ludźmi. A jednak ostatnie życzenia matki nie mają nic do rzeczy. Jak długo byliście małżeństwem?
- Sześć lat.
- Czy są jeszcze jakieś dzieci? -Nie.

-Jakieś tajemnice? -Nie.

Mężczyzna przejrzał papiery, popijając swoją kawę z mlekiem. Zaciekał mnie swymi różnymi tikami i ruchliwością. Dopiero po kilku minutach uświadomiłem sobie, że gdy sięgał do kieszeni spodni (a często sięgał), robił to dlatego, iż ukrył tam jakieś brzęczące urządzenie i - dotykając go - mógł je wyłączać. Zwracał uwagę na wiele rzeczy jednocześnie. Ale gdy jego wzrok krzyżował się ze wzrokiem Denny'ego, wyczuwałem pełną koncentrację. Wiedziałem, że to samo wyczuwał Denny, który wtedy był wyraźnie mniej spięty.

- Leczysz się z narkomanii? - zapytał tamten.

Njie.

„ Czy jesteś notowany jako sprawca przestępstwa na tle seksualnym? „Nie.

\_ Czy kiedykolwiek skazano cię w procesie karnym? Siedziałeś u więzieniu? -Nie.

Tamtén włożył papiery z powrotem do koperty.

\_ Prosta sprawa - stwierdził. - Gdzie teraz jest twoja córka?

- Chciała pojechać do szkoły. A powinienem zatrzymać ją w domu?

-Nie, tak jest dobrze. Pozytywnie reagujesz na jej potrzeby. To ważne. Nie przejmuj się zbyt­nio tą sprawą. Wystąpię o wydanie orzeczenia doraźnego. Sądzę, że je uzyskamy. Dziecko zostanie przyznane tobie.

Denny najeżył się.

- Czy mówiąc „dziecko", masz na myśli moją córkę, Zoe?

- Tak - potwierdził tamten, mierząc Denny'ego wzrokiem. -Mam na myśli twoją córkę, Zoe. Na miłość boską, to jest stan Waszyngton. Dzieci są zawsze przyznawane biologicznym rodzicom, o ile ci nie produkują w kuchni bimbru. Bez obaw.

- Dobrze - odezwał się Denny.

- Nie panikuj. Nie wściekaj się. Bądź uprzejmy. Zadzwoń do nich 'prze­każ coś ode mnie. Powiedz, że wszelką korespondencję trzeba kierować do mnie, jako twojego adwokata. Ja zadzwonię do ich Pełnomocnika i dam do zrozumienia, że masz większe szanse. Oni Pewnie liczą na jakiś objaw słabości, mają nadzieję, że się spokojnie Wycofasz. To takie właśnie pokolenie. Dziadkowi i babci wydaje SIC, że są lepszymi rodzicami niż ich dzieci, którym już zmarnowali tycie. Dziadkowie i babcie dają się we znaki, bo mają pieniądze, 'na tym polega problem. Czy mają for­­sę?

- Bardzo dużo. -A ty?

- Tyle, żeby przeżyć - powiedział ze sztucznym uśmiechem Denny.

- To nie wystarczy, Dennisie. Biorę czterysta pięćdziesiąt & godzinę. I dwa i pół tysiąca dolarów zaliczki. Masz tyle?

- Postaram się mieć - odpowiedział Denny.

- Kiedy? Dzisiaj? W tym tygodniu? W przyszłym? Denny wbił wzrok w tamtego.

- To moja córka, Mark. Zapewniam cię, że dostaniesz dokładnie tyle, ile ci się będzie należało. To moja córka. I ma na imię Zoe, Wolałbym, żebyś używał jej imienia albo przynajmniej zaimka zgodnego z

jej płcią, kiedy będziesz o niej mówić.

Markowi zrzędała mina, ale skinął głową.

- Doskonale cię rozumiem, Dennisie. Jest twoją córką i ma na imię Zoe. I rozumiem, że jesteś przyjacielem, więc ci ufam. Przepraszam, że w ogóle zapytałem. Czasem się zdarza... - Mark urwał. - Będę szczery, Dennisie. Aby wygrać tę sprawę, potrzeba siedmiu albo i ośmiu tysięcy. Chyba stać cię na tyle? Nie wątpię w to. Zrzekam się zaliczki, robię to dla ciebie, przyjacielu.

Adwokat wstał i niewiele brakowało, by krzesło też wstało, ale wyłuskał się zeń, zanim naraził się na śmieszność w oczach gości Victroli.

- Ten pozew o przyznanie opieki jest od początku do końca wydumany. Nie wiem, po co go składają. Zadzwoń do teściów - swoich teściów - i powiedz im, że wszystkie pisma muszą trafiać do mojej kancelarii. Jeszcze dziś uprzedzę sekretarkę - moją sekretarkę. Chyba naprawdę nie radzę sobie z zaimkami. Dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę. Mają cię za frajera, ale nie jesteś frajerem, prawda, mistrzu?

Mark klepnął Denny'ego w podbródek.

„W rozmowach z nimi zachowaj zimną krew - poradził adwo-\_ Nie wpadaj w złość. Zachowaj zimną krew i mów, że robisz jyszystko, co możesz, dla dobra małej Zoe, kumasz? Ciągle powtarzaj, że wszystko to dla niej. Zrozumiałeś?

\_ Tak - potw ierdził Denny.

Mężczyzna spowaźniał.

-A jak się trzymasz, przyjacielu?

- Daję sobie radę - odparł Denny.

- Znajdujesz czas na relaks? Na odprężający spacer z... Jak on się wabi?

- Enzo.

- Dobre imię. Ten pies robi dobre wrażenie.

-Jest wytrącony z równowagi - powiedział Denny. - Dzisiaj zabieram go ze sobą do pracy. Boję się zostawiać go samego w domu.

- A więc powinieneś wziąć urlop - zasugerował Mark. - Twoja żona zmarła dopiero co. I jeszcze ten absurd. Craig przyzna ci urlop, a jeśli tego nie zrobi, zadzwonię do niego i postraszę go procesem o mobbing.

- Dziękuję ci - rzekł Denny. - Ale w tej chwili nie wytrzymuję w domu. Za bardzo mi przypomina...



- Ach, tak.

- Muszę pracować. Coś robić. Być w ruchu.

- Zrozumiałem - zapewnił Mark. - Nic więcej nie mów. Sięgnął po torbę.

- Muszę przyznać - powiedział - że z przyjemnością oglądałem w telewizji twoje zwycięstwo w tamtym wyścigu. Gdzie to było w zeszłym roku?

- Na torze Watkins Glen - przypomniał Denny.

- Właśnie. Watkins Glen. Wspaniałe. Moja żona zaprosiła wtedy parę osób i siedzieliśmy przy grillu, ale włączyłem telewizor w kuchni i wszyscy faceci obejrżeli to wspaniałe widowisko.

Denny uśmiechnął się bez przekonania.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Dennisie - stwierdził Mark. ^ Zajmę się tą sprawą. A ty się nią nie przejmuj, masz zapewne inne zmartwienia. Zostaw to mnie. Opiekuj się córką, zgoda?

- Dzięki.

Mark odszedł powoli, a gdy zniknął za rogiem, Denny zerknął na mnie i wyciągnął przed siebie ręce. Obie drżały. Nic nie mówił, ale popatrzył na swoje drżące dłonie, a potem na mnie - i odgadłem jego myśli. Myślał o tym, że gdyby miał kierownicę, której mógłby się uchwycić, ręce przestałyby się trząść. Gdyby trzymał nimi kierownicę, wszystko byłoby w porządku.

PRAWIE CAŁY DZIEŃ SPĘDZIŁEM w WARSZTACIE Z MECHANIKAMI, BO właściciele zakładu sarkali, gdy kręciłem się po kantorze, gdzie mogli mnie zobaczyć klienci.

Znałem wszystkich chłopaków z warsztatu. Niezbyt często bywałem z Dennyem w pracy, ale wystarczyło, żeby choć trochę mnie poznali, i już mnie stawiali w niezręcznej sytuacji - na przykład rzucaniem kluczy francuskich w drugi koniec warsztatu i zachętami do aportowania, a gdy odmawiałem, wybuchali śmiechem i chwalili mnie za inteligencję. Jeden z pracowników, Fenn, naprawdę sympatyczny człowiek, za każdym razem, gdy mnie mijał, pytał:

- Skończyłeś już?

Z początku nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale potem zauważyłem, że jeden z właścicieli zakładu, Craig, co rusz pyta pracowników technicznych, czy skończyli naprawy, a Finn po prostu zwraca się z tym pytaniem do kogoś na niższym stopniu hierarchii. Właśnie do mnie.

- Skończyłeś już?

Tamtego dnia odczuwałem dziwny, bardzo ludzki niepokój--Ludzie zawsze się przejmują czymś, co ich czeka. Często trudno im zachować spokój, pozostać w teraźniejszości, nie troszczyć się

o przyszłość. Na ogół nie są zadowoleni z tego, co posiadają; bardzo im obchodzi to, co będą mieć. Pies potrafi prawie całkiem pozbawić energii własną psychę i spowolnić przemianę materii kiedy oczekuje czegoś z niepokojem, tak jak David Blaine, który podjął próbę bicia rekordu w powstrzymaniu oddechu na dnie basenu - po prostu zmienia się tempo otaczającego świata W zwyczajnym psim dniu potrafię bez wysiłku przewidzieć wiele godzin jednym ciągiem. Ale tamtego dnia odczuwałem niepokój. Byłem nerwowy i zmartwiony, rozkojarzony i zakłopotany. Chodziłem wkoło, nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Nie przywiązywałem do tego wagi, domyślałem się, że to efekt naturalnej ewolucji mojej duszy, dlatego robiłem, co mogłem, żeby przetrwać.

Warsztat pozostawał z jednej strony otwarty, widać było lepką mżawkę. Skip, zabawny olbrzym z długą brodą, sumiennie mył samochody gotowe do odbioru, mimo że padał deszcz.

- Deszcz nie jest brudny, brud jest brudny - powtarzał sobie tę mantrę zmywaczy samochodów w

Seattle. Rzeka wody z mydłem spływała ze ściskanej przez niego gąbki po przedniej szybie doskonale utrzymanego zielonego bmw 2002, brytyjskiego samochodu wyścigowego. A ja leżałem, trzymając łeb między przednimi łapami, prawie na progu warsztatu i przyglądałem się jego pracy.

Dzień się dłużył, aż tu nagle nadjechał radiowóz policji w Seattle

1 wysiadło z niego dwóch funkcjonariuszy.

- Życzą sobie panowie, żebym umył samochód? - zapytał głośno Skip.

Jego pytanie zdziwiło policjantów, którzy spojrzeli po sobie.

- Pada - stwierdził jeden z nich.

Deszcz nie jest brudny - oznajmił radośnie Skip. -Brud jest brudny-

policjanci przyjrzeni mu się podejrzliwie, jakby nie byli pewni, \ / przypadkiem z nich nie drwi.

„ Nie, dzięki - odezwał się jeden z nich, gdy dochodzili do kantoru, do którego zaraz weszli.

pyskiem poruszyłem wahadłowe drzwi warsztatu i przeszedłem do kantorku. Zawędrowałem za ladę, przy której dyżurował Mike.

\_ Witam panów - usłyszałem jego głos. - Jakiś problem z samochodem?

- Czy to pan nazywa się Dennis Swift? - zapytał któryś z policjantów.

- Nie - odpowiedział Mike.

- Czy on jest w pracy?

Mike zawahał się. Wyczułem u niego napięcie.

- Zdaje się, że już wyszedł - odparł Mike. - Musiałbym sprawdzić. Czy mogę mu powiedzieć, kto przyjechał?

- Mamy nakaz aresztowania pana Swifta - oznajmił jeden

z funkcjonariuszy.

- Sprawdź, czy jest jeszcze na zapleczu. Obróciwszy się na pięcie, Mike potknął się o mnie.

-Enzo... Zmykaj, mały.

Mike zerknął nerwowo na policjantów.

- Pies warsztatowy - wyjaśnił. - Ciągłe się pęta pod nogami. Poszedłem za Mikiem na zaplecze, gdzie Denny siedział przy

komputerze i wprowadzał faktury dla klientów, którzy jeszcze tego dnia chcieli odebrać samochody.

- Den - odezwał się Mike. - W kantorze są dwaj gliniarze z nakazem.

- Jakim nakazem? - spytał Denny, nie odrywając oczu od ekranu, ^leż zajęty fakturami.

- Aresztowania. Ciebie. Denny przerwał prace.

- Z jakiego powodu?

- Nie znam szczegółów. Ale to policjanci w mundurach, raczej nie wyglądają na przebierańców, zresztą nie masz dzisiaj urodzin chyba więc nie chodzi o żart.

Denny wstał i ruszył do kantoru.

- Powiedziałem im, że, być może, już wyszedłeś - odezwał się Mike i ruchem podbródka wskazał tylne drzwi.

- Doceniam to, Mike. Ale jeśli mają nakaz, to pewnie wiedzą, gdzie mieszkam. Sprawdzę, o co w tym wszystkim chodzi.

Cała nasza trójka utworzyła jakby pociąg i przez pokój z segregatorami dotarła do kontuaru. -Jestem Denny Swift. Policjanci pokiwali głowami.

- Zechciałby pan wyjść z kontuaru? - poprosił jeden z nich.

- Czy jest jakiś problem? Czy mogę się dowiedzieć, o co chodzi?

Kilka osób czekało w kantorze na faktury i wszyscy oderwali wzrok od swoich lektur.

- Proszę wyjść z kontuaru - polecił policjant. Po krótkim wahaniu Denny posłuchał.

- Mamy nakaz aresztowania pana - wyjaśnił jeden z funkcjonariuszy.

- Z jakiego powodu? - zapytał Denny. - Czy mogę go zobaczyć? Musiała zajść jakaś pomyłka.

Gliniarz wręczył Denny'emu kilka kartek. Denny przeczytał je.

- To jakiś żart - powiedział.

- Nie, proszę pana - zaprzeczył policjant, odbierając nakaz. -Proszę położyć ręce na kontuarze i rozstawić nogi.

Z zaplecza wyszedł szef Denny'ego, Craig.

\_ Panowie - odezwał się, podchodząc do funkcjonariuszy. - To .nvba niepotrzebne, a jeśli już, mogą panowie przecież wykonać te czynności na zewnątrz.

\_ Proszę nie przeszkadzać - zażądał groźnym tonem policjant i wymierzył długi, wskazujący palec w

stronę Craiga.

Szef Denny ego miał jednak rację. W całej tej akcji chodziło Oto, żeby komuś zaszkodzić. Przeprowadzano ją w kantorze firmy. Byli tam ludzie, którzy czekali na swoje bmw, mercedesy o mewich skrzydłach i inne luksusowe samochody. Policjanci nie musieli wykonywać tych czynności na oczach ludzi. To byli klienci. Ufali Denny'emu, który teraz okazywał się przestępcą. Policjanci nie działali tak, jak należało. Na pewno mogli zachować się lepiej. Ale oni mają pistolety i pałki. Mają gaz łzawiący i paralizatory. Poza tym policja w Seattle jest znana ze swojej nerwowości.

Denny zastosował się do zaleceń policjantów i położył ręce na kontuarze, rozstawiwszy wcześniej nogi; glina obmacał go starannie od góry do dołu.

- Proszę się odwrócić i stanąć z rękami na plecach - zalecił funkcjonariusz.
- Kajdanki są niepotrzebne - stwierdził ze złością Craig. - On nigdzie nie ucieknie!
- Proszę nie przeszkadzać! - warknął gliniarz.

Denny odwrócił się i stanął z rękoma na plecach. Funkcjonariusz założył mu kajdanki.

- Ma pan prawo milczeć - oznajmił glina. - Cokolwiek pan powie, może zostać i zostanie użyte przeciwko panu...
- Ile czasu to zajmie? - zapytał Denny. - Muszę odebrać córkę. ~ Lepiej będzie, jeśli pan to inaczej załatwi - poradził drugi

Micjant.

~ Denny, ja mogę ją odebrać - odezwał się Mike. - Nie ma cię na liście osób upoważnionych.

- Do kogo powinienem więc zadzwonić?

- Zadzwoni do Marka Feina - poprosił Denny, doprowadzony już do rozpacz. - Jego numer jest w komputerze.

- Czy rozumie pan prawa, które odczytałem?

- Chcesz, żebym wpłacił kaucję? - zapytał Craig. - Czegokolwiek będziesz potrzebował...

- Nie mam pojęcia, czego będę potrzebował - odpowiedział Denny. - Zadzwonię do Marka. Może on znajdzie czas, żeby odebrać Zoe.

- Czy rozumie pan prawa, które odczytałem?

- Rozumiem! - rzucił Denny. - Tak. Rozumiem!

- Za co jesteś aresztowany? - zapytał Mike.

Denny spojrzał na oficerów policji, ale ci się nie odezwali. Spodziewali się, że to Denny odpowie na pytanie. Dobrze ich wyszkolono w stosowaniu wymyślnych metod łamania aresztowanych - niech sami mówią, jakie przestępstwa popełnili.

- Napisali, że chodzi o zgwałcenie dziecka - powiedział Denny.

- O zgwałcenie kwalifikowane jako przestępstwo trzeciego stopnia - uściślił jeden z policjantów.

- Ależ ja nikogo nie zgwałciłem - wyjaśnił glinie Denny. - Kto za tym stoi? O jakie dziecko chodzi?

Nastąpiła dłuższa pauza. Obecnych w kantorze klientów firmy zaintrygowała ta sytuacja. Denny stał z rękami na plecach, i to zakutymi w kajdanki, wszyscy więc widzieli, że stracił wolność, nie mógł używać rąk ani kierować samochodem wyścigowym. Uwaga obecnych skupiła się na policjantach w niebieskoszarych koszulach z pagonami, na ich czarnych pistoletach, pałkach i skórzanych kaburach za pasem. Rozgrywał się prawdziwy dramat-Wszyscy chcieli poznać odpowiedź na pytanie. O jakie dziecko tu chodzi?

- O to, które pan zgwałcił - wyjaśnił glinarz.

Swoim postępowaniem wzbudził we mnie pogardę, ale nie mo-łetn nie podziwiać jego wyczucia dramatyzmu; tenże policjant już ^ słowa wyprowadził Denny'ego.

• 33 •

NIE BYŁEM ŚWIADKIEM WSZYSTKICH PRZYKROŚCI, JAKICH DENNY'EMU przysporzyły proces o opiekę nad Zoë i oskarżenie o przestępstwo, mianowicie o gwałt na dziecku. Związane z tymi sprawami wydarzenia zajęły bez mała trzy lata naszego życia, gdyż taktyka Maxwella i Trish polegała między innymi na przeciąganiu procesu, tak aby zrujnować Denny'ego i złamać jego wolę, a ponadto udowodnić, że nie zależało mu na tym, by Zoë zaznała miłości i wsparcia w otoczeniu. Do wielu rzeczy nie miałem dostępu. I nie zaproszono mnie na żadną rozprawę. Mogłem tylko wziąć udział w paru spotkaniach Denny'ego z adwokatem, Markiem Feinem, zwłaszcza tych, które odbywały się w Victrola Coffee (ponieważ Mark Fein miał słabość do baristki z przekłutą brwią i czekoladowymi oczami). Nie towarzyszyłem Denny'emu, gdy po aresztowaniu trafił na komendę. Nie byłem przy spisaniu jego danych, postawieniu go w stan

oskarżenia i badaniu wykrywaczem kłamstw.

To, co opowiem o trudnym czasie po śmierci Eve, jest w większości rekonstrukcją opartą na informacjach, które wydedukowałem

cudzej wiedzy, z podsłuchanych rozmów i zwyczajowej procedury prawnej, poznanej dzięki różnym programom telewizyjnym, płaszcza takim jak serial Prawo i porządek {Prawo i bezprawie} j jego odpryski: Sekcja specjalna, Zbrodniczy zamiar oraz niesłuszne wykpiwany Proces sądowy. Inne szczegóły - te, które dotyczą metod stosowanych przez policję, oraz terminologię - zaczerpnąłem z dwóch niewątpliwie najlepszych produkcji telewizyjnych w dziejach tego gatunku: The Rockford Files, z kreacją Jamesa Garne-ra, który w głównej roli wystąpił też w świetnym filmie o wyścigach samochodowych, Grand Prix; i oczywiście z najznakomitszego dramatu policyjnego, jakim jest Columbo, gdzie rolę tytułową gra doskonały, nadzwyczaj inteligentny Peter Falk. (Zajmuje szóste miejsce wśród moich ulubionych aktorów). I wreszcie wiedzę o tym, co się dzieje na sali sądowej, opieram wyłącznie na dziełach największego mistrza sądowej dramaturgii, Sidneya Lumeta, reżysera wielu filmów, które wywarły na mnie ogromny wpływ, takich jak Werdykt czy Dwunastu gniewnych ludzi; dodam zresztą przy okazji, że wręcz genialnie obsadził Ala Pacino w Pieskim popołudniu.

Zamierzam opowiedzieć naszą historię prawdziwie i z całym jej dramatyzmem. Jeśli nawet niezbyt dokładnie przedstawię fakty, to proszę jednak zrozumieć, że ukażę emocje takimi, jakimi były. Mam taki szczerzy zamiar. A powiem (też nie bez dramatyzmu), że intencja liczy się najbardziej.

ZABRANO GO DO MAŁEGO POKOJU Z DUŻYM STOŁEM I MNÓSTWEM krzesel. Ściany były podziurawione oknami, które wychodziły na, otaczającą ów pokój, salę pełną detektywów, zajętych przy biurkach swoją policyjną pracą, tak jak w Prawie i porządku. Do owego pokoju przesączało się przez drewniane rolety błękitne światło, zostawiające długie cienie na stole i podłodze.

Nikt nie niepokoił Denny'ego. W przeciwieństwie do tego, co często widzi się na filmach, żaden zły glina nie ciągnął go za uszy, nie bił książką telefoniczną i nie rozbijał mu głowy o tablicę do pisania. Nie. Po spisaniu danych, pobraniu odcisków palców i sfotografowaniu Denny został umieszczony w owym pokoju, w zupełnej samotności, i tam pozostawiony, jakby policja całkiem o nim zapomniała. Siedział w pojedynkę. Siedział godzinami, nie mając niczego - ani kawy, ani wody, ani dostępu do toalety, ani radia. I nie miał się czym rozerwać. Była zbrodnia, była kara i był on sam. Samiuteńki.

Czy rozpacział? Czy w skrytości ducha ganił sam siebie za to, że na-r,7il się na taką sytuację? Ale może wreszcie zrozumiał, co to znaczy być mną, psem? Czy, gdy każda minuta ciągnęła się bez końca, pojął, że przebywanie gdziekolwiek w pojedynkę jest stanem obojętnym, stanem, w jakim znajduje się ślepa ryba na dnie oceanu: bez oczu, a więc bez własnego osądu? Czy to możliwe? Otoczenie nie wpływa na mój nastrój - to mój nastrój wywiera wpływ na otoczenie. Mijam się z prawdą? Czy Denny mógł pojąć subiektywną naturę samotności, czegoś, co istnieje tylko w umyśle, a nie w świecie, i - podobnie jak wirus - nie zdoła przetrwać bez chętnego żywiciela?

Wolę myśleć, że Denny przebywał tam przez pewien czas w pojedynkę, ale nie był samotny. Wolę myśleć, że zastanawiał się nad swoją sytuacją, choć nie rozpacział.

I oto Mark Fein wdarł się do Komendy Wschodniej na Kapitolu w Seattle; wdarł się tam i zaczął krzyczeć. Taki jest brawurowy styl Marka Feina. Bezczelność. Bezwzględność. Bojowość. Mark Fein jest jak duże B. Przypomina tę literę wyglądem i zachowaniem. Bezwstydnym. Brutalnym. Ów adwokat bez wahania otworzył drzwi na oścież, niczym rozjuszony byk zaatakował biurko podoficera dyżurnego i bardzo szybko wy dostał Denny'ego za kaucją.

- Dennisie, o co w tym wszystkim chodzi, do cholery? - zapytał Mark na rogu ulicy.

- To nic poważnego - odpowiedział Denny, nieskory do rozmowy.



I - Akurat! Piętnastolatka! Dennisie! To cholernie poważna sprawa.

- Ona kłamie.

- Na pewno? Miałeś stosunek z tą dziewczyną? I-Nie.

' - Wprowadzałeś swojego penisa albo cokolwiek innego do któ-regokolwiek z jej otworów?

Denny spojrzał na Marka Feina i nie udzielił odpowiedzi.

- To część ich planu, rozumiesz? - odezwał się z troską w głosie Mark Fein. - Nie docierało do mnie, dlaczego wnieśli bzdurny pozew o przyznanie opieki, a to oskarżenie zmienia całą sytuację

Denny wciąż milczał.

- Pedofil. Sprawca przestępstwa na tle seksualnym. Gwałciciel osoby nieletniej. Ktoś, kto molestuje dzieci. Czy któreś z tych określeń daje się pogodzić z „dobrem dziecka”?

Denny zacisnął zęby i uwydatnił przy tym mięśnie obu szczęk.

- W mojej kancelarii jutro rano o ósmej trzydzieści - oznajmił Mark. - Nie spóźnij się.

Denny był spięty.

- Gdzie jest Zoe? - zapytał. Mark Fein zatrzymał się raptownie.

- Tamci mnie uprzedzili - wyjaśnił. - Nieprzypadkowo znaleźli się w szkole wcześniej.

- Pojadę po nią - zapowiedział Denny.

- Nie rób tego! - przestrzegł Mark. - Daj spokój. Teraz nie czas na bohaterszczyznę. Kto utknął w bagnie, nie powinien się szamotać.

- A więc utknąłem w bagnie? - zdziwił się Denny.

- Dennisie, tkwisz teraz w najgłębszym bagnie, jakie sobie można wyobrazić. Denny obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. -1 nie miotaj się w nim - krzyknął do niego Mark. - Poza tym nie możesz, na miły Bóg, nawet zerkać na piętnastoletnie dziewczyny!

Ale Denny zniknął już za rogiem.

^5

#### RĘCE SĄ OKNAMI LUDZKIEJ DUSZY.

Kto się napatrzył kręconych w samochodzie filmów wideo z wyścigów, ten przyzna, że to prawda. Sztwyne, pełne napięcia trzymanie kierownicy świadczy o sztywnym, pełnym napięcia stylu jazdy. Nerwowe ruchy rąk innego kierowcy zdradzają, że czuje się w samochodzie bardzo niekomfortowo. Ręce kierowcy powinny być odprężone, wrażliwe, świadome tego, co się dzieje. Kierownica jest przekaźnikiem wielu informacji; zbyt kurczowy albo zbyt nerwowy chwyt sprawi, że owe informacje nie dotrą do mózgu.

Mówi się, że zmysły nie działają pojedynczo, lecz w połączeniu, które następuje w pewnej szczególnej części mózgu, ta zaś tworzy obraz organizmu jako całości: receptory skórne informują mózg o nacisku, bólu, wysokiej temperaturze; receptory w stawach i ścięgnach powiadamiają mózg o położeniu ciała; receptory uszne Wskazują stopień zachowania równowagi, a te w narządach wewnętrznych obrazują stan uczuć człowieka. Kierowca wyścigowy P°stąpi głupio, jeśli dobrowolnie ograniczy działanie jednego

z owych kanałów informacyjnych; ideałem jest niezakłócony, ciągły przepływ informacji.

Roztrzęsione ręce Denny'ego były jego i moim zmartwieniem Po śmierci Eve często patrzył na swoje ręce i trzymał je przezj oczami, jakby wcale nie należały do niego, unosił je i obserwował ich drżenie. Starał się to robić, gdy nikt nie widział.

- Nerwy - mówił, gdy się orientował, że interesuje mnie ta obserwacja dłoni. - Stres.

Po tych słowach zwykle chował ręce w kieszeniach spodni i trzymał je tam, żeby nikt ich nie widział.

Kiedy Mike i Tony zawieźli mnie później tamtego wieczoru do domu, Denny czekał z rękoma w kieszeniach na pogrążonym w ciemnościach ganku.

- Chodzi nie tylko o to, że sam nie chcę mówić - usłyszeli od niego Mike i Tony. - Mark zabronił mi mówić cokolwiek. I tyle.

Tamci stali w alejce przed domem i przypatrywali się Denny'emu.

- Czy możemy wejść? - spytał Mike.

- Nie - odparł Denny, a uświadomiwszy sobie własną opryskliwość, dodał dla wyjaśnienia: - Akurat w tej chwili nie zniósłbym żadnego towarzystwa.

Mike i Tony przyglądali mu się przez dłuższą chwilę.

- Nie musisz mówić o tym, co się dzieje - powiedział Mike. - Ale dobrze jest rozmawiać. Nie można wszystkiego dusić w sobie. To niezdrowe.

- Zapewne masz rację - zgodził się Denny. - Ale ja funkcjonuję inaczej. Najpierw muszę się... oswoić... z tym, co mnie spotkało, i dopiero potem będę mógł rozmawiać. Nie teraz.

Ani Mike, ani Tony nie ruszyli się z miejsca. Zastanawiali się chyba, czy uszanować wolę Denny'ego i zostawić go w spokoju, czy raczej mimo wszystko wdrzeć się do domu i narzucić mu swoje męźrystwo. Spojrzeli po sobie; wyczułem ich lęk, zapragnąłem, panny zrozumiał, że szczerze martwili się o niego. Poradzisz sobie? - spytał Mike. - Nie musimy się bać, że za-alisz papierosa obok włączonej bez płomienia kuchenki gazowej jżbo zrobisz coś innego w tym rodzaju? -Mam elektryczną kuchenkę - wyjaśnił Denny. -1 nie palę. \_ Poradzi sobie - uspokoił Mike'a Tony.

- Chcesz, żebyśmy ci jakoś pomogli, żebyśmy na przykład zajęli się Enzem? - zapytał Mike. -Nie.

-Albo kupili coś do jedzenia? Denny pokręcił głową.

- On sobie poradzi - powtórzył Tony i szarpnął Mike'a za ramię.

- Mam stale włączony telefon - oznajmił Mike. - Ta gorąca linia na czas kryzysu działa przez całą dobę. Dzwon, jeśli będziesz potrzebował rozmowy albo czegokolwiek innego.

Mike i Tony wycofali się w stronę furtki.

- Nakarmiliśmy Enza! - zawołał Mike z alejki, którą odchodzili. Gdy zniknęli, weszliśmy z Dennyem do domu. Denny wyjął ręce

z kieszeni i przyjrzał się ich rozedrganiu.

- Gwałcicielowi nie można powierzyć opieki nad córeczką -powiedział. - Rozumiesz, o co chodzi?

Poszedłem za nim do kuchni, bo przez chwilę nie byłem pewien, czy nie okłamał Mike'a i Tony'ego, jednak nie było tam gazowej kuchenki. Ale Denny nie zbliżył się do kuchenki, wyjął natomiast z kredensu szklanę. Potem sięgnął tam, gdzie trzymał alkohol, ' Wyciągnął butelkę. Nalał sobie.

Jakiś absurd. Depresja, stres, trzęsące się ręce... i teraz miałby się uP'cr To było nie do zniesienia. Głośno na niego zaszczekałem.

Denny zerknął - z drinkiem w rękę - na mnie, a ja na niego. Gdy-óyrn miał ręce, zamachnąłbym się jedną z nich i uderzyłbym go.

- O co ci chodzi, Enzo, czy to zbyt banalne dla ciebie? Znowu zaszczekałem. Dla mnie to był zbyt żaloszny bana)

- Nie osądzaj mnie - powiedział. - Nie tego od ciebie oczekuję Chcę, żebyś mnie wspierał, a nie osądzał.

Denny wypił i przeszył mnie wzrokiem; jednak go osądziłem Zachowywał się dokładnie tak, jak chcieli tamci, był gotów skąpi tulować i wszystko mogło się skończyć; musiałbym spędzić resztę życia z pijakiem, który bezmyślnie patrzyłby martwym wzrokiem na obrazy przesuwające się po ekranie telewizyjnym. To nie był mój Denny. Ale żaloszna postać z typowego telewizyjnego dramatu. I wcale mi się ten Denny nie podobał.

Wyszedłem stamtąd i pomyślałem, że chyba pójdę spać, lecz nie chciałem zasnąć w pokoju, w którym spędzi noc rzekomy Denny. Imitacja Denny'ego. Przeniosłem się do sypialni Zoë, na podłodze przy jej łóżku zwinąłem się w kłębek i spróbowałem zasnąć. Pozostała mi tylko Zoë.

Później - nie wiem, czy dużo później - w drzwiach stanął Denny.

- Kiedy pierwszy raz zabrałem cię do samochodu, a byłeś wtedy szczeniakiem, obrzygałeś siedzenie - powiedział do mnie. - Jednak nie zniechęciłem się do ciebie.

Uniosłem łeb, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Odstawiłem alkohol - oznajmił. - Jestem ponad to. Denny obrócił się na pięcie i odszedł. Słyszałem, że się kręci po

pokoju telewizyjnym, w końcu włączył telewizor.

A więc nie utopił rozpacz w alkoholu, ucieczce słabych i płaczących. Zrozumiał mnie. Chociaż zdobywam się tylko na gesty.

Odnalazłem go na kanapie, wpatzonego w film z udziałem Eve, Zoë i mnie samego, film sprzed wielu lat, z czasów, gdy byliśmy w Long Beach, na wybrzeżu stanu Waszyngton. Zoë dopiero co nauczyła się chodzić. Dobrze pamiętałem tamten weekend-

stkim nam zdawało się, że jesteśmy tacy młodzi, gdy na owej jglokilometrowej plaży uganiałiśmy się za latawcami. Usiadłem pok kanapy i też zacząłem oglądać. Byliśmy naiwni, nie wiedzieliśmy, dokąd nas tamta droga zaprowadzi, nie przypuszczaliśmy, że kiedyś zostaniemy rozłączeni. Plaża, ocean, niebo. Wszystko to było tam dla nas i tylko dla nas. Świat bez końca.

\_ Pokonanie pierwszego zakrętu nigdy nie zapewnia zwycięstwa - odezwał się Denny. - Ale wiele wyścigów przegrywa się na pierwszym zakręcie.

Zerknąłem na niego. Denny wyciągnął rękę, dotknął nią czubka mojego łba i - jak to zawsze robił - podrapał mnie po uchu.

-Zgoda - powiedział do mnie. - Jeśli już musimy być banalni, bądźmy banalni pozytywnie.

Tak, wyścig trwa długo - aby wygrać, trzeba go najpierw skończyć\*.

^Tofinisbfint first you have to fintsh - angielska gra słów, zawarta w znanej myśli wypo-«\*WJ przez juana Manuela' Fang.a (1911-1995), słynnego argentyńskiego krerowce Formuły 1 (przyp. red.).

• 36-

MAŁO JEST RZECZY, KTÓRE LUBIĘ BARDZIEJ NIŻ DŁUGI SPACER PO ulicach Seattle, gdy mży. Nie odpowiada mi obfitość prawdziwego deszczu; cieszy mnie niewyrazistość, to, że czuję maleńkie kropelki na pysku i rzęsach. Rześkość powietrza, nagle nasyczonego ozonem i ujemnymi jonami. Obfity deszcz może niweczyć wszelkie aromaty, natomiast drobny deszczyk właściwie wzmacnia zapachy; wyzwala cząsteczki, ożywia wonie, które dzięki powietrzu docierają do mojego nosa. I dlatego przedkładam Seattle nad każde inne miejsce pod słońcem, nawet nad Thunderhill Raceway Park. Lato jest bowiem w Seattle bardzo suche, a kiedy zaczyna się pora wilgoci, mało który dzień mija bez mojej ukochanej mżawki.

Denny zabrał mnie na spacer w mżawce i była to dla mnie rozkosz. Od śmierci Eve upłynęło ledwie kilka dni, a że spędzałem ten czas przeważnie w domu z Denny, wciąż wdychając to samo stęchłe powietrze, czułem, że się duszę, że brak mi tchu. Denny też chyba potrzebował odmiany; džinsy, bluzę od dresu i żółty płaszcz prze' ciwdeszczowy zastąpił luźnymi, ciemnymi spodniami, kaszmirowym golfem i czarnym trenczem.

poszliśmy na północ od Madison Valley, w głąb arboretum. Kie-jy już pozostawiliśmy za sobą niebezpieczny teren, na którym nie

0       nawet ścieżki dla pieszych, a samochody mocno przekraczają dozwoloną prędkość, skręciliśmy w węższą drogę i Denny spuścił „mie ze smyczy.

Właśnie to uwielbiam: z upodobaniem biegam po wysokiej, mokrej irawie, Kocham biegać z pyskiem przy ziemi, gdy czuję na nosie traue i krople wody. Wyobrażam sobie wtedy, że jestem odkurzaczem wchłaniającym wszystkie zapachy, całe życie, żdźbła letniej trawy. Przypomina mi to dziecięce lata na farmie w Spangle, gdzie brakowało deszczu, ale była trawa i były pola; właśnie to wspomnienie sprawiło, że pognałem przed siebie.

Tamtego dnia biegałem bez końca. A Denny szedł w jednostajnym

1       powolnym zarazem rytmie. W miejscu, w którym zwykle zawracaliśmy, nie zrobiliśmy przystanku. Kładką dla pieszych dotarliśmy do Montlake. Denny znów przypiął mi smycz i znaleźliśmy się w jeszcze jednym parku! Ten też przypadł mi bardzo do gustu. Choć okazał się inny.

- Interlaken - powiedział Denny, uwalniając mnie od smyczy.

Interlaken. To park bez łąk i bez równego terenu. Zobaczyłem pofałdowany, kręty kanion, zdobiony winoroślą, mnóstwem krzewów, różnym poszyciem, sklepiony przez najwyższe drzewa oraz baldachim z liści. Było tam cudownie. Podczas gdy Denny szedł dalej ścieżką, ja biegałem w górę i w dół po stoku wzgórza, albo też tak szybkim biegiem, na jaki mnie było stać, pokonywałem przeszkody i udawałem drapieznika z filmów, wciąż na coś polując, •topiąc ofiarę.

Chodziliśmy i biegaliśmy długo po tym parku - na jeden krok Denny'ego przypadało pięć moich - aż wreszcie zmęczyłem się 'Poczułem pragnienie. Wyszedszy z parku, znaleźliśmy się w niecnej mi okolicy. Denny zatrzymał się w jakiejś kafejce, żeby wypić kawę. Mnie przyniósł wodę w papierowym kubku; trudno mi było a jednak ugasiłem pragnienie. I znowu chodziliśmy.

Zawsze lubiłem ruch i spacer, zwłaszcza z Denny, moim ulubionym towarzyszem pieszych wypraw, szczególnie kiedy mżyło ale muszę przyznać, że wtedy bardzo się zmęczyłem. Już ponad dwie godziny byliśmy na powietrzu, a ja lubię po długim spacerze wrócić do domu, radośnie przyjąć wycieranie rącznikiem i uciąć sobie dłuższą drzemkę. Ale na drzemkę się nie zanośli, wciąż chodziliśmy.

Dotarliśmy do dobrze mi znanych Piętnastej Alei i parku Volunteer. Zdziwiłem się jednak, gdy weszliśmy na teren cmentarza Lake View. Wiedziałem o nim trochę, choć nigdy wcześniej go nie odwiedziłem. Oglądałem kiedyś dokument o Brusie Lee, pochowanym właśnie na cmentarzu Lake View; obok leży jego syn, Brandon, przedwcześnie zmarły wspaniały aktor. Ogromnie mi żal Brandona Lee, ponieważ padł ofiarą rodzinnej kłątwy, ale też dlatego, że ostatni film, w którym wystąpił, został niefortunnie zatytułowany Kruk. Sam film okazał się kiepskim pomysłem; oparto go na komiksie napisanym przez kogoś, kto nie ma w ogóle pojęcia o tym, jakie naprawdę są krukowate. Ale to temat na inną okazję. Weszliśmy na cmentarz, lecz nie szukaliśmy grobów dwóch bardzo dobrych aktorów, Bruce'a i Brandona Lee. Szukaliśmy czegoś innego. Idąc wyłożoną płytami drogą na północ, zatoczyliśmy krąg wokół centralnego wzgórza i dotarliśmy do prowizorycznie ustawionych namiotów, pod którymi zebrało się sporo ludzi.

Wszyscy byli elegancko ubrani, a ci, których namioty nie chroniły przed mżawką, trzymali parasole. Od razu wypatrzyłem Zoe.

Ach, tak. Albo się coś rozumie, albo nic nie dociera do świadomości. Denny ubrał się stosownie do uroczystości.

Zbliżaliśmy się do owych ludzi, wśród których panował pewien chaos, ponieważ kręcili się wkoło, a każdy zajmował się czymś innym. Ceremonia jeszcze się nie rozpoczęła.

Gdy byliśmy tuż-tuż, nagle od tamtej grupy ktoś się odłączył. Jakiś mężczyzna. Potem następny i jeszcze jeden. Podeszli do nas.

Jednym z nich był Maxwell. Dwoma pozostałymi okazali się bracia Eve, których imion nie znałem, bo przyjeżdżali bardzo rzadko.

- Nie powinieneś tutaj przychodzić - stwierdził surowym tonem Maxwell.

„To moja żona - odpowiedział spokojnie Denny. - Matka mojego dziecka.

Dziecko, o którym wspomniał, było na miejscu. Zoë dojrzała ojca. Pomachała do niego, a on pomachał do niej.

- Nie powinieneś tutaj przychodzić - powtórzył Maxwell. - Odejdź albo wezwę policję.

Obaj bracia jakby wrosli w ziemię. Przybrali wojownicze pozy.

-Już wezwałeś, prawda? - spytał Denny.

Maxwell zmierzył Denny'ego pogardliwym wzrokiem.

- Ostrzegłem cię - stwierdził.

- Dlaczego to robisz?

Maxwell naruszył przestrzeń osobistą Denny'ego.

- Nigdy nie traktowałeś Eve dobrze - rzekł. - A przez to, co zrobiłeś Annice, nie pozwolę, byś sprawował opiekę nad Zoë.

- Tamtej nocy nic się nie stało... Ale Maxwell zdążył się już odwrócić.

- Odprowadźcie, proszę, pana Swifta - polecił synom i szybko odszedł.

W oddali zobaczyłem Zoë, która nie mogła się już powstrzymać: uskoczyła ze swego miejsca i pobiegła do nas.

- Daj sobie spokój - odezwał się jeden z braci.



? - To pogrzeb mojej żony - przypomniał Denny. - Zostaję. ~ Zjeżdżaj stąd - ponaglił drugi i uderzył Denny'ego w żebra.

- Możesz mnie bić, jeśli masz ochotę - zgodził się Denny. -będę się bronić.

- Pedofil! - wysyczał pierwszy z nich, atakując Denny'ego. A]e Denny nie ruszył się z miejsca. Ktoś, kto prowadzi ważący ton samochód i osiąga trzysta kilometrów na godzinę, nie przejmie się byle czym.

Zoe była już przy nas i przytuliła się do Denny'ego. Ojciec uniósł ją, usadowił na swoim biodrze i pocałował w policzek. -Jak się ma moja córeczka? - zapytał.

-Jak się ma mój tatuś? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Radzę sobie - stwierdził Denny. Po tych słowach zwrócił się do szwagra, który go dopiero co pchnął. - Przepraszam, nie słyszałem, co mówiłeś. Zechcesz to powtórzyć przy mojej córce?

Tamten zrobił krok do tyłu i wtedy szybkim krokiem zbliżyła się do nas Trish. Weszła między Denny'ego a swoich synów. Synom kazała się oddalić, po czym zwróciła się do zięcia.

- Posłuchaj, rozumiem, dlaczego przyszedłeś - odezwała się. - Ale to nie w porządku. Nie powinieneś zostawać na pogrzebie. -A po chwili wahania dodała: - Bardzo mi przykro. Czujesz się pewnie strasznie samotny.

Denny nie odpowiedział. Zerknąłem na niego i zobaczyłem łzy w jego oczach. Zoe też je zauważyła i również jej oczka zawilgotniały.

- Dobrze jest płakać - oznajmiła. - Babcia mówi, że płacz pomaga, bo wymywa to, co boli.

Denny przypatrywał się przez dłuższą chwilę córce, a ona jemu. Potem westchnął ze smutkiem.

- Pomożesz babci i dziadkowi w ciężkich chwilach, zgoda? -poprosił. - Ja muszę się zająć czymś ważnym. Czymś, co dotyczy mamy. Jest to i owo do zrobienia.

- Wiem - powiedziała Zoe.

„Jeszcze trochę pomieszkaż u babci i dziadka, a ja w tym czasie czystko załatwię, dobrze? „Mówili, że na jakiś czas zostanę u nich.

„ Cóż, babcia i dziadek są przewidujący - stwierdził z żalem -głosie Denny.

„Możemy dojść do porozumienia - rzekła Trish. - Wiem, że nie jesteś złym człowiekiem...

- Nazywasz to porozumieniem? - zdziwił się Denny. \_ Z czasem zrozumiesz. Tak jest najlepiej dla Zoë.

\_ Enzo! - krzyknęła nagle Zoë, która wypatrzyła mnie pod swoimi nogami. Wyrwała się Denny'emu i objęła mnie za szyję. -Enzo!

Byłem zdziwiony i ucieszony tym serdecznym przywitaniem, dlatego polizałem ją po twarzy. Trish nachyliła się ku Denny'emu.

- Pewnie bardzo ci brakowało Eve? - wyszeptła. - Ale żeby wykorzystać piętnastoletnią dziewczynę...

Denny wyprostował się raptownie i odsunął się od niej.

- Zoë - powiedział. - Enzo i ja będziemy obserwować pogrzeb z pewnego wyjątkowego miejsca. Idziemy, Enzo.

Pochylił się i pocałował córkę w czoło, a potem odeszliśmy.

Zoë i Trish patrzyły na nas, gdy się oddalaliśmy. Poszliśmy dalej tą samą okrężną drogą i z boczem jednego ze wzgórz, dotarliśmy na jego szczyt, gdzie stanęliśmy pod drzewami i - chronieni przed padającym słabym deszczem - obserwowaliśmy ceremonię. Patrzyliśmy na skupionych ludzi. Na człowieka, który czytał coś z książki. Na ludzi kładących róże na trumnie. I wreszcie na ludzi ujeżdżających swoimi samochodami.

My zostaliśmy. Przeczekaliśmy rozebranie namiotów. A także Pracowników cmentarza, którzy za pomocą dziwnego kołowrotka °Puścili trumnę w głąb ziemi.

Staliśmy w miejscu. Patrzyliśmy na owych ludzi, gdy łopat przysypywali Eve piachem. Czekaliśmy.

Gdy wszyscy zniknęli, zesliśmy ze wzgórza, stanęliśmy pn owym kopcu i wybuchnęliśmy płaczem. Płakaliśmy. Klęcząc, ro ! drapywaliśmy ziemię z owego kopca, aby poczuć ostatnią drobin Eve, ostatnią cząstkę, jaką mogliśmy poczuć, i płakaliśmy.

Wreszcie, wyczerpani, wstaliśmy. Ruszyliśmy w długą drogę do domu.

NAZAJUTRZ PO POGRZEBIE EVE LEDWO SIĘ PORUSZAŁEM. MIAŁEM tak sztywne ciało, że nie mogłem nawet wstać i Denny musiał mnie szukać, bo zazwyczaj wstawałem od razu i pomagałem mu przygotowywać śniadanie. Jako ośmioletni pies byłem o dwa lata starszy od Zoë, choć czułem się raczej jej wujem niż bratem. Wydawałem się zbyt młody na artretyzm, ale właśnie on mi dokuczał. Artre-tyzm zwyrodnieniowy, spowodowany przez dysplazję bioder. Jest to nieprzyjemna przypadłość, ale w pewnym sensie czułem ulgę, mogąc się skupić na własnych kłopotach i mniej się przejmować innymi nurtującymi sprawami, zwłaszcza wymuszonym pobylem Zoë u Bliźnięt.

Już w dość młodym wieku zauważyłem u siebie wady bioder. Pierwsze miesiące życia minęły mi zresztą przede wszystkim na bieganiu i zabawach z Dennyem (z nikim innym), miałem więc niewiele okazji do porównywania siebie samego z resztą psów. Kiedy Podrosłem na tyle, by odwiedzać parki dla psów, rozumiałem, że leś mi o w iele wygodniej chodzić, gdy trzymam tylne łapy blisko siebie, i że to oczywisty objaw wadliwej budowy bioder. chciałem bynajmniej, żeby widziano we mnie niewydarzone psa, dlatego przyswoiłem sobie takie sposoby chodzenia i bieżanfa° które pozwalały ukryć defekt.

Kiedy dojrzewałem, postępowało naturalne zużywanie się chrząstki na końcach kości i ból dawał się bardziej we znaki. Nie skarżyłem się jednak, a próbowałem ukrywać swój problem Nie wykluczam, że zawsze byłem bardziej podobny do Eve, niż przyznawałem, bo przecież odnosiłem się nadzwyczaj nieufnie do lekarzy, na domiar złego potrafiłem tak kamuflować wady, by uniknąć diagnozy, która najpewniej przyspieszyłaby moje odejście.

Jak wspominałem, nie wiem, skąd się wzięła nieufność Eve do medycyny; natomiast przyczyny mojej nieufności są aż nazbyt oczywiste. Kiedy byłem kilkunastodniowym szczeniakiem, właściciel farmy w Spangle pokazał mnie znajomemu. Tamten człowiek trzymał mnie na kolanach, głaskał i długo obmacywał moje przednie łapy.

- To powinno zniknąć - powiedział do hodowcy.

- Przytrzymam go - zaproponował farmer.

- Trzeba psa znieczulić. Szkoda, że nie wezwał mnie pan w tamtym tygodniu.

- Nie zamierzam marnować pieniędzy tylko po to, żeby pies nie czuł bólu, doktorze - stwierdził właściciel hodowli. - Niech pan tnie.

Nie miałem pojęcia, o czym rozmawiali, ale oto hodowca chwycił mnie mocno w pól. Tamten człowiek, „doktor”, ujął moją prawa łapę i nożycami, które lśniły w słońcu, odciął prawą ostrogę. Prawy kciuk. Moje ciało przeszły straszliwy, nieznośny ból. Było to okropne, polało się dużo krwi, więc zawyłem. Robiłem, co mogłem, żeby się uwolnić, ale farmer ścisnął mnie tak mocno, że ledwo zapałem. Potem weterynarz ujął moją lewą łapę i bez chwili wahania odciął

ten kciuk. Szczęknięcie. To utkwiło mi chyba bardziej w pamięci niż ból. Ten dźwięk. Takie głośne szczęknięcie. I wszędzie dookoła krew. Ból okazał się tak dokuczliwy, że trzęsąc się, opadłem w końcu z sił. Później lekarz posmarował rany maścią, mocno obandażował mi przednie łapy i szepnął do mnie:

„ Ten drań żałuje pieniędzy na znieczulenie dla swoich szczeniaków.

Rozumiecie? Właśnie dlatego im nie ufam. Lekarz, który dla pieniędzy amputuje bez znieczulenia, też jest draniem.

Następnego dnia po pogrzebie Eve Denny zabrał mnie do weterynarza, chudego mężczyzny, który pachniał sianem i miał w kieszeni niewyczerpane zasoby smakołyków. Starłem się nie okazać bólu, kiedy dotykał moich bioder, ale gdy uciskał pewne miejsca, nie mogłem się powstrzymać. Weterynarz postawił diagnozę, przepisał lek przeciwzapalny i stwierdził, że może już tylko - kiedyś w przyszłości - wykonać kosztowną operację wymiany wadliwych bioder na inne.

Denny podziękował weterynarzowi i zawiózł mnie do domu.

- Masz dysplazję bioder - powiedział mi.

Gdybym posiadał palce, wciskałbym je w uszy, aż popękałyby bębienki. Zrobiłbym wszystko, żeby tego nie słyszeć.

-To dysplazja bioder - powtórzył Denny i, zdumiony, pokręcił głową.

A ja pokręciłem łbem. Wiedziałem, że ta diagnoza zapowiada mój koniec. Być może powolny. Niewątpliwie bolesny. Weterynarz rozstawił znaki wskazujące drogę ku śmierci. To, co jest widzialne, staje się dla nas nieuchronne. Samochód podąża ^ wzrokiem kierowcy. Niezależnie od tego, jaki uraz wywołał nieufność Eve do medycyny, mogłem dostrzec tylko skutki: Eve nie potrafiła odwrócić wzroku od tego, na co inni radzili nie patrzeć. Mało kto stawia czoło bezwzględności diagnozy, która jest

równoznaczna z wyrokiem śmierci; mało kto nie przyjmuje tej diagnozy do wiadomości i wybiera inną drogę. Myślałem o ?Ve o jej bardzo szybkim pogodzeniu się z perspektywą śmierci, skoro zapowiedź końca zaakceptowało jej otoczenie; zastanawiałem się nad przepowiednią, której przedmiotem był mój własny koniec poprzedzony wielkim cierpieniem i bólem (tego większość ludzi spodziewa się przed śmiercią), i starałem się odwracać wzrok.

• 38 •

DENNY ZOSTAŁ POSTAWIONY W STAN OSKARŻENIA, ALE DOMAGAŁ się prawa do widzenia się z Zoe. Bliźnięta złożyły jednak sprzeciw, co na kilka miesięcy uniemożliwiło mu spotkania z córką. Dodatkowo tuż po aresztowaniu Denny'ego sąd otrzymał od Maxwella i Trish wniosek o pozbawienie go praw do jakiegokolwiek opieki nad Zoe, skoro okazał się człowiekiem bez rodzicielskich predyspozycji. Pedofilem. Sprawcą przestępstwa na tle seksualnym.

Cóż, wszyscy stosujemy te same reguły gry, tyle że niektórzy ludzie poświęcają więcej czasu na wczytywanie się w nie i obmyślanie osobistych korzyści.

Widywałem filmy o porwaniach dzieci, filmy ukazujące przerażenie i zgryzotę rodziców na myśl, że dziecko jest w obcych rękach. Taka właśnie zgryzota stała się udziałem Denny'ego i moim, choć Ua inny sposób. Wiedzieliśmy, gdzie jest Zoe. Wiedzieliśmy, kto ją nam odebrał. Byliśmy jednak bezradni.

Mark Fein stwierdził, że Denny dolałby tylko oliwy do ognia gdyby powiedział córce o sprawach sądowych, i poradził, Zerjy wytłumaczył swą długą nieobecność wyścigami samochodowymi w Europie, w których powinien był wziąć udział. Oprócz tego Mark Fein wynegocjował dla Denny'ego i Zoe możliwość korespondowania: ojciec uzyskał zgodę na - cenzurowane przez adwokata Bliźniąt - listy do córki oraz na to, by Denny otrzymywał kartki i rysunki od Zoe. Mogę wam powiedzieć, że każdą pionową powierzchnię w naszym domu zdobiły urocze dzieła Zoe i że razem z Denny'ym poświęciliśmy niejedną długą wieczór na układanie listów do niej, w których pisaliśmy o sukcesach jej taty na europejskich torach wyścigowych.

Chociaż pragnąłem, żeby Denny śmiało i gorliwie wystąpił przeciw temu, co uważał za niedobre, to jednak rozumiałem jego powściągliwość. Od dawna darzył podziwem legendarnego kierowcę, Emersona Fittipaldiego. „Emmo” - tak nazywali go koledzy - był mistrzem wielkiej miary, nadzwyczaj konsekwentnym, znanym z pragmatyzmu na torze. Nie warto ryzykować, jeśli niewłaściwy wybór może wyrzucić na bandę na Indy albo przemienić samochód w dziwną rzeźbę z metalu, którą ekipy techniczne z trudem rozprostowują, gdy tymczasem niewidzialne płomienie, wytwarzane przez palący się etanol, oddzielają ciało od kości. Emmo nigdy nie wpadał w panikę, nigdy też nie naraził się na sytuację, w której musiałby spanikować; Denny, podobnie jak Emmo, również nie ryzykował bez potrzeby.

Ja sam, owszem, podziwiam Emersona Fittipaldiego i staram się go naśladować, ale myślę, że wolałbym jeździć jak Ayrton Senna, wywołujący swoją brawurą emocje. Chętnie załadowałbym nasze bmw tym, co najpotrzebniejsze, i któregoś dnia bez zapowiedzi zabrałbym Zoe spod szkoły, a potem ruszyłbym prosto do Kanady-Z Vancouver pojechalibyśmy na wschód, do Montrealu, gdzie odbywa się wiele wspaniałych wyścigów szosowych, a w lecie każdego roku wyścig Formuły 1 o Grand Prix i gdzie przeżylibyśmy resztę ada w spokoju.

Ale wybór nie należał do mnie. Nie siedziałem za kierownicą. j>jikt się mną nie przejmował. Dlatego wszyscy straszliwie spanikowali, kiedy Zoë zapytała dziadka i babcię, czy nie mogłaby się ze mną spotkać. Otóż nikt nie pomyślał o tym, gdzie rzekomo miałbym przebywać. Maxwell i Trish, którzy nie mieli pojęcia, dokąd rzuciła mnie stworzona przez nich fikcja, natychmiast zadzwonili Jo Marka Feina, ten zaś niezwłocznie skontaktował się z Denny'ym, żeby wyjaśnić, na co się naraziliśmy.

- Ona wierzy w to wszystko - usłyszałem, że właśnie te słowa wykrzyczał Mark przez telefon, choć Denny trzymał słuchawkę tuż przy uchu. - Gdzie więc zostawiłeś tego cholernego psa? Gdyby nie obowiązywała kwarantanna, mógłbyś go zabrać ze sobą! Czy Zoë wie o istnieniu kwarantanny?

Ł--Ależ powiedz jej, że może zobaczyć Enza - powiedział spokojnie Denny. - Póki ja jestem w Europie,

Enzo pozostaje pod opieką Mike'a i Tony'ego; Zoë lubi ich i w to uwierzy. Powiem Mike'owi, żeby w sobotę przywiózł Enza.

I tak się stało. Wczesnym popołudniem Mike zabrał mnie z domu do Mercer Island i tamtego dnia bawiłem się z Zoë na wielkim trawniku. Pod wieczór Mike odwiózł mnie do Denny'ego.

-Jak wyglądała? - zapytał Denny.

- Wspaniale - odparł Mike. - Uśmiecha się jak jej mama.

- Przyjemnie spędzili ten czas?

• - Fantastycznie. Bawili się bez przerwy.

- W aportowanie? - spytał Denny, spragniony szczegółów. - Czy Zoë rzucała mu zabawkę? Albo może bawili się w berka? Eve nie lubiła, kiedy się ganiłi.

! - Nie, przeważnie w aportowanie - odpowiedział delikatnie Mike.

- Ja nigdy nie miałem nic przeciwko temu, żeby się bawili w berka, bo znam Enza, ale Eve była zawsze...

- Wiesz, chwilami po prostu tarzali się w trawie i tulili się rj0 siebie. To było naprawdę sympatyczne - stwierdził Mike.

Denny szybko wytarł nos.

- Dzięki, Mike. Naprawdę bardzo ci dziękuję. -Jestem zawsze do dyspozycji - zapewnił Mike. Doceniłem to, że starał się uspokoić Denny'ego, ukrywając

zresztą prawdę. Ale mogło być i tak, że Mike nie dostrzegał tego, co ja widziałem. Albo nie słyszał wszystkiego, co ja słyszałem. Głębokiego smutku Zoë. Jej samotności. Wyjawionego szeptem zamiaru wymknięcia się ze mną do Europy, gdzie Zoë chciała odszukać tatę.

Tamto lato bez córki było bardzo przykre dla Denny'ego. Oprócz poczucia odseparowania od Zoë bolał też nad przerwaniem swojej kariery: otrzymał propozycję dołączenia do ekipy, z którą jeździł w poprzednim roku, musiał jednak odmówić, czekała go bowiem sprawa karna, a ta wymagała nieopuszczania stanu Waszyngton, jeśli nie chciał powrócić do aresztu. Denny nie mógł też przyjąć żadnej z korzystnych ofert pracy w charakterze instruktora czy udziału w reklamach telewizyjnych - po spektakularnym sukcesie w Thunderhill producenci takich filmów mieli o Denny'ym bardzo dobrą opinię i dosyć często telefonowali z propozycjami. Przeważnie chodziło o pracę w Kalifornii, czasem w Nevadzie albo Teksasie i sporadycznie - w Connecticut, a więc dla niego wykluczoną. Denny stał się więźniem stanu Waszyngton.

Ale...

Egzystujemy fizycznie po to, by poznawać samych siebie. I dlatego, wnikając to wszystko głębiej,

zaczynam rozumieć, co skłoniło Denny'ego do pogodzenia się z ową sytuacją. Nie powiem, że ją stworzył, ale do niej dopuścił. Potrzebował takiej próby charakteru. Chciał się przekonać, jak długo utrzyma nogę na pedale gazu. Sam wybrał takie życie i dlatego wybrał też tę walkę.

A ja uświadomiłem sobie, gdy lato było już w pełni i często spotykałem się z Zoe bez Denny'ego, że stałem się jednym z uczestników tej walki. Osobą dramatu. Otóż wtedy, w lipcu, późnym popołudniem każdej soboty, Mike opowiadał Denny'emu o tym, co działo się w ciągu dnia, i powracał do własnego świata, Denny zaś siadał ze mną na tylnym ganku i wypytywał mnie:

- Czy bawiliście się w aportowanie? W przeciąganie? W berka?

Chciał też wiedzieć, czy tuliliśmy się do siebie. I pytał: -Jak wyglądała? Czy je dość owoców? Czy oni kupują zdrową żywność?

Starałem się. Wysilałem się na słowa, tyle że daremnie. Próbowałem przekazywać myśli telepatycznie. I przysyłać obrazy, które tworzył mój umysł. Nadstawiałem uszu. Kierowałem łeb w jego stronę. Kiwałem łbem. Uderzałem łapą.

Wreszcie Denny uśmiechał się do mnie i wstawał.

- Dziękuję ci, Enzo - powtarzał w takie dni. - Mam nadzieję, że nie zmęczyłeś się zbytnio.

Ja też stałem i merdałem ogonem. Nigdy nie jestem za bardzo zmęczony.

p - A więc idziemy.

Denny brał zabawki do aportowania i prowadził mnie do Parku Błękitnego Psa, gdzie aportowałem do wieczora, kiedy głodne komary wylatywały ze swych kryjówek.



TAMTEGO LATA DENNY'EMU TRAFIŁA SIĘ PRACA INSTRUKTORA w Spokane. A więc za pośrednictwem naszego „międzykontynentalnego” łącznika, Mike'a, zapytał, czy Bliźnięta nie przygarnęłyby mnie na weekend; Maxwell i Trish zgodzili się, bo przywykli do mojej obecności w ich domu, zawsze zresztą zachowywałem się tam bardzo godnie, nigdy nie brudziłem drogich dywanów, nie upominałem się o jedzenie i nie ślinałem się podczas snu.

Wolałbym oczywiście pojechać z Dennyem do szkoły dla kierowców wyścigowych, ale rozumiałem, że spodziewał się po mnie opieki nad Zoë oraz odegrania poniekąd roli jego świadka. Moja obecność w domu Bliźniąt była chyba pewnym pocieszeniem dla Denny'ego, choć nie mógł się ode mnie dowiedzieć żadnych szczegółów.

I oto w któreś piątkowe popołudnie dzięki Mike'owi znalazłem się w objęciach Zoë, która już na mnie czekała. Natychmiast zabrała mnie do swego pokoju, gdzie zaczęło się przebieranie dla zabawy; ponieważ musiałem nosić dziwaczne stroje, byłbym nieszczęry,

powiedział, że miałem równe prawa. Ale tu już odzywa \ moje ego, bo przecież wiedziałem, że wypada mi być błaznem ni dworze Zoë, i chętnie odgrywałem tę rolę.

Tamtego wieczoru Maxwell zabrał mnie na zewnątrz wcześniej niż zazwyczaj i zachęcał, żebym szybko „zrobił swoje”. Gdy wróciłem do domu, zostałem zaprowadzony do pokoju Zoë, gdzie już było moje legowisko. Zoë pewnie poprosiła o to, bym spał u niej, a nie przy tylnych drzwiach albo - nie daj Boże - w garażu. Zwinąłem się w kłębek i wkrótce zasnąłem.

Nieco później nagle się obudziłem. Światło było przyćmione. Zoë, przebudzona, zajęła się ustawianiem zwierząt-zabawek dokoła mojego legowiska.

- One dotrzymają ci towarzystwa - szepnęła, otaczając mnie maskotkami.

Były ich chyba setki. O najróżniejszych kształtach i rozmaitej wielkości. Dookoła mnie pojawiały się misie, żyrafy, rekiny, psy, koty, ptaki i węże. Zoë pracowała pilnie, a ja patrzyłem na to, póki nie stałem się zaledwie małym atolem na Pacyfiku, zwierzęta zaś były odtąd moją rafą koralową. Rozbawiło mnie i wzruszyło, że Zoë chciała w taki sposób podzielić się ze mną swymi przytulankami, pogrążyłem się więc potem we śnie, mając świadomość, że jestem chroniony i bezpieczny.

Gdy później, w nocy, obudziłem się, zobaczyłem wokół siebie dosyć wysoki mur z owych zwierząt. Miałem jednak tyle miejsca, żeby dla większej wygody zmienić pozycję. Kiedy to zrobiłem, Przeraził mnie pewien widok. Widok zebry.

Zebry zastępczej. Wybranej przez Zoë jako zamiennik demona, który dawno temu zdemaskował się przede mną. Koszmarne demona z przeszłości.

Demon powrócił. Mimo ciemności w pokoju Zoë zobaczyłem w jego oczach błysk - tego jestem pewien.

Po to

Jak łatwo sobie wyobrazić, niewiele spałem tamtej nocy - chciałem, oczywiście, z powodu powrotu demona zobaczyć

przebudzeniu rzezi zwierząt. Zmuszałem się do czuwania, mimo kleiły mi się oczy. Za każdym razem, gdy je otwierałem, widziałem - wpatrzoną we mnie - zebkę. Zdawała się gargulcem na szczycie katedry wzniesionej ze zwierząt, rzygaczem zajęty obserwacją. Pozostałe zwierzęta nie miały w sobie życia; były zabawkami. Tylko zebra okazała się istotą świadomą.

Przez cały następny dzień ruszałem się niemrawo, ale robiłem co mogłem, żeby trzymać fason, a niewyspanie próbowałem sobie wynagrodzić dyskretnymi drzemkami. Ktokolwiek by mnie obserwował, uznałby zapewne, że jestem w sumie zadowolony, bałem się jednak nastania ciemności i tego, że zebra znowu będzie mnie dręczyć szyderczym wzrokiem.

Po południu, kiedy Bliźnięta swoim zwyczajem raczyły się na zewnątrz alkoholem, a Zoë oglądała jakiś program w telewizji, ja drzemałem na słońcu. I słuchałem ich.

- Wiem, że tak jest najlepiej - odezwała się Trish. - A jednak żal mi go.

- Tak jest najlepiej - potwierdził Maxwell.

- Wiem. Mimo to...

- Użył przemocy wobec nastolatki - powiedział surowym tonem Maxwell. - Jakż to ojciec napastuje niewinne dziewczęta?

Oderwałem łeb od ciepłego drewna, na którym leżałem; zobaczyłem, że Trish pokręciła głową i cmoknęła przy tym.

- O co chodzi? - zapytał Maxwell.

- Mówiono mi, że ona nie jest taka niewinna. - Mówiono ci?! - oburzył się Maxwell. - On użył przemocy

wobec dorastającej dziewczyny! To gwałt!

- Wiem, wiem. Ale to... zdumiewający zbieg okoliczności, że właśnie wtedy o tym powiedziała.

\_ Sugerujesz, że zmyśliła całą historię?

Nie - odparła Trish. - Dlaczego jednak Pete powiedział

o tym, dopiero gdy z takim żalem poskarżyłeś się, że najpewniej „je uzyskamy opieki nad Zoë?

„Nic mnie to nie obchodzi - stwierdził bagatelizująco Maxwell. „On nie zasługiwał na Eve i nie zasługuje na Zoë. A jeśli okaże się tak głupi, że dał się złapać ze spuszczoneymi spodniami i członkiem w rękę, to bądź pewna, że zrobię z czegoś takiego użytek. U nas loë będzie mieć lepsze dzieciństwo. Przyswoi sobie lepsze zasady moralne, zapewnimy jej lepsze warunki finansowe i życie rodzinne;

1 ty to wiesz, Trish. Ty to wiesz!

- Tak, tak, wiem - potwierdziła i upiła tyk ze swego bursztynowego drinka z jasnoczerwoną wisienką na dnie szklanki. - Ale on nie jest złym człowiekiem.

Maxwell dopił alkohol i gwałtownym ruchem postawił szklankę na tekowym stole.

- Czas na obiad - orzekł, po czym wszedł do domu.

Byłem oszołomiony. Ja też zauważyłem zbieżność wydarzeń i od początku coś podejrzewałem. Ale czym innym było usłyszenie o tym, wycucie chłodu w głosie Maxwella...

Proszę to sobie wyobrazić: żona umiera nagle na raka mózgu; jej rodzice przypuszczają bezlitosny atak, by uzyskać opiekę nad wnuczką; wykorzystują przeciw tobie oskarżenie o przemoc seksualną; stać ich na bardzo drogich i zręcznych adwokatów, bo przecież ?uają dużo więcej pieniędzy. Przez wiele miesięcy uniemożliwiają c' wszelki kontakt z sześćioletnią córeczką. Co gorsza, ograniczają fwoje możliwości zarobkowe, aby ci utrudnić utrzymanie siebie utaką mają nadzieję - córki. Ile czasu trzeba, by cię złamać?

Maxwell i Trish nie zdawali sobie sprawy, z kim mają do czy-"?enia. Denny nie zamierzał się ugiąć. Ani zrezygnować - nie mogli 8° złamać.

Zdegustowany, wszedłem za nimi do domu. Trish zaczęła przy gotowania do obiadu, a Maxwell wyjął z lodówki słoik papryczek-ja zaś wrzałem gniewem. Intryganci. Manipulatorzy. W moich oczach nie byli to już Ludzie. Stali się Wrednymi Bliźniętami Ludźmi pełnymi zła, okropnymi, małodusznymi tyranami, którzy pochłaniali bardzo pikantne papryczki, aby wylewać z siebie więcej żółci. Kiedy się śmiali, z ich nozdry wydobywały się płomienie. Ci ludzie nie zasługiwali na to, by żyć. Widziałem w nich odrażające żywe istoty zdane na azot, takie, które egzystują w najciemniejszych zakamarkach najgłębszych jezior, gdzie ciśnienie i brak światła sprawiają, że wszystko zostaje wtłoczone w piach; głęboko, w ciemność, w którą tlen nawet nie śmie się zapuścić.

Skierowany przeciwko Wrednym Bliźniętom gniew podsycił we mnie chęć zemsty. I w imię sprawiedliwości nie zawahałbym się użyć narzędzi, które posiadam dzięki temu, że jestem psem.

Znalazłem się przed Maxwellem, kiedy włożył do ust kolejną papryczkę i schrupał ją swoimi zdejmowanymi na noc sztucznymi zębami. Usiadłem na wprost. I uniosłem łapę.

- Chcesz coś dobrego? - zapytał, wyraźnie zdziwiony moim gestem.

Zaszczekałem.

- Proszę, mały.

Maxwell wyjął ze słoika peperoncino i zatrzymał ją nad moim nosem. Była to bardzo duża, długa papryczka, w kolorze sztucznej zieleni, a roztaczała zapachy azotanów i siarczynów. Diabelski przysmak.

- Te papryczki chyba się nie nadają dla psów - stwierdziła Trish.

- On to lubi - odparł Maxwell.

W pierwszej chwili gotów byłem chwycić peperoncino i od razu kilka palców Maxwella. Ale naraziłbym się na poważne kłopot. J pewnie padłbym ofiarą eutanazji, zanim Mike zdążyłby mnie wyratować, dlatego nie uchwyciłem palców Maxwella. Skusiłem się jednak na papryczkę. Wiedziałem, że mi nie posłuży i będę miał problemy. Ale wiedziałem też to, że dyskomfort minie, a chciałem -nawet zależało mi na tym - by słycać było nieprzyjemne bekanie. W końcu jestem tylko głupim psem, niezastugującym na pretensje ze strony człowieka, nie aż tak inteligentnym, by odpowiadać za funkcjonowanie swojego organizmu. Jestem głupiutkim psem.

Uważnie obserwowałem przebieg obiadu, bo chciałem sam się przekonać. Bliźnięta dały Zoë jakąś potrawę z kurczaka w sosie zaprawionym śmietaną. Maxwell i Trish nie wiedzieli, że Zoë przepadała za nuggetami z kurczaka, ale nigdy nie jadła ich w sosie, a już na pewno nie z dodatkiem śmietany - takiej konsystencji nie znosiła. Kiedy dziewczynka nie tknęła fasoli, Trish zapytała, czy wołałaby banana. Zoë potwierdziła, po czym Trish przygotowała parę kawałków, których dziewczynka prawie nie ruszyła, bo były pokrojone byle jak i miały brunatne planiki, a tych Zoë zawsze unikała. (Gdy Denny przygotowywał dla niej banany, starannie krajał je na równe plasterki i z wczasu usuwał wszystkie brązowe plamy).

A tym uosobieniem zła - pozornemu dziadkowi i pozornej babci! -wydawało się, że Zoë będzie u nich lepiej! Ba! Nie zdarzyło się, aby wzięli pod uwagę jej niezadowolenie, po obiedzie nawet nie zapytali, dlaczego nie zjadła banana. Pozwolili jej odejść od stołu, choć prawie niczego nie tknęła. Denny nigdy by na to nie pozwolił. Przygotowałby coś, co lubiła, i Zoë musiałaby zjeść na obiad tyle, żeby jej to wyszło na zdrowie.

Wrzałem, obserwując ich. A żołądek przeżerał mi kwas.

Kiedy tamtego wieczoru nadszedł czas na mój spacer, Maxwell "tworzył oszklone drzwi na tylny ganek i zaczął swój idiotyczny fefren:

- Rób swoje, mały. Rób swoje.

Nie wyszedłem na zewnątrz. Spojrzałem na niego i pomyślałem o tym, co wyczynia, o tym, że rozbija

naszą rodzinę, rozdziera strukturę naszego życia dla własnych celów, dla osobistej satysfakcji; przyszło mi też na myśl, że on i Trish okazali się niewątpliwie gorszymi opiekunami mojej Zoë. I tam, w domu, naprężyłem się żeby śmierdzącą, obfitą i wodnistą kupą zapaskudzić piękny, drogi jasny berberyjski dywan.

- Co, do diabła? - krzyknął na mnie Maxwell. - Niedobry pies!

Odwróciłem się i w wesołym nastroju powędrowałem do pokoju Zoë.

- Rób swoje, skurwysynu - powiedziałem na odchodne. Ale on mnie oczywiście nie usłyszał.

Kiedy mościłem się na lagunie, w otoczeniu zwierząt-zabawek, dotarł do mnie głośny krzyk Maxwella, który chciał, aby Trish sprzątnęła to, co zostawiłem po sobie. Spojrzałem na zebkę - nadal na tronie, który utworzyły ścierwa - i wydałem bardzo cichy, ale bardzo groźny pomruk. I demon zrozumiał. Zrozumiał, że nie należy mnie w nocy zaczepiać.

Ani tej nocy, ani żadnej innej.

Minęły wakacje. Prawnicy wrócili do pracy. Sądy miały znów pełną obsadę. Skończył się czas odroczeń. Prawda zostanie ujawniona!

Tamtego dnia Denny włożył jedyny swój garnitur - firmy Banana Republic, z gniecionej tkaniny khaki - i ciemny krawat. Wyglądał bardzo dobrze.

- W porze lunchu przyjdzie tutaj Mike i zabierze cię na spacer - powiedział do mnie. - Nie wiem, jak długo to potrwa.

Mike przyjechał, pospacerował ze mną po okolicy, żebym nie czuł się samotny, i zniknął. Później, też już po południu, wrócił Denny. Uśmiechał się do mnie.

- Czy muszę was jeszcze raz sobie przedstawić? - zapytał. Za jego plecami stała Zoe!

Podsłuchałem. Skakałem radośnie. Wiedziałem! Wiedziałem, że Denny pokona Wredne Bliźnięta! Gotów byłem szaleć z radości. Zoe wróciła!

Tamto popołudnie było wspaniałe. Bawiliśmy się na podwórku. Biegaliśmy i śmialiśmy się. Ściskaliśmy się i tuliliśmy. Razem przygotowaliśmy obiad, który zjedliśmy przy naszym stole. Tak dobrze się czuliśmy, będąc znów ze sobą! Po obiedzie Denny i Zoe jedli w kuchni lody.

- Czy niedługo wracasz do Europy? - zapytała nagle Zoe. Denny zamarł. Fikcja okazała się tak przekonująca, że Zoe jeszcze

w nią wierzyła. Usiadł naprzeciw córki.

- Nie, nie wracam do Europy - powiedział. Wypogodziła się.

- Hurra! - krzyknęła. - Odzyskam swój pokój!

- Niestety, nie od razu - oznajmił Denny.

Zoe zmarszczyła czoło i wyduła wargi, próbując odgadnąć, co miał na myśli. Ja też byłem zdziwiony.

- Dlaczego nie? - spytała w końcu głosem, w którym słychać było żal. - Chcę wrócić do domu.

- Wiem, skarbie, ale adwokaci i sędziowie muszą jeszcze uzgodnić, gdzie będziesz mieszkać. Tak się dzieje, gdy umiera czyjaś mama.

- Po prostu im powiedz - poprosiła. - Po prostu powiedz im, że wracam do domu. Tam już nie chcę mieszkać. Chcę mieszkać z tobą i Enzem.

- To jest trochę bardziej skomplikowane - wybąkał Denny.

- Po prostu im powiedz! - powtórzyła ze złością Zoe. - Po prostu im powiedz!

- Zoe, ktoś mnie oskarżył o to, że zrobiłem coś bardzo złego. ••

- Po prostu im powiedz!

- Ktoś stwierdził, że zrobiłem coś bardzo złego. I choć wiem, że tego nie zrobiłem, muszę teraz stanąć przed sądem i wszystkim udowodnić, że jestem niewinny.

Zoe zastanawiała się przez chwilę.

\_ Czy babcia i dziadek tak powiedzieli? - zapytała.

Byłem pod wielkim wrażeniem trafności jej pytania. I \_ Nie... - zaczął Denny. - Nie. Nie, to nie oni. Ale... oni wiedzą.

\_ To moja wina, że za bardzo mnie pokochali - powiedziała cicho Zoe, która wbiła wzrok w pucharek z roztopionymi lodami. - Szkoda, że nie byłam zła. Powinnam była ich zniechęcić do zatrzymania mnie.

- Nie, skarbie, nie - przeraził się Denny. - Nie mów tak. Musisz być zawsze promienna. A tamto załatwię. Obiecuję.

Zoe kręciła głową, unikając jego wzroku. Denny uznał rozmowę za skończoną, sprzątnął pucharek Zoe i zaczął zmywać naczynia. Było mi żal ich obojga, ale bardziej martwiłem się o Zoe, bo wciąż musiała się mierzyć z sytuacjami pełnymi niepojętych subtelności, zależnymi od sprzecznych pragnień różnych osób w jej otoczeniu, osób, które walczyły o przewagę, niczym gałązki winorośli przy ogrodowej kratce. Zasmucona dziewczynka poszła do swojej sypialni, żeby się pobawić zwierzątkami, które tam zostawiła.

Później, już wieczorem, usłyszeliśmy dzwonek. Denny podszedł do drzwi. Na progu stał Mark Fein.

- Czas na Zoe - powiedział. Denny skinął głową i zawołał córkę.

- Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, Dennisie - stwierdził Mark. - Ono ma ogromne znaczenie. Chyba to rozumiesz?

Denny kiwał głową, ale był smutny. Tak jak Zoe.

- Będziesz miał ją dla siebie co drugi weekend, od piątku, kiedy Zoe skończy lekcje, do niedzielnego wieczoru, gdy już będziecie Po obiedzie - wyjaśnił Mark. -1 w każdą środę możesz ją odbierać ze szkoły a przywozić przed ósmą, rozumiesz?

- Tak - odparł Denny.

I Mark Fein przyglądał mu się długo, bez słowa.

- Jestem z ciebie cholernie dumny - odezwał się w końcu Nie wiem, co się dzieje w tej twojej głowie, ale cholernie dobrze walczysz.

Denny westchnął głęboko.

- Tak, potrafię walczyć - potwierdził.

A więc Mark Fein zabrał Zoe. Ledwo wróciła, a znów odjeżdżała. Nie od razu w pełni zrozumiałem tamtą sytuację, ale wreszcie pojąłem, że tego dnia Denny znalazł się w sądzie nie z powodu owego rzekomego przestępstwa, lecz na rozprawie, którą wywołał pozew o przyznanie dziecka, a którą odroczone na wiele miesięcy, ponieważ adwokaci wybrali się z rodzinami na wyspę Lopez, a sędzia udał się do Cle Elum, na swoje rancho. Poczułem się oszukany; wiedziałem, że owi ludzie, wszyscy ci prawnicy, którzy występują oficjalnie w sądzie, nie zdawali sobie sprawy z uczuć, jakie obserwowałem tamtego dnia przy obiedzie. Gdyby mieli świadomość tych uczuć, oderwaliby się od wszystkiego, wyrzekliby się wszelkich innych zobowiązań i zadbaliby o szybką decyzję, żeby wyjaśnić naszą sytuację.

Okazało się, że mieliśmy za sobą dopiero pierwszy krok. Wniosek

o pozbawienie praw został odrzucony. Denny uzyskał prawo do odwiedzin. Ale Zoe pozostawała pod opieką Wrednych Bliźniąt. Denny był wciąż oskarżony o przestępstwo, którego nie popełnił. Niczego nie rozstrzygnięto.

Ale... widziałem ich razem. Widziałem, jak patrzyli na siebie

1 chichotali bez troski. Po raz kolejny potwierdziło się, że słusznie trwałem w mojej wierze w równowagę we wszechświecie. Rozumiałem oczywiście, że pokonałszy zaledwie pierwszy zakręt w bardzo długim wyścigu, ale czułem, że będzie dobrze; Denny raczej nie popełniał błędów, a z nowymi oponami i pełnym bakiem był niełatwym przeciwnikiem dla każdego, kto mu rzucał wyzwanie-



WYŚCIGI NA KRÓTKICH DYSTANSACH TO WSPANIAŁA SZYBKOŚĆ i dynamika. Ale w wyścigu na osiemset kilometrów ujawniają się spektakularne strategie i umiejętności. Dla kierowcy wyścigowego z prawdziwego zdarzenia sensem wyścigu jest przetrwanie. Ośmiu godzin, dwunastu godzin. Dwudziestu czterech. Nawet dwudziestu pięciu. Jedną z zapomnianych postaci z historii wyścigów samochodowych był Luigi Chinetti.

Ten niezmordowany kierowca nie opuścił żadnego wyścigu Le Mans w latach: od 1932 do 1953. Znany jest przede wszystkim z tego, że w odbywającym się w 1949 roku wyścigu 24h Le Mans zdobył dla marki Ferrari pierwsze w jej historii zwycięstwo na tym torze. Chinetti jechał przez dwadzieścia trzy godziny i czterdzieści minut. Na dwadzieścia minut przekazał kontrolę nad samochodem \*\*spółprowadzącemu - Peterowi Mitchellowi-Thompsonowi, właścicielowi auta, szkockiemu baronowi Selsdon. I tyle. W ciągu °Wych dwudziestu czterech godzin Chinetti nie prowadził wozu tylko irzez dwadzieścia minut. I zwyciężył.

Nieco później doskonały kierowca, mechanik i biznesmen Lujgj Chinetti przekonał firmę Ferrari do rozpropagowania aut tej marki w Stanach Zjednoczonych. Został pierwszym - i przez wiele lat je dynym - autoryzowanym dilerem Ferrari w tym kraju. Sprzedawał kosztowne czerwone auta bardzo bogatym ludziom, którzy płacili za te zabawki bardzo duże pieniądze. Chinetti zawsze przestrzegał poufności nazwisk swoich klientów, wystrzegał się oślepiającego blasku konsumpcji.

Luigi Chinetti był wielkim człowiekiem. Inteligentnym, sprytnym i zaradnym. Zmarł w roku 1994 jako dziewięćdziesięcio-trzyletni starzec. Często się zastanawiam, kim jest ten, kto teraz posiada jego duszę. Czy dziecko zna swą genealogię duchową, swoje pochodzenie? Wątpię. Gdzieś jednak jakieś dziecko zaskakuje siebie własną wytrwałością, sprawnością myślenia, zręcznością rąk. Gdzieś to dziecko bez trudu dokonuje czegoś, co zwykle wymaga wielkiego wysiłku. I to dziecko, nieświadome swej przeszłości, a przecież wciąż całym sercem przejęte emocjami wyścigów, doświadcza przebudzenia własnej duszy.

I pojawia się wśród nas nowy mistrz.

TAK SZYBKO...

Rok mija tak szybko, jakby był kęsem uszczkniętym z wieczności. Tak szybko...

Kolejne miesiące, jeśli je porównać z poprzednimi, mijały niezbyt dramatycznie, aż wreszcie znów nastąpiła jesień. A jednak do tej pory nie zaszły prawie żadne zmiany. Odbychał się kontredans prawników, z krokami w przód i do tyłu, i obrotami, odbywało się coś, co dla nich było tylko grą. Ale nie dla nas.

Tak jak ustalono, Denny zabierał Zoe co drugi weekend i w każde środowe popołudnie. Odwiedzał z nią miejsca, w których mogła się wzbogacić duchowo. Muzea sztuki. Wystawy osiągnięć nauki. Zoo i akwarium. Uczył ją różnych rzeczy. I czasami zabierał nas <sup>o</sup>a gokarty, czyniąc z tych wypraw tajne misje.

Ach, elektryczne gokarty... Zoe właśnie do nich dorosła, gdy Denny zaczął ją tam zabierać. Była w tym dobra. Od razu oswoiła z gokartami, jakby miała wrodzony talent do jeżdżenia nimi. <sup>z</sup>bko wszystko pojmowała.

Tak szybko...

Nie potrzebowała wielu wskazówek, po prostu usiadła za kierownicą, schowała swe złociste włosy pod kaskiem, zapięła się i ruszyła. Bez strachu. Bez wahania. Bez zwłoki.

- Czy zabierze ją pan do Spanaway? - spytał Denny'ego chłopak który pracował przy gokartach, gdy Zoe miała za sobą pierwszą w swym życiu jazdę.

W Spanaway, miejscowości na południe od Seattle, dzieci często trenują jazdę gokartami na plenerowym torze.

- Nie - odparł Denny.

- Bo pokonałaby pana - domyślił się młodzieniec.

- Wątpię - roześmiał się Denny.

Chłopak z obsługi spojrział nerwowo na zegar. I przez oddzielającą szybę zerknął na tych, którzy pracowali w kasie. Był sam środek popołudnia, po szczycie w porze lunchu i przed pojawieniem się amatorów wieczornej jazdy. Znaleźliśmy się tam tylko my; mnie wpuszczono dlatego, że już tu bywałem i nigdy nie sprawiałem kłopotów.

- Proszę więc pojechać - zaproponował ów chłopak. - Jeśli ona wygra, zapłaci pan. Jeśli pan wygra, jazda będzie gratis.

- Zgoda - powiedział Denny i sięgnął na półkę po jeden z kasków, które można było wypożyczyć; swojego nie przywiózł.

Rozpoczęli wyścig z natychmiastowym startem, ale Denny dał córce fory, bo chciał ją potraktować łagodnie. Kilka okrążeń przejechali jedno za drugim, bo Denny zostawał teraz za córką, dając jej do zrozumienia, że jest blisko. A potem spróbował ją wyprzedzić

I Zoe nie pozwoliła mu na to.

Spróbował jeszcze raz. Nie dała się.

Znow ten sam efekt. Jakby stale wiedziała, gdzie on jest. Chociaż gokart nie ma lusterek. I choć kask uniemożliwia zerkanie na boki-Czuła go. Wiedziała.

Ilekcóż Denny podejmował próbę, Zoe udaremniała jego ruchy. ?a każdym razem.

Trzeba wziąć pod uwagę to, że jej ogromnym atutem był ciężar ciała, niespełna trzydzieści kilogramów przy jego co najmniej siedemdziesięciu. W kartingu jest to nie byle jaka różnica wagi. ?e mimo wszystko zważmy też na to, że Denny był przecież zawodowym, trzydziestoletnim kierowcą wyścigowym, a Zoe -siedmioletnią nowicjuską. Oceńmy prawdopodobieństwo.

Zoe uzyskała przewagę - niechaj Pan Bóg błogosławi jej małej duszyczce. Uzyskała przewagę i pokonała starego ojca. A ja byłem rym uszczęśliwiony. Tak bardzo uszczęśliwiony, że nie narzekałem, gdy musiałem czekać w samochodzie, kiedy oni poszli do baru Andv's Diner na frytki i koktajle mleczne.

Jak Denny przetrwał tamtą udrękę? Otóż miał swoją tajemnicę. Córeczka okazała się lepsza, szybsza, przebieglejsza. Wredne Bliźnięta ograniczyły, co prawda, spotkania ojca z Zoe, ale gdy mógł ją widywać, całą energię poświęcał córce.

•43

- NIE LUBIĘ TAKICH ROZMÓW - WYZNAŁ MARK FEIN, TAK MOCNO odchylając się na oparciu żeliwnego krzesła, że w końcu jęknęło, umęczone. - Zbyt często je prowadzę.

Znowu wiosna. Victrola. Czekoladowe oczy.

Spałem u stóp mojego pana na chodniku Piętnastej Alei, rozgrzanym przez słońce jak piekarnik. Spałem, zajmując dużo miejsca i od czasu do czasu leniwie podnosząc łeb, żeby okazać wdzięczność za pieszczotę ze strony przechodniów, z których każdy chciał, w pewnym sensie, być kimś takim jak ja, kimś mogącym bez poczucia winy, całkiem beztrudnie uciąć sobie drzemkę na słońcu. Owi ludzie nie wiedzieli oczywiście, że właściwie byłem pełen niepokoju, jak zawsze, kiedy spotykaliśmy się z Markiem.

-Jestem na wszystko przygotowany - oznajmił Denny.

- Pieniądze.

Denny pokiwał głową i westchnął.

- Zaniedbałem trochę rachunki.

-Jesteś mi winien dużo szmalu, Dennisie - przypomniał Mark. -Dotychczas czekałem cierpliwie, ale teraz muszę zażądać zapłat) ?

- Daj mi jeszcze trzydzieści dni - poprosił Denny. \_ Nie mogę, stary.

\_ Ależ możesz - stwierdził dobitnie Denny, po czym powtórzył: „Owszem, możesz. Mark sączył swoje latte.

- Zaangażowałem detektywów. Speców od wykrywania kłamstw. Asystentów. Personel pomocniczy. Muszę tym ludziom płacić.

- Proszę cię o przysługę, Mark - powiedział Denny. - Daj mi trzydzieści dni.

Mark dopił kawę z mlekiem i wstał.

- Zgoda. Trzydzieści dni. Następnym razem spotkamy się w Café Vita.
- Dlaczego tam? - zapytał Denny.
- Czekoladowe oczy skusiły się na lepszy zarobek. Ona pracuje w Café Vita i tam odbędzie się nasze następne spotkanie. Bylebyś zapłacił. Trzydzieści dni.
- Zapłacę - obiecał Denny. - A ty działaj dalej.

SZTUKA ŚCIGANIA SIĘ W DESZCZU

ADWOKAT PODSUNĄŁ ROZWIĄZANIE: JEŚLI DENNY ZREZYGNUJE ZE swoich praw do Zoe, to tamci wycofają oskarżenie o przestępstwo. Tak przedstawił sprawę Mark Fein. Takie to było proste.

Mark Fein oczywiście mówił hipotetycznie. Wredne Bliźnięta nie powiedziały niczego wprost, ale adwokat miał dość doświadczenia, by wiedzieć swoje. Nie bez znaczenia było to, że matka tamtej dziewczyny okazała się kuzynką Trish. Co więcej, na pierwszych rozprawach adwokat Bliźniąt oświadczył, że jego klientom nie zależy na posłaniu Denny'ego do więzienia za to, czego się dopuścił. Chodzi im tylko o to, by miał w aktach adnotację o przestępstwie na tle seksualnym. A takim ludziom nie powierza się opieki nad małymi dziećmi.

- Adwokaci tamtej strony są bardzo nieuczciwi - stwierdził Mark. - Ale bardzo dobrzy.

- Tak dobrzy jak ty? - zdziwił się Denny.

- Mnie nikt nie dorównuje. Ale oni są bardzo dobrzy.

W którymś momencie Mark zaczął nawet przekonywać pennyego, że - być może - pobyt u dziadka i babci byłby najlepszy dla Zoe, bo przecież mają większe możliwości zaspokojenia jej potrzeb teraz, a w swoim czasie także opłacenia jej studiów. \jark dodał, że gdyby Denny nie był głównym opiekunem Zoe, „je miałby problemów z przyjmowaniem propozycji pracy w innych stanach, mógłby pracować jako instruktor gdziekolwiek, a jeśliby chciał, to także startować w wyścigach na całym świecie. Prawnik zwrócił uwagę na to, że dziecko potrzebuje stabilności, a tę gwarantuje przede wszystkim pobyt w jednym domu i pozostawanie w jednej szkole, najlepiej na przedmieściu albo w prywatnej szkole w centrum. Mark zapewnił Denny'ego, że wynegocjowałby dla niego częste spotkania z córką. Dość długo uświadamiał Denny'emu te prawdy.

Ja nie byłem do tego przekonany. Rozumiałem, oczywiście, potrzebę egoizmu kierowców wyścigowych. Bez tego nie mogliby utrzymywać się wśród elity. Ale Mark Fein po prostu źle trafił, namawiając Denny'ego do przedłożenia własnych potrzeb nad to, co należy się rodzinie, i twierdząc, że nie można osiągać sukcesów w dwóch różnych dziedzinach. Ludzie często przekonują samych siebie do kompromisu jako warunku dojścia do celu. Przekonują samych siebie, że nie wszystkie cele są realne i dlatego trzeba się wyrzekać tych mniej ważnych, wybierać to, co chce się uznać za priorytetowe. Ale Denny nie akceptował myśli o kompromisie. Chciał opiekować się córką i robić karierę jako kierowca wyścigowy, a rezygnacji z jednego na rzecz drugiego nie brał pod uwagę. Na torze wyścigowym sytuacja zmienia się szybko. Przypominałem sobie, że kiedyś Denny zabrał mnie na tor i pozostawił opieką obsługi technicznej; mogłem wtedy obejrzeć wyścig, 'którym brał udział. Widziałem cały wyścig: do końca pozostawało o okrążenie, a Denny był na trzecim miejscu. Dwaj prowadzący przejechali obok nas, a gdy

powrócili, co zasygnalizowano chorą giewką w kratkę, Denny już jechał samotnie - właśnie on zwyciężył. Zapytany o to, jak udało mu się na ostatnim okrążeniu wyprzedzić dwa samochody, tylko się uśmiechnął i wyznał, że gdy zobaczył uniesiony palec startera, sygnalizujący ostatnie okrążenie, coś mu zaświtało w głowie i powiedział sobie: „Wygram ten wyścig”. Je. den z kierowców, którzy byli przed nim, zszedł z toru, drugiemu zablokowało się koło, więc Denny mógł go wyprzedzić.

- Nigdy nie jest za późno - powiedział Denny do Marka. - Sytuacja zawsze może się zmienić.

To prawda. Zmiany następują szybko. I Denny sprzedał nasz dom - jakby chciał to udowodnić.

Nie mieliśmy już pieniędzy. Tamci sprawili, że Denny się całkiem spłukał. Mark zagroził, że zrezygnuje z obrony Denny ego. Mój pan nie miał więc wyboru.

Wynajął ciężarówkę z U-Haul, skrzyknął przyjaciół i w któryś z letnich weekendów przewieźliśmy cały nasz dobytek z domu w Dzielnicy Centralnej do posiadającego tylko jedną sypialnię\* mieszkania na Wzgórzu Kapitolijnym.

Zdążyłem pokochać nasz dom. Był mały, owszem. Dwie sypialnie i jedna łazienka. I nie miałem gdzie się wybiegać. Późnym wieczorem dawały się też we znaki autobusy. Ale przywykłem do mojego miejsca na drewnianej podłodze salonu, bardzo ciepłego w zimie, kiedy docierało tam słońce. I upodobałem sobie psie drzwi, które Denny wstawił, żebym w dowolnym czasie wybiegał z domu. W chłodne, deszczowe dni, gdy Denny był w pracy, często wychodziłem na tylny ganek i siedząc tam, oddychałem swobodnie, chłonałem zapach deszczu i przypatrywałem się kotysaniu gałęzi drzew.

Ale to należało do przeszłości. Skończyło się. Odtąd kolejne mijały mi w mieszkaniu z dywanami o chemicznym zapachu uszczelnionymi oknami, które nie oddychały należycie, z lodówką plusującą ponad miarę i chyba działającą zbyt opornie, żeby dobrze mrozić żywność. Nie było też telewizji kablowej.

Mimo wszystko starałem się zachować dobre samopoczucie. Gdy wciskałem się w róg między bokiem sofy a przesuwanymi, szklanymi drzwiami na balkon - zbyt mały, by mógł uchodzić za prawdziwy balkon - mogłem ominąć wzrokiem budynek po przeciwnej stronie ulicy i w wąskiej szczelinie zobaczyć Space Needle, z małymi windami, które niezmordowanie wożą gości od parteru aż pod niebo i z powrotem.

DENNY SPŁACIŁ MARKA FEINA. TEN ZAŚ, TROCHĘ PÓŹNIEJ, ZOSTAŁ sędzią okręgowym, której to funkcji nie rozumiem, ale wiem, że jest dożywotnia i bardzo zaszczytna oraz że nie można jej nie przyjąć. Denny znalazł nowego adwokata i nie spotykał się z nim ani w Cafe Vita, ani w Victrola Coffee, bo nowy obrońca nie okazywał zainteresowania dziewczynami o przekłutych brwiach i czekoladowych oczach. Mark Fein przypominał sobą literę B, a drugi adwokat kojarzył się z literą L. Pan Lawrence. Lakoniczny legalista. Mark tryskał zapalem i optymizmem. A pan Lawrence miał wielkie uszy i posępną minę.

Nowy adwokat poprosił o odroczenie, przydatne i dopuszczalne w procedurze prawnej, kiedy ktoś potrzebuje czasu na zapoznanie się z całą sprawą. Rozumiałem, że to konieczne, ale byłem niespokojny. Mark Fein dawał dowody energii, na jaką może zdobyć się adwokat, który już odniósł zwycięstwo i uprzejmie czeka, żeby klient obliczył, ile będzie musiał stracić. Mimo niemałych zapewne umiejętności pan Lawrence zachowywał się jak pies myśliwski, nie ma na co polować, a jego smutna twarz zdawała się mówić:

proszę mnie zawiadomić, kiedy będzie pan gotów". Wcześniej rośliśmy uważać, że zbliżamy się do finału, ale oto linia horyzontu L-ofheła się nagle i znów czekaliśmy na to, by sądowe młyny zaczęły „Jeć, a rzeczywiście meły, tyle że straszliwie wolno.

Ledwo Denny podjął pracę w nowym przedstawicielstwie, znowu dotarła do nas przykra wiadomość. Wredne Bliźnięta wystąpiły i pozwem o alimenty dla dziecka od Denny'ego.

Mark Fein nazwał tamtych dwoje małodusznymi tyranami. Nie wystarczyło, że odebrali Denny'emu dziecko, a jeszcze zażądali, by płacił za żywienie córki...

Pan Lawrence uznał ich działanie za uprawnioną, choć oczywiście bezwzględną taktykę. Zapytał



Denny'ego:

- Czy cel zawsze uświęca środki? I sam sobie odpowiedział:

- W ich mniemaniu tak chyba jest.

Mam przyjaciela, którego sobie wymyśliłem. Nazywam go Królem Karmą. Wiem, że karma jest jedną z sił działających w tym wszechświecie i że takich ludzi jak Wredne Bliźnięta spotka karmiczna sprawiedliwość za ich czyny. Wiem, że kara zostanie wymierzona, gdy wszechświat uzna to za właściwe; być może nie w tym życiu, lecz w następnym albo w jeszcze późniejszym. Niewykluczone, że Wredne Bliźnięta w ogóle nie odczują siły działania karmy, ale bez wątpienia odczują jej działanie dusze ich obojga. Rozumiem tę koncepcję.

Nie podoba mi się jednak ona. I dlatego mój wymyślony przyjaciel często mnie wyręcza. Jeśli potraktujesz kogoś złośliwie, to Król Karma zstąpi z nieba i cię zwymyśla. Jeśli kogoś kopniesz, to Król Karma wychynie z jakiegoś zaułka i kopnie ciebie. Jeśli jesteś okrutny i skory do znęcania się, Król Karma zastosuje Odpowiednią karę.

Wieczorem, przed zaśnięciem, prowadzę rozmowy z moim wymyślonym przyjacielem i posyłam go do Wrednych Bliźnięt on zaś wymierza sprawiedliwość. Niewiele mogę, ale chociaż tyle leży w mojej gestii. Król Karma noc w noc skazuje Bliźnięta na bar-dzo złe sny, w których oboje są bezlitośnie ścigani przez sforę dzikich psów, po czym raptownie się budzą i już nie mogą zasnąć.

TAMTA ZIMA OKAZAŁA SIĘ DLA MNIE SZCZEGÓLNIIE TRUDNA. MOŻLIWE, że to wina schodów w naszym bloku. Albo też zaczęła mi dokuczać moja wada genetyczna. Albo po prostu zmęczyło mnie bycie psem.

Koniecznienie chciałem się pozbyć tego ciała, uwolnić się od niego. Kolejne samotne dni, w których brakowało radości, mijały mi na obserwowaniu przez okno przechodniów, dokądś spieszących w ważnych sprawach. A ja... nie potrafiłem otworzyć drzwi i wyjść, żeby ich pozdrowić. Gdybym nawet miał taką możliwość, to przecież nie mógłbym się do nich zwrócić w psim języku. Ani uściskać ich dłoni. A tak bardzo chciałem z tymi ludźmi rozmawiać! Tak bardzo pragnąłem dzielić z nimi życie! Być uczestnikiem, nie tylko obserwatorem; pragnąłem stać się sędzią otaczającego mnie świata, bo nie wystarczała mi już rola pomocnego przyjaciela.

I, patrząc wstecz, mogę powiedzieć, że coś mnie przyciągnęło do tamtego samochodu, a ja przyciągnąłem tamten wóz swoim stanem ducha. Przyszłość pokaże, na co naprawdę nas stać.

Późnym wieczorem wracaliśmy pieszo z parku Volunte przedłużając szybki zazwyczaj spacer ze względu na wyjątkową pogodę. Nie było mi za zimno ani za ciepło, wiało tylko trochę i padał śnieg. Pamiętam, że ten śnieg wytrącił mnie z równowagi Seattle to miasto deszczu. Ciepłego czy zimnego, ale deszczu. IsJie śniegu. Wokół Seattle jest nazbyt wiele wzniesień, by miasto mogło znosić śnieg.

Denny często pozwalał mi wracać z parku bez smyczy, a tamtego wieczoru za bardzo się od niego oddaliłem. Obserwowałem spadające płatki, które kładły się cienkimi warstwami śniegu na chodniku i jezdni Dziewiątej Alei, gdzie nie było ani samochodów, ani ludzi.

- Hej, Zo! - zawołał Denny. Usłyszałem gwizdnięcie, jego przeciągłe gwizdnięcie.

Uniosłem wzrok. Zobaczyłem go po przeciwnej stronie ulicy. Musiałem nie zauważyć, kiedy tam przeszedł.

- Chodź tutaj, mały!

Denny poklepał się po udzie, a ja, odczuwając dystans między nami, jakby dzielił nas cały świat, nie dwupasmowa ulica, rzuciłem się w jego stronę, na jezdnię.

Nagle Denny krzyknął:

- Nie! Zaczekaj!

Opony nie zapuszczają, jak to się zwykle dzieje. Jeźdźnię przykrywała cienka warstwa śniegu. Opony umilkły. Coś wyszeptały. I wtedy potrącił mnie samochód.

„Taki głupi - pomyślałem. - Jestem taki głupi. Jestem najgłupszym psem na tej planecie, a śmiem marzyć o tym, żeby stać się człowiekiem! Jestem głupi”.

- Spokojnie, mały.

Poczułem na sobie rękę Denny'ego. Ciepłe.

- Nie widziałem...

„Wiem.

\_On wyskoczył tak nagle... \_ Doskonale rozumiem. Widziałem wszystko, penny mnie podniósł. Denny mnie trzymał. -Czy mogę pomóc?

-Jestem o kilka przecznic od domu. Jest za ciężki, żeby go nieść.

j podwiesziesz mnie? \_ Oczywiście, ale...

\_ Próbowaleś się zatrzymać, ale pada śnieg. -Jeszcze nigdy nie potrąciłem psa.

- Tylko zahaczyłeś o niego. -Jestem beznadziejny.

- Nic mu się nie stało, tyle że się przestraszył.

- Nigdy nie potrąciłem...

- Co się stało, to się nie odstanie - powiedział Denny. - Pomyślmy raczej o tym, co robić teraz. Wsiadaj do samochodu.

- Zgoda - usłyszałem od tego chłopaka. Był jeszcze chłopcem, nastolatkiem. - Dokąd mam jechać?

- Wszystko w porządku - zapewnił Denny, windując się na tylne siedzenie i moszcząc mnie na swoich kolanach. - Odetchnij

| głęboko i jedźmy.

#### AYRTON SENNA NIE MUSIAŁ ZGINĄĆ.

Uświadomiłem to sobie nagle, kiedy - skowycząc z bólu - leżałem tamtego wieczoru na tylnym siedzeniu samochodu Denny'ego w drodze do kliniki dla zwierząt. Zaświtała mi taka myśl: na torze Imola, w mieście o tej samej nazwie odbywał się wyścig o Grand Prix. Chodziło o zakręt zwany Tamburello. Senna nie musiał zginąć. Mógł z tego wyjść.

W poprzedzający wyścig piątek przyjaciel i protegowany firmy, Rubens Barrichello, podczas jazdy treningowej miał wypadek i odniósł poważne rany. Inny kierowca, Roland Ratzenberger, zginął w czasie sobotniej sesji kwalifikacyjnej. Senna był bardzo zaniepokojony stanem toru. W niedzielę,

w dzień wyścigu, zebrał pozostałych kierowców i utworzyli p°

raz pierwszy zespół odpowiedzialnych za bezpieczeństwo. Senna

został wybrany szefem tej grupy.

Podobno Senna miał tak wielkie wątpliwości co do tamtego

wyścigu o Grand Prix San Marino, że jeszcze w niedzielę przed

^hdniem poważnie brał pod uwagę wycofanie się. Niewiele bratało, aby się wycofał. Niewiele brakowało, aby z tego wyszedł

cało.

Ale nie ocalał. W tamten fatalny pierwszy dzień maja 1994 roku «zia! udział w wyścigu. Jego

samochód, wyjeżdżając ze sławnego zakrętu Tamburello - na którym, jak wiadomo, jest niebezpieczne i osiąga się nadmierną prędkość - przy dwustu kilometrach na godzinę zjechał z toru i rozbił się o betonową ścianę; Senna zginął natychmiast, uderzony przez element wozu, który przebił mu kask.

Albo też zmarł na pokładzie śmigłowca, który zabrał go do szpitala.

Albo zmarł na torze, gdy wydobywano go z rozbitego wraku samochodu.

Ayrton Senna był postacią zagadkową - i w chwili śmierci, i w ciągu życia. Jeszcze dziś toczą się zażarte spory o jego śmierć. W tajemniczy sposób zniknął film nakręcony kamerą pokładową. Pojawiały się kolejne relacje o śmierci mistrza. Pewną rolę odegrała także polityka międzynarodowej federacji - Fédération Internationale de l'Automobile. To prawda, że we Włoszech po śmierci kierowcy na torze natychmiast wszczyna się śledztwo, a wyścig zostaje przerwany. To prawda, że takie zerwanie wyścigu oznacza utratę milionów dolarów przez FIA, sponsorów, administrację toru, stacje telewizyjne i tak dalej. Ucierpiałby na tym biznes. A jeśli kierowca umiera na przykład w drodze do szpitala czy na pokładzie śmigłowca, wyścig może być kontynuowany.

Jest też prawdą, iż pierwszy człowiek, który dotarł do Senny po wypadku, Sidney Watkins, powiedział: „Wyciągnęliśmy go z samochodu i ułożyliśmy na ziemi. A wtedy Senna westchnął i, choć jestem agnostykiem, wyczułem, że w tamtej chwili uszła z niego dusza”.

Jaka jest niewątpliwa prawda o śmierci Ayrtona Senny, kto przeżył tylko trzydzieści cztery lata? Ja znam prawdę i teraz ją ujawnię.

Zaznawał uwielbienia, miłości, aplauzu, zaszczytów, szacunku i w życiu, i po śmierci. Jest wielkim człowiekiem. Był wielkim człowiekiem. Będzie wielkim człowiekiem.

Tamtego dnia zmarł, ponieważ jego ciało zakończyło swą służbę. Jego dusza spełniła swą misję, poznała, co musiała poznać, i mogła odejść. Ja zaś, kiedy Denny wiozł mnie czym prędzej do lekarza, który miał mi pomóc, wiedziałem, że gdybym dokonał tu na ziemi tego, co powinienem, to zszedłbym z krawężnika o sekundę później i zostałbym przez ów samochód zabity natychmiast.

Ale nie zginąłem. Bo nie zakończyłem wszystkiego. Miałem jeszcze coś do zrobienia.

•48

OSOBNIE WEJŚCIA DLA KOTÓW I PSÓW. TO UTKWIŁO MI NAJMOCNIEJ w pamięci. I jeszcze jedno wejście dla zwierząt mogących zarazić. Takie bez podziału na gatunki. Widocznie psy i koty są równe sobie, gdy mogą zarażać.

Pamiętam, że lekarz sprawiał mi ból, wyczyniając coś z moimi biodrami. Potem dostałem zastrzyk i mocno zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, byłem jeszcze otępiaty, ale nie czułem bólu. Docierały do mnie urywki rozmowy. Takie terminy jak: „dysplazja”, „chroniczny artretyzm” i „złamanie kości miedniczej bez przemieszczenia”. Także inne: „chirurgia odtwórcza”, „zabieg zachowawczy”, „złączenie”, „próg bólu”, „zwapnienie”, „zrastanie się”. I ten, który spodobał mi się najbardziej: „stary”.

Denny wyniósł mnie do holu i ułożył na brązowej wykładzinie, co w półmroku, jaki tam panował, zadziało na mnie kojąco. Pomocnik weterynarza mówił Denny'emu o pewnych innych sprawach, których z powodu oszołomienia nie rozumiałem. „Rentgen”. „Środek uspokajający”. „Badanie i diagnoza”. „Za-

strzyk w godzinach nocnych”. I oczywiście: „osiemset dwanaście dolarów”.

Denny wręczył mi kartę kredytową. Po chwili uklęknął i po. głaskał mnie po łbie.

- Wydobrzejesz, Zo - powiedział. - Pękła ci miednica, ale wróci do normy. Po prostu na jakiś czas wy luzu jesz, a potem będziesz jak nowy.

- Panie Swift...

Denny wstał i wrócił do kontuaru.

- Pańska karta została odrzucona. Denny zmarł.

- To niemożliwe.

- Czy ma pan inną kartę?

- Proszę.

Obaj wpatrywali się w niebieską maszynę do przyjmowania kart, ale po chwili pomocnik znów pokręcił głową.

- Przekroczył pan limit.

Denny zmarszczył brwi i wyjął kolejną kartę.

- To moja karta ATM. Ona będzie w porządku. I znowu czekali. Z takim samym efektem.

- Coś się nie zgadza - stwierdził Denny. Słyszałem jego szybszy oddech i przyspieszone bicie serca.  
- Dopiero co wpłynęły moje pobory. Może ich jeszcze nie zaksięgowano.

Z gabinetu wyszedł lekarz. -Jakiś problem? - zapytał.

- Panowie, mam w gotówce trzysta dolarów. Bardzo proszę...-Denny zamachał banknotami przed oczami lekarza.

- Pewnie czekają na zaksięgowanie albo coś w tym rodzaju -w głosie Denny'ego wyczuwało się panikę. - Wiem, że mam pieniądze na koncie. Albo też jutro rano przeleję na to konto trochę pieniędzy z moich oszczędności.

„ >lie przejmuj się, Denny - odezwał się lekarz. - Jestem pewien, ^ to jakieś nieporozumienie. - Po czym zwrócił się do swego ^mocnika: - Proszę wypisać panu Swiftowi pokwitowanie na jpysta dolarów i zostawić polecenie dla Susan, żeby rano pobrała ,kart\ resztę sumy.

Pomocnik wyciągnął rękę po gotówkę. Denny uważnie obserwował młodego człowieka, który wypisywał pokwitowanie.

- Czy mógłbym zatrzymać dwadzieścia dolarów? - zapytał Denny niepewnie. Widziałem, że drżały mu usta. Był znużony, wstrząśnięty i zażenowany. - Muszę zatankować.

Pomocnik zerknął na lekarza, który spuścił wzrok, w milczeniu skinął głową i obrócił się na pięcie, przez ramię rzucając życzenia dobrej nocy. Denny wziął od pomocnika dwudziestodolarowy banknot i pokwitowanie, po czym zaniósł mnie do samochodu.

Gdy wróciliśmy do domu, Denny umościł mnie na moim legowisku. Potem siedział po ciemku, jedynie w świetle latarni ulicznych, i długo krył głowę w dłoniach.

- Nie mogę - odezwał się. - Dłużej tak nie mogę. Uniostem łeb i zrozumiałem, że mówi do mnie. I na mnie patrzy.

- Wygrali - powiedział. - Rozumiesz? Jak miałem zareagować? Co powiedzieć?

Br- Nie stać mnie nawet na opiekę nad tobą - stwierdził Denny. - Nie stać mnie na benzynę. Nie mam nic, Enzo. Nic mi nie zostało.

Ach, jak bardzo chciałem umieć mówić... Jak bardzo żałowałem, że nie mam kciuków. Mógłbym chwycić go za kołnierzyk koszuli. Mógłbym go przyciągnąć do siebie, tak blisko, że poczułby mój °ddech na skórze, i powiedzieć: „To tylko kryzys. Moment! Jak błysk zapałki w bezlitosnym mroku czasu! Przecież sam mnie Uczyłeś, że nigdy nie należy się poddawać. Przekonywałeś, że nowe możliwości zyskują ci, którzy są przygotowani, ci, którzy są goto . Nie wolno ci stracić wiary!”.

Ale nie mogłem tego powiedzieć. Mogłem tylko na niego pa trzeć.

- Staralem się - stwierdził.

Powiedział to, bo mnie nie słyszał. Bo nie dotarło do niego ani jedno słowo z tego wszystkiego, co mówiłem przed chwilą. Bo jestem psem.

- Przecież sam widziałeś - dodał. - Staralem się. Gdybym mógł stać na tylnych łapach... Gdybym mógł unieść

ręce i powstrzymać go... Gdybym mógł do niego przemówić...

„Nie tylko widziałem - stwierdziłbym. -Widzę to także teraz!”.

Denny zrozumiałby. I uświadomiłby sobie coś. Ale mnie nie słyszał. Bo jestem, czym jestem. Dlatego znów ukrył głowę w dłoniach i tak siedział. Nie przydałem się. Był samotny.



KILKA DNI PÓŹNIEJ. TYDZIEŃ? DWA? NIE WIEM. PO KATASTROFIE finansowej Denny'ego czas miał dla mnie niewielkie znaczenie; Denny wyglądał na chorego, brakowało mu energii, sił witalnych - i tego też brakło mnie. Kiedy jeszcze czułem swoje biodra (nie całkiem wyleczone, ale też nienarazające na straszny ból), wybraliśmy się do Mike'a i Tony'ego. Mieszkali niedaleko od nas. Ich dom był mały, ale świadczył

O innym poziomie dochodów; usłyszałem kiedyś od Denny'ego, że Tony znalazł się w odpowiednim czasie we właściwym miejscu

1 dlatego już nigdy nie będzie musiał się martwić o pieniądze. Takie jest życie. I jego istota. Samochód podąża za wzrokiem kierowcy.

Usiedliśmy w ich kuchni, gdzie Denny został poczęstowany herbatą i pil ją, mając przed sobą teczkę z dokumentami. Tony'ego nie było. Mike chodził nerwowo po kuchni.

Br- To dobra decyzja, Den - powiedział Mike. - W pełni ją popieram.

Denny nie ruszał się i nie odzywał, a tylko uporczywie wpatrywał się w teczkę.

- To twoja młodość - mówił Mike. - Twoje ręce. Zasady są ważne, ale twoje życie też jest ważne. I twoja reputacja.

Denny skinął głową.

- Lawrence uzyskał to, o co go prosiłeś, czy tak? Denny skinął głową.

- Taki sam rozkład odwiedzin, ale dwa tygodnie w lecie i ty. dzień w czasie ferii bożonarodzeniowych i tych w lutym? - zapytał Mike.

Denny skinął głową.

- I już nie musisz płacić alimentów. Oni pošlą ją do prywatnej szkoły na Mercer Island. I opłacą jej studia.

Denny skinął głową.

- I zgodzą się na uznanie cię za winnego molestowania, co jest tylko wykroczeniem, i zawieszenie kary; nie będziesz zarejestrowany jako sprawca przestępstwa na tle seksualnym.

Denny skinął głową.

- Denny - odezwał się poważnym tonem Mike. - Jesteś sensownym facetem. Jednym z najsensowniejszych, jakich poznałem. Pozwolę sobie powiedzieć, że to rozsądna decyzja. I ty wiesz, że tak jest, prawda?

Po Denny'ym widać było chwilowe zakłopotanie, bo wbił wzrok w blat stołu i przyjrzał się swoim dłoniom.

- Potrzebuję pióra - poprosił.

Mike sięgnął do tyłu i na stoliku z telefonem znalazł pióro. Wręczył je Denny'emu.

Denny zawahał się, a jego ręka zawisła nad dokumentami. Spojrzał na Mike'a.

- Czuję się tak, jakbym został przez nich rozpruty, Mike. Jakby wycięli mi wnętrzności z rozprutego brzucha i przez to do końca

ja miałbym chodzić z plastikową torebką na kał. Do końca życia ładnie mi zwisać od pasa w dół ta plastikowa torebka z kałem oraz rarka. I za każdym razem, gdy będę opróżniać torebkę, przypomnę sobie, że oni mnie rozpruli, pozbawili wnętrzności, i ze smętnym uśmiechem, czując się całkowicie pokonany, powiem sobie: „Cóż, przynajmniej nie jestem bankrutem”.

Mike zdawał się zakłopotany, i; -To przykre - stwierdził.

\_ Tak - zgodził się Denny. - To przykre. Ładne pióro.

Denny uniósł je. Było to jedno z owych pamiątkowych piór, które się wysuwa z plastikowej części, w której znajduje się atrament.

- Zoo w Woodland Park - powiedział Mike.

Przyjrzałem się uważniej. Górna część pióra. Mała, plastikowa sawanna. A tłok? Zebra. Kiedy Denny przytknął pióro do papieru, zebra przemknęła przez plastikową sawannę. Zebra jest wszędzie.

Nagle zrozumiałem. Zebra. Nie poza nami. W nas samych. To nasze lęki. Nasza autodestrukcyjna natura. Zebra jest tym, co najgorsze w nas, kiedy przeżywamy straszniejsze chwile. Demon tomy sami.

Denny przytknął pióro do papieru i zobaczyłem, że zebra przesunęła się naprzód, ku linii, na której należało złożyć podpis, 'pojąłem, że to nie Denny podpisuje. Podpis składała zebra! Denny nie zrezygnowałby z córki dla kilku tygodni letnich wakacji i żeby uwolnić się od alimentów na dziecko!

Byłem starym psem. Niedawno potrąconym przez samochód. A jednak zrobiłem, co mogłem, a resztę ułatwił lek przeciwbólowy, Zaaplikowany mi wcześniej przez Denny'ego. Oparłem łapy o jego \*olana. 1 sięgnąłem kłami. Po chwili - nie wiem, jak to się stało pz papierami w pysku byłem przy drzwiach kuchni, a Mike i Denny wpatr\ w ali się we mnie w osłupieniu.

- Enzo! - rozkazał Denny. - Rzuć to! Nie posłuchałem.

- Enzo! Rzuć to! - wrzasnął. Pokręciłem łbem.

- Podejdź do mnie, mały! - poprosił Mike.

Zerknąłem na niego: trzymał banana. Denny był złym gHną on - dobrym. Ale wcale nie grał uczciwie. Wiedział, że przepadam za bananami. Mimo to odmówiłem.

- Enzo, podejdź tutaj, do cholery! - wydarł się Denny i spróbował mnie chwycić.

Wymknąłem się.

Był to, przyznam, powolny bieg, bo miałem ograniczoną ruchliwość. Ale jednak można to uznać za bieg. Taki, w czasie którego zwodziłem, robiłem uniki, wymykałem się, nie dawałem się schwytać dosięgającym mnie ręką. Zachowywałem dystans między sobą a nimi.

Wciąż miałem te papiery, nawet wtedy, gdy mnie zapędzili w róg salonu. Nie byłem bez szans, choć mało brakowało, żeby mnie schwytali i wydobyli dokumenty z mojego pyska. Wiedziałem, co prawda, że znalazłem się w pułapce. Ale Denny mnie uczył, że wyścig trwa, póki nie zakończy go znak dany chorągiewką. Rozejrzałem się i zobaczyłem otwarte okno. Było uchylone i zasłonięte roletą, ale przecież otwarte - i to wystarczyło.

Choć doskwierał mi ból, rzuciłem się naprzód. Całym impetem dałem nura. Trafiłem w otwór, uderzyłem o roletę i pozostawiłem ją za sobą. W okamgnieniu znalazłem się na ganku. Pognałem za dom.

Mike i Denny wypadli tylnymi drzwiami, zdyszani, choć właściwie mnie nie ścigali. Byli raczej pod niejakim wrażeniem mojego wyczynu.

- On dał nura - powiedział, sapiąc, Mike.

., Przez okno - dokończył Denny. Tak, to prawda. Dałem nura.

\_ Gdybyśmy to nagrali, moglibyśmy wygrać dziesięć tysięcy dolarów w programie America's Funniest Home Videos\* — stwierdził

Mike-

\_ Oddaj mi papiery, Enzo - poprosił Denny. Trzymając dokumenty w pysku, potrząsnąłem nimi gwałtownie. Moja odmowa rozśmieszyła Mike'a.

- To nie jest zabawne - upomniał go Denny.

Rzuciłem dokumenty przed siebie i zacząłem je deptać. Deptałem je. I próbowałem te papiery zagrzebać. Mike znowu się roześmiał..

Ale Denny'ego ogarnęła straszna złość, gromił mnie wzrokiem.

- Enzo - powiedział. - Ostrzegam cię.

Co mogłem zrobić? Czyż nie dałem do zrozumienia, o co mi chodzi? Czyż nie zakomunikowałem mu czegoś? Co jeszcze mogłem zrobić?

Tylko jedno. Podniosłem tylną łapę i obsusiałem dokumenty. Nie dysponuję niczym oprócz gestów.

Kiedy Denny i Mike zobaczyli, co zrobiłem, nie mogli się opanować - wybuchnęli śmiechem. Gromkim śmiechem. Od kilku lat nie słyszałem, by Denny śmiał się tak wesoło. Obaj poczerwienieli. Zadyszeli się. Padli na klęczki i śmieli się do rozpuku.

- W porządku, Enzo - rzekł Denny. - W porządku.

W tym momencie podszedłem do niego, pozostawiając na trawie oblane moczem papiery.

K\* Jest to odpowiednik popularnego w Polsce programu telewizyjnego Śmiechu warte fczyp. thim.)

- Zadzwoń do Lawrence'a - poradził Mike. - Wydrukuj dokumenty jeszcze raz i będziesz mógł je podpisać.

Denny wstał.

- Nie - oznajmił. - Jestem po stronie Enza. Ja też olewam tę icri ugode. Jest mi to obojętne, czy postąpiłbym sensownie, podpisując te papiery. Nie zrobiłem nic złego i nie zrezygnuję. Nigdy nie zrezygnuję.

- Wściekną się - stwierdził z westchnieniem Mike.

- Mam ich gdzieś - odparł Denny. - Albo wygram, albo na ostatnim okrążeniu zabraknie mi paliwa. Ale się nie poddam. Obiecałem to córce. Nie poddam się.

Gdy wróciliśmy do domu, Denny mnie wykąpał, a potem wytarł ręcznikiem. Później włączył telewizor.

- Który lubisz najbardziej? - zapytał, patrząc na półkę z filmami wideo z tych wszystkich wyścigów, które chętnie razem oglądaliśmy. - O, ten ci się podobał.

Denny włączył odtwarzanie. Ayrton Senna w Monako w 1984 roku, podczas wyścigu o Grand Prix, gdy w deszczu starał się zrównać z liderem, Alainem Prostem. Gdyby nie przerwano wyścigu z powodu warunków atmosferycznych, Senna wygrałby, bo przecież na niego deszcz nigdy nie padał.

Denny i ja, siedząc obok siebie, obejrzelśmy wyścig od początku do końca.

NADESZŁO LATO, W KTÓRE OBCHODZIŁEM DZIESIĄTE URODZINY, i nasze życie zdążyło już wtedy osiągnąć równowagę, choć czegoś jeszcze brakowało. Nadal spędzaliśmy co drugi weekend z Zoe, od niedawna bardzo wyrośniętą i raz po raz wywołującą uśmiech dumy na ustach Denny'ego tym, że podawała w wątpliwość jakieś założenie, negowała tę czy inną teorię albo zdobywała się na głęboki komentarz.

Moje biodra nie goiły się dobrze po wypadku, ale postanowiłem, że już nie narażę Denny'ego na taki wydatek jak tamtej nocy w klinice dla zwierząt. Wytrzymywałem ból, chociaż czasami pozbawiał mnie nocnego snu. Starłem się nie zwalniać tempa życia; miałem poważnie ograniczoną ruchliwość, bo nie mogłem galopować ani biegać kłusem, ale stać mnie jeszcze było na dosyć szybki trucht. Czułem, że nieźle sobie radzę, bo słyszałem czasem z ust ludzi, którzy znali historię mojego życia, że jestem rozbrykanym psem, że (psy w ogóle szybko powracają do zdrowia i łatwo się dostosowują ;do swoich ułomności.

O pieniądze trzeba było wciąż walczyć, bo Denny musiał oddać Wrednym Bliźniętom część poborów, a pan Lawrence, nasz spokojny adwokat, również stale upominał Denny'ego, by zasiliał jego konto. Szefowie Denny'ego byli - na szczęście - tak wspólnymiśmi, że pozwalali mu zmieniać godziny pracy, tak żeby mógł brać udział w różnych zawodach, a w pewne dni uczyć jazdy w Pacific Raceways, co dla Denny'ego stanowiło łatwy sposób zarobienia dodatkowych pieniędzy na opłacenie adwokata.

Czasami Denny zabierał mnie na tor, gdy prowadził naukę, i choć nie wolno mi było z nim jeździć, to chętnie siadałem na stanowiskach startowych i obserwowałem jazdy. Stałem się znany jako pies torowy; szczególnie polubiłem trucht po padoku, podczas którego mogłem podziwiać najmodniejsze samochody, kupowane przez bogatych, młodych ludzi obojga płci, którzy mają na kontach bankowych krocie pieniędzy dzięki temu, że produkują nowoczesny sprzęt. Zawsze można było tam zobaczyć coś ciekawego: a to zgrabny lotus exige, a to klasyczny model porsche, a to dość ekstrawagancki model lamborghini.

Przypomina mi się pewien upalny dzień pod koniec lipca, gdy uczyliśmy i wszyscy byli na torze, a ja obserwowałem piękne czerwone ferrari F430, które padokiem dojechało do budynku szkoły. Z samochodu wysiadł niemłody, niski mężczyzna, któremu wyszedł naprzeciw właściciel szkoły, Don Kitch. Uściskawszy się, rozmawiali przez kilka minut. Tamten człowiek przeszedł na trybuny, żeby obejrzeć tor, a Don polecił przez radio tym, którzy pilnowali różnych odcinków, by chorągiewkami zasygnalizowali przerwanie jazdy i sprowadzili uczestników na lunch.

Gdy kierowcy wysiedli z aut i wysłuchali pożytecznych komentarzy oraz wskazówek instruktorów, Don przywołał Denny'ego, który podszedł, zaciekawiony, do właściciela, a ja dołączyłem do nich. - Wyświadczy mi pewną przysługę - powiedział Don.

Jsgagle znalazł się przy nas niski kierowca ferrari. \_ Pamiętasz Luca Pantoniego? - zapytał Don. - Kilka lat temu byliśmy u ciebie na obiedzie. , Oczywiście - potwierdził Denny, ściskając dłoń Luki. \_ Pańska małżonka przygotowała wspaniały obiad - rzekł Luca. -Jeszcze go pamiętam. Proszę przyjąć szczerze wyrazy współczucia.

Poznałem go od razu, gdy zaczął mówić ze swoim włoskim akcentem. Był to człowiek od ekipy Ferrari.

- Dziękuję - powiedział spokojnie Denny.

„ - Luca chciałby, żebyś pokazał mu nasz tor - odezwał się Don. - Kanapkę możesz chyba zjeść między przejazdami? Jakoś się obejdziesz bez lunchu...

K - To żaden problem - zapewnił Denny, który włożył kask szły w stronę miejsca dla pasażera w luksusowym samocho-,ie Luki.

? - Panie Swift - zawołał Luca. - Czy pozwoli pan, żebym to ja był pasażerem i dzięki temu więcej obejrzał? Denny spojrział na Dona, bo prośba Luki go zdziwiła.

- Panowie chcą, żebym prowadził ten samochód? - zapytał. -[mm, za F430 trzeba zapłacić prawie ćwierć miliona dolarów.

- Całą odpowiedzialność biorę na siebie - zapewnił Luca. Don pokiwał głową.

- Z przyjemnością zatem go poprowadzę - oznajmił Denny usiadł na miejscu dla kierowcy.

Był to nadzwyczaj piękny samochód, nadający się nie do jazdy o drogach, lecz na tor, bo posiadał ceramiczne tarcze hamulcowe, lomologowane przez FIA, kubelkowe fotele przystosowane do rścigów, klatkę zabezpieczającą oraz, tak jak przypuszczałem, -"zynię biegów sterowaną łopatkami za kierownicą w stylu For-łudy 1. Obaj zapięli pasy i Denny elektronicznym przyciskiem chomił samochód, który nagle ożył.

Ach, jakież to dźwięk! Skowyt fantastycznego silnika, nałożo na gardłowy pomruk wielkiej rury wydechowej. Denny nacisnął prawą łopatkę zmiany biegów i powoli ruszyli padokiem w stronę wjazdu na tor.

Poszedłem za Donem do sali, w której uczestnicy kursu ściskali w rękach grube kanapki, żując, jedząc, śmiejąc się, świadomi tego, że dzięki intensywnej przedpołudniowej nauce jazdy na torze dostali jakby zastrzyk radości na następny tydzień życia.

-Jeśli chcą państwo zobaczyć coś wyjątkowego - ogłosił Don -to proszę z kanapkami wyjść na trybuny. W tej przerwie na lunch odbywa się jazda specjalna.

Ferrari okazało się jedynym samochodem na torze, który na ogół był zamykany w czasie przerwy na lunch. Ale to była niecodzienna sytuacja.

- Co się dzieje? - z tym pytaniem jeden z pozostałych instruktorów zwrócił się do Dona.

- Denny ma przesłuchanie - odpowiedział zagadkowo Don. Weszliśmy wszyscy na trybuny w samą porę, żeby zobaczyć

Denny'ego, gdy pokonywał dziewiąty zakręt i wpadał na prostą.

- Moim zdaniem Denny nauczy się sekwencyjnej zmiany biegów po trzech okrążeniach - stwierdził Don.

Owszem, Denny zaczął powoli, tak jak jechał ze mną na torze Thunderhill. Och, chętnie zamieniłbym się miejscami z Lucą, tym szczęśliwym psem! Jazda z Dennyem jako prowadzącym F430 musi być wspaniałym przeżyciem.

Denny jechał spokojnie, ale gdy okrążył tor po raz trzeci, samochód wyraźnie się odmienił. Nie był to już bowiem samochód, lecz czerwona plama. Auto nie skowytało już, a wrzeszczało, pędząc na wprost z taką prędkością, że uczestnicy kursu śmiali się, jakby ktoś opowiedział im jakiś nieprzyzwoity dowcip. Denny jechał jak w okrążeniu kwalifikacyjnym.

po chwili - tak szybko, że wydawało się, iż Denny pojechał „a skróty - ferrari wydostało się ze skupiska drzew, wychodząc .siódmego zakrętu, a przy wjeździe na szczyt wzniesienia Ucieszenie jakby się wydłużyło, po czym usłyszeliśmy trzy stuknięcia przy błyskawicznej elektronicznej zmianie biegów, •

szóstego na trzeci, a pomiędzy szprychami magnezowych felg zobaczyliśmy rozgrzane do czerwoności ceramiczne tarcze hamulcowe. Następnie słyhać było całkowite otwarcie prze-pustnicy i zaobserwowaliśmy taki pęd samochodu przez ósmy zakręt, jakby był rakieta, jakby jechał po szynach, bo gorące, prmowe wyścigowe opony przywierały do tłustej nawierzchni niczym rzepy. Potem znów stukot, zmiana na szybszy bieg, jeszcze jedno stuknięcie i samochód wziął obok nas dziewiąty zakręt, ledwie pięć centymetrów od betonowej przegrody. Efekt Dopplera zmienił warkot mijającego nas samochodu w gniewny ryk i z kolejnym stuknięciem pomknął dalej jak rakieta; w szykanie znów zmienił bieg i zniknął. Ale jaja! - odezwał się ktoś z kursu.

Obejrzałem się na tamtych ludzi i zobaczyłem rozdziawione usta. Wszyscy milczeliśmy, bo dotarło do nas owo stukanie, gdy Denny wjeżdżał w zakręt 5A po przeciwnej stronie toru, czego nie widzieliśmy, ale co mogliśmy sobie wyobrazić, skoro dochodziły tak wspaniałe efekty dźwiękowe - i znowu Denny przemknął obok nas z prędkością miliona kilometrów na go-pzinę.

Br-Ciekawe, kiedy osiągnie granice? - zapytał ktoś głośno, f Don uśmiechnął się i pokręcił głową.

Dawno ją przekroczył - odpowiedział. - Luca na pewno go zachęcił do tego. żeby zademonstrował wszystkim swoje możliwości, 'Denny właśnie to robi.

I Po tych słowach Don zwrócił się do całej grupy, krzycząc:

- NIECH SIĘ PAŃSTWO NIE WAŻĄ TAK JEŹDZIĆ! DENNY JEST ZAWODOWYM KIEROWCĄ WYSCIQQ WYM. NIE PROWADZI SWOJEGO WOZU! NIE BĘDZ.IF MUSIAŁ PŁACIĆ, JEŚLI GO ROZBIJE!

Tamci pokonywali kolejne okrążenia, a nas oszołamiało i mc czyło już patrzeć na nich. Nagle samochód wyraźnie zwolni) - to okrążenie służyło ostudzeniu napędu i hamulców - i wjechał na padok.

Gdy Denny i Luca wysiadali, dookoła niesamowicie rozgrzanego wozu zebrała się cała grupa kursantów. Byli podekscytowani, dotykali parzącej szklanej pokrywy, pod którą krył się wspaniały silnik, i hałaśliwie wyrażali podziw dla popisów na torze.

- Wszyscy do klasy! - zarządził twardo Don. - Wrócimy do notatek, które państwo robili przed południem.

Kiedy odeszli, Don mocno chwycił Denny'ego za ramię. -Jak było?

- Wprost nie do wiary - powiedział Denny.

- Cieszę się. Zasługujesz na to.

Don poszedł na zajęcia, a do Denny'ego zbliżył się Luca. W wyciągniętej ręce trzymał wizytówkę.

- Chciałbym, żeby pan pracował dla mnie - oświadczył ze swym rażąco obcym akcentem.

Siedziałem tuż obok Denny'ego, który z przyzwyczajenia podrapał mnie za uchem.

- Dziękuję za propozycję - odparł Denny. - Ale chyba nie byłbym zbyt dobrym sprzedawcą.



-Ja też nim nie jestem - wyjaśnił Luca.

- Przecież pracuje pan w firmie Ferrari.

- Tak, w Maranello, w głównej siedzibie firmy. Mamy tam świetny tor.

Rozumiem - powiedział Denny. - A więc... gdzie chciałby jennie zatrudnić?

„Na torze. Nasi klienci często proszą o to, by właśnie na torze „Czyć ich prowadzenia samochodów, które kupują. „Chodzi o naukę?

I Tego potrzebujemy. Ale przede wszystkim testowałby pan pochody.

penm ze zdziwienia otworzył bardzo szeroko oczy i wciągnął wielki haust powietrza; ja zrobiłem to samo. Czy ten facet powie-ział to, co nam się wydawało, że usłyszeliśmy?

i-We Włoszech... - stwierdził Denny.

-Tak. Otrzymałby pan mieszkanie dla siebie i córki. I, oczywiście, jako część pakietu, służbowego fiata.

Zamieszkać we Włoszech... - ciągnął Denny. - I testować samochody Ferrari... -Si

Denny powiódł wzrokiem dookoła. Odwrócił się też wokół własnej osi, a potem popatrzył na mnie i się roześmiał.

- Dlaczego ja? - zapytał. - Facetów, którzy potrafią jeździć takimi wózkami, są tysiące.

m- Wiem od Dona Kitcha, że nadzwyczajnie pan jeździ w deszczu. m- Zgadza się. Ale to nie może być właściwy powód. w~ Nie - przyznał Luca. - Ma pan rację.

Spojrzał na Denny ego z uśmiechem w swych jasnoniebieskich oczach.

m- Ale więcej o powodach wolałbym powiedzieć po pańskim Przyjeździe do mnie, do Maranello, gdy będę mógł zaprosić pana §> swojego domu na obiad.

HDenny skinął głową i przygryzł wargę. Wizytówką Luki uderzał

Opaznokiec kciuka.

Cieszy mnie pańska wspaniałomyślna propozycja - oświadczył.

- Ale są niestety pewne sprawy, które nie pozwalają mi wyje^ , za granicę ani nawet do innego stanu... chwilowo. Muszę w-odmówić.

- Wiem o pańskich kłopotach - odparł Luca. - Dlatego tu je stem.

Zaskoczony Denny uniósł wzrok.

- Zatrzymam tę pracę dla pana, dopóki nie wyjaśni się pańska sytuacja i dopóki nie będzie pan mógł podjąć decyzji niezależnej od zewnętrznych okoliczności. Mój numer telefonu jest na wizy. tówce.

Luca uśmiechnął się i jeszcze raz uściśnął dłoń Denny'ego. Wsiadł do swojego ferrari.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego... - rzekł na koniec Denny. Luca uniósł wzrok.

- U mnie na obiedzie. Wtedy pan zrozumie. I odjechał.

Zdumiony Denny kręcił głową jeszcze wtedy, gdy kursanci wyszli z budynku i rozchodzili się do swych aut. Podszedł do nas Don.

- I jak? - zapytał.

- Nie rozumiem - wyznał Denny.

- On interesuje się twoją karierą, odkąd cię poznał - wyjaśnił Don. - Pyta o ciebie za każdym razem, kiedy rozmawiamy.

- Dlaczego to tak bardzo go obchodzi? - dociekał Denny.

- Chce ci to wytłumaczyć osobiście. Mogę tylko powiedzieć, że szanuje cię za twoją walkę o córkę.

Denny zastanawiał się przez chwilę.

- A jeśli nie wygram procesu? - zapytał.

- Porażka podczas wyścigu nie przynosi ujmy - stwierdził Don.

- Ujmę przynosi tylko rezygnacja ze strachu przed przegraną. •• \*" Urwał na chwilę. - A teraz, świerszczyku, zajmij się swoim uczniem i ruszaj wreszcie na tor! Tam jest twoje miejsce!

-CHCESZ WYJŚĆ? IDZIEMY.

Denny miał w ręku smycz. Mimo jesiennego chłodu był w dżinsach i lekkiej marynarce. Postawił mnie na moje chwiejne łapy rzypiął mi smycz. Wyszliśmy w mrok; zasnąłem wcześniej, więc czas na siusianie.

Ostatnio czułem się gorzej. Nie wiem, czy wypadek, jakiemu głem poprzedniej zimy, poluzował moje zawory, czy też działały ki aplikowane przez Denny'ego, ale doskwierało mi nietrzymanie czu. Nawet umiarkowana aktywność sprawiała, że pogrążałem w głębokim śnie, a budziłem na zmoczonym legowisku. Prze-ażnie było to kilka kropelek, czasem więcej, ale zawsze strasznie tego wstydyłem.

Miałem też wielki kłopot z biodrami. Kiedy byłem na nogach podczas ruchu, gdy potrafiłem ożywić stawy i wiązadła, czułem się ietnie, a sam ruch nie sprawiał trudności. Ale po przebudzeniu z dłuższego snu albo po leżeniu w jednej pozycji tylne stawy tywniały i z trudem udawało się je rozruszać, a nawet stanąć.

W zimie moje kłopoty zdrowotne były tak duże, że Denny nj mógł mnie zostawiać na cały dzień samego. Zaczął więc przycrío dzić do domu w porze lunchu, żeby mnie wyprowadzić. Bardzo de likatnie wyjaśniał, że robi to dla siebie, aby wyjść z przygnębienia i apatii. Machina prawna poruszała się jak zawsze, w żółwym tempie, a Denny nie mógł w żaden sposób pospieszyć prawników. Dlatego traktował krótkie wypady z pracy do domu i z powrotem jako coś, co dodawało sił - owszem, miał trochę ruchu, przydatnego sercu, ale i pewien cel, misję, coś innego niż czekanie.

Tamtego wieczoru (wiem, że było koło dziesiątej, bo dopiero co skończył się program The Amazing Race) wyszliśmy na spacer. W rześkim wieczornym powietrzu bynajmniej nie czułem senności. Raczej własną energię.

Przeszliśmy na drugą stronę Park Street i pod lokalem zwanym Cha Cha Lounge wypatrzyłem jakichś ludzi z papierosami. Z trudem powściągnąłem chęć węszenia w rynsztoku. I nie chciałem też wpaść nosem na tyłek innego psa, który tam krążył. A więc po zwierzęcemu oddałem mocz na ulicy, bo nie

miałem wyboru. Byłem psem.

Pine Street poszliśmy w kierunku centrum i wtedy zobaczyliśmy... ją.

Obaj stanęliśmy. Wstrzymaliśmy oddech. Dwie młode kobiety siedziały przy stoliku przed kawiarnią Bauhaus Books and Coffee; jedną z nich była Annika.

Kusicielka! Uwodzicielka! Megiera!

To okropne, że musieliśmy spotkać tę straszną dziewczuchę-Miałem ochotę rzucić się na nią, chwycić zębami jej nos i go wykręcić! Jakże nienawidziłem tej dziewczyny, która zaatakowała mojego Denny'ego swą wybujałą seksualnością, a potem jeszcze oskarżyła go o napaść! Jakże pogardzałem nią za rozjucie naszej rodziny. Zawiedziona kobieta rzeczywiście bywa 0|yutna. Kate 1 lepburn zmiażdżyłaby ją, śmiejąc się przy tym. pałałem złością!

W kawiarni Bauhaus siedziała z inną dziewczyną. Paliła papierosy, piła kawę w modnej i przyjemnej kawiarni, w naszej dzielnicy! Miała teraz co najmniej siedemnaście albo nawet osiemnaście lat i mogła, według prawa, samodzielnie funkcjonować ty społeczeństwie. Praktycznie rzecz biorąc, mogła usiąść w dowolnej kawiarni, w każdym mieście i pławić się we własnej nik-czemności. Ale ja nie musiałem mieć do czynienia z tą niedojrzałą loisiciklą, która potrafiła ranić!

Myślałem, że przejdziemy na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć spotkania, a tymczasem szliśmy w jej kierunku. Nie rozumiałem tego. Czyżby Denny jej nie dostrzegł? Czyżby nie wiedział?

Ale ja wiedziałem i dlatego zacząłem stawiać opór. Całym ciężarem ciała opadłem na chodnik i skuliłem się. M~ Chodź, mały - polecił Denny i potrząsnął smyczą.

Nie zgodziłem się.

- Chodź ze mną! - rzucił.

Nie! Nie zamierzałem z nim iść.

W tym momencie Denny się pochylił. Klęknął, chwycił mnie za pysk i popatrzył mi w oczy.

? -Ja też ją widzę - powiedział. - Zachowajmy godność. - Wypuścił mój pysk z rąk. - To może nam się przydać, Zo. Proszę cię, żebyś podszedł do niej i okazał więcej serdeczności niż komukolwiek przedtem.

^

Nie zrozumiałem tej strategii, ale posłuchałem go. W końcu to trzymał smycz. Gdy przechodziliśmy już obok jej stolika, Denny przystanął

Zdziwiony.

Ę - O, cześć! - odezwał się pogodnie.

Annika uniosła wzrok, udając zaskoczenie, choć musiała nas przedtem widzieć, ale pewnie liczyła na

to, że nie dojdzie do konfrontacji.

- Denny... Jak miło cię spotkać!

Ja też odegrałem swoją rolę. Przywitałem się z nią entuzjastycznie, trącałem ją nosem, wciskałem nos w jej nogę, a potem usiadłem i wpatrywałem się w nią wzrokiem pełnym oczekiwania, co ludziom bardzo się podoba. Ale wewnątrz się gotowałem. Jej makijaż. Jej obcisły sweter i falujące piersi. Oooch!

- Enzo! - wykrzyknęła.

- Moglibyśmy chwilę porozmawiać? - zapytał Denny. Koleżanka Anniki podniosła się.

- Przyniosę więcej kawy - zaproponowała.

- Nie. - Denny powstrzymał ją gestem. - Proszę zostać. Dziewczyna się zawahała.

- Proszę, żeby pani mogła poświadczyć, iż nie doszło do żadnej nieprzyzwoitości - dodał Denny. - Jeśli pani odejdzie, ja też będę musiał się oddalić.

Dziewczyna zerknęła na Annikę, która skinęła głową.

- Anniko... - odezwał się Denny.

- Denny...

Usiadł obok niej na krześle, które stało przy sąsiednim, wolnym stoliku.

- Doskonale rozumiem, o co chodzi - oznajmił.

Dziwne słowa, bo ja bynajmniej nie rozumiałem. W ogóle nie rozumiałem. Ona go zaatakowała. A potem jego oskarżyła o atak i z tego powodu widywaliśmy Zoe tylko w pewne dni tygodnia. Nie potrafiłem pojąć, dlaczego z nią rozmawiamy, a nie pieczemy jej na rożnie.

- Mogło tak być, że dawałem ci jakieś sygnały - powiedział Denny. - To tylko moja wina. Ale zielone światło nie oznacza, że można wejść na jezdnię, nie rozglądając się w obie strony.

Annika, zdziwiona - o czym świadczyła jej mina - zerknęła na leżankę.

L. To metafora - usłyszała od koleżanki.

Dobre sobie, „metafora”, tak powiedziała! Świetne! Ta dziewczyna potrafi wnikać w sens cudzych słów! Zostawimy ją sobie i jutrzejsze pieczenie!

-W tamtej sytuacji powinienem był zachować się całkiem inaczej itwierdził Denny. - Nie mogłem ci tego dotychczas powiedzieć, j uniemożliwiono nam kontakty, ale to ja popełniłem wszystkie Lożliwe błędy. Ja jestem wszystkiemu winien, ty nie zrobiłaś nic :go. Jesteś atrakcyjna i, jak rozumiem, skoro zauważyłem twoją aktywność, odebrałaś to jako sygnał i uznałaś mnie za wolnego, le tak się składa, że nie byłem wolny. Miałem żonę, Eve. A ty byłaś o wiele młodsza, zbyt młoda. Annika spuściła głowę, gdy Denny

wspomniał o żonie.

- Niewykluczone, że przez chwilę nawet utożsamiałem cię Eve - ciągnął Denny. - I, być może, patrzyłem na ciebie tak,

ak kiedyś patrzyłem na Eve. Anniko... domyślam się, że cię bardzo rozzłościłem, nie wiem jednak, czy rozumiesz, co się dzieje, jakie są skutki. Oni zabierają mi córkę. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Annika spojrzała na Denny'ego i wzruszyła ramionami.

- Chcą, żebym był notowany jako sprawca przestępstwa na tle seksualnym, a to oznacza, że musiałbym zawsze meldować się na

ilicji. I już nigdy bez nadzoru nie zobaczyłbym córki. Czy mówili i o tym?

- Mówili... - zaczęła cicho Annika, ale nie dokończyła.

- Anniko, kiedy pierwszy raz zobaczyłem Eve, zaparło mi dech piersiach. Nie mogłem się ruszyć z miejsca. Czułem, że jeśli ona

ia chwilę zniknie mi z oczu, skończy się sen i już jej nie zobaczę, była najważniejszą osobą w moim świecie...

Denny urwał i przez pewien czas nie padło ani jedno słowo. Z restauracji naprzeciwko wyszedł tłumek rozeseńmianych ludzi - zegnali się hałaśliwie, całowali się i ściskali, zanim każdy odszedł w swoją stronę.

- Nigdy by nam się nie łożyło. I to z miliona powodów. Moja córka, mój wiek, twój wiek, Eve. W innym czasie, gdzie indziej? Być może. Ale nie teraz. Nie trzy lata temu. Jesteś cudowną kobietą, wiem, że znajdziesz właściwego partnera i będziesz do końca życia szczęśliwa.

Annika spojrzała na Denny'ego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma.

- Bardzo przepraszam, że to nie będę ja, Anniko - rzekł Denny. - Ale pewnego dnia spotkasz kogoś, kto sprawi, że twój świat stanie w miejscu, tak jak kiedyś Eve sprawiła, że zatrzymał się mój świat. Zapewniam cię.

Annika wpatrywała się w swoją kawę.

- Zoë jest moją córką - mówił dalej Denny. - Kocham ją tak jak twój ojciec kocha ciebie. Proszę cię, Anniko, nie odbieraj mi córki.

Annika nie uniosła wzroku, ale ja spojrzałem na jej koleżankę. Na rzęsach tej dziewczyny wisiły łzy.

Jeszcze przez chwilę siedzieliśmy tam, a potem raptownie wstaliśmy i odeszliśmy w przeciwnym kierunku. Denny od lat nie poruszał się tak lekko jak tamtego wieczoru.

- Chyba coś do niej dotarło - stwierdził.

Też tak myślałem, ale jak mogłem zareagować? Zaszczekałem dwa razy.

Denny popatrzył na mnie i wybuchnął śmiechem.

- Szybciej? - zapytał. Znow zaszczekałem dwa razy.

- Skoro tak, to niech będzie szybciej - zgodził się. - Ruszamy! I resztę drogi do domu pokonaliśmy kłusem.

W DRZWIACH STANĘLI CAŁKIEM MI NIEZNANI LUDZIE: MĘŻCZYŻNA i kobieta. Starzy i wåtli. Mieli na sobie znoszone rzeczy. W rękach trzymali stare, płócienne worki, wypchane ponad miarę. Pachnieli kulkami naftalinowymi i kawą.

Denny uściskał kobietę i pocałował ją w policzek. Jedną ręką chwycił jej walizkę, a drugą wymienił uścisk dłoni z mężczyzną. ? amci dwoje weszli powoli do mieszkania, Denny zaś odebrał od nich płaszcz.

- Tu jest wasz pokój - powiedział, wnosząc walizki do sypialni. -Ja będę spać na sofie.

[ Ani kobieta, ani mężczyzna nie odezwali się ani słowem. On był prawie łysy, tyle że pozostało mu półkoliste pasmo rzadkich, czarnych włosów. Miał ściągniętą skórę, oczy zapadłe, tak jak i policzki; na twarzy widać było żałosną, siwą szczecinę. Kobieta odznaczała się mocno przerzedzonymi, siwymi włosami, przez które prześwitywała niemal cała czaszka. Nawet w mieszkaniu nosiła okulary

przeciwsłoneczne, często przystawała, by przed jej następnym krokiem mąż znalazł się przy niej.

Kobieta w końcu szepnęła coś mężczyźnie na ucho.

- Mama chciałaby skorzystać z łazienki - odezwał się mężczy. zna.

- Wskażę drogę - zapowiedział Denny. Podszedł do matki i podał jej ramię.

-Ja jej wskażę - wtrącił tamten.

Kobieta oparła się na jego ramieniu i razem wyszli do przedpokoju, z którego wchodziło się do łazienka.

- Kontakt jest pod ręcznikiem - wyjaśnił Denny.

- Mama nie potrzebuje światła - powiedział tamten.

Kiedy oboje weszli do łazienki, Denny odwrócił się i zasłonił dłońmi twarz.

-Jak dobrze was widzieć - rzekł do wnętrza dłoni. - Tyle czasu minęło.



## DYBYM WIEDZIAŁ WCZEŚNIEJ, ŻE SIĘ SPOTKAM Z RODZICAMI

Denny'ego, zapewne okazałbym więcej życzliwości tym obcym ludziom. Ale nie zostałem uprzedzony, Denny mnie nie ostrzegł, moje zaskoczenie było więc w pełni usprawiedliwione. Wolałbym jednak powitać ich tak, jak wita się rodzinę.

Spędzili u nas trzy dni i prawie wcale nie wychodzili z mieszkania. Popołudniem jednego z tych dni Denny przyprowadził Zoe, śliczną, ze wstążkami we włosach i w ładnej sukience. Chyba Denny pouczył córkę wcześniej, bo bez sprzeciwu siedziała dość długo na kanapie i pozwalała swojej babci wodzić rękoma po jej twarzy. 'W czasie tego spotkania po policzkach matki Denny'ego płynęły łzy, krople deszczu, które padały na kwiecistą sukienkę Zoe.

Denny przygotowywał proste potrawy: pieczone, fasolę gotowaną na parze, ziemniaki. Jedzono w milczeniu. Byłem zdziwiony tym, że trzy osoby w tak małym mieszkaniu tak niewiele mówiły.

Ojciec Denny'ego okazał się później trochę mniej szorstki i nawet kilka razy uśmiechnął się do syna w czasie owego pobytu u nas.

W którymś momencie, gdy mieszkanie było pogrążone w ciszy a ja siedziałem w swoim kącie i patrzyłem na windy biurowca Space Needle, stanął ze mną.

- Co tam widzisz, mały? - zapytał spokojnym tonem, po czym dotknął wierzchu mojego łba i, jak to robi Denny, podrapał mnie za uszami. O dziwo, syn i ojciec, dotykają bardzo podobnie.

Obejrzałem się na niego.

- Dobrze się nim opiekuj - powiedział.

Nie wiedziałem, czy mówił do mnie, czy do Denny'ego. A jeśli kierował te słowa do mnie, czy mi coś nakazywał, czy też wyrażał swoje uznanie? Ludzki język bywa tak cudownie bałamutny, choć dzięki tysiącom słów mógłby się wykazać wielką precyzją.

W ostatni wieczór wizyty ojciec Denny'ego wręczył synowi kopertę.

- Otwórz - poprosił.

Denny zrobił to i przyjrzał się zawartości koperty.

- Skąd to się wzięło? - zapytał.

- To pieniądze od nas - wyjaśnił jego ojciec.

- Nie macie pieniędzy.

- Mamy dom. I gospodarstwo.

- Nie mogliście sprzedać domu! - wykrzyknął Denny.

- Nie sprzedaliśmy go - wytłumaczył ojciec. - Nazywa się to odwróconym kredytem hipotecznym. Bank przejmie dom po naszej śmierci, ale pomyśleliśmy, że pieniądze bardziej przydadzą ci się teraz niż później, i to wszystko.

Denny uniósł wzrok, żeby się przyjrzeć ojcu, dość wysokiemu i bardzo chudemu mężczyźnie; w ubraniu, które na nim wisiało, wyglądał jak strach na wróble.

- Tato... - zaczął Denny, ale oczy wypełniły mu się łzami i mógł tylko pokręcić głową. Ojciec uściskał go, przytulił i pogłaskał po głowie owymi długimi palcami, których paznokcie miały u podstawy szerokie półksiężycy.

| - Nigdy nie byliśmy w porządku wobec ciebie - przyznał jego ojciec. - Nigdy nie byliśmy w porządku. Teraz będziemy.

Rodzice Denny'ego wyjechali następnego dnia przed południem. Ich wizyta okazała się krótka, ale znaczyła tyle, co ostatni silny powiew jesiennego wiatru, który strąca resztę liści z drzew, ponieważ była sygnałem odmiany, zapowiedziała, że niebawem odżyjemy.

KIEROWCA MUSI UFAĆ. WŁASNEMU TALENTOWI I OSĄDOWI, OSĄDOWI tych, którzy go otaczają, także fizyce. Kierowca musi ufać swojej ekipie technicznej, swojemu samochodowi, oponom, hamulcom i sobie samemu.

Szczyt zakrętu jest w innym miejscu. Z konieczności trzeba jechać inaczej, niż się przywykło. Wóz porusza się z nadmierną prędkością. Opony straciły przyczepność. Tor stał się śliski. I nagle kierowca jest na wyjściu z zakrętu - bez miejsca na torze i z nadmierną prędkością.

Kiedy pułapka zwirowa jest coraz bliżej, kierowca musi podejmować decyzje, które przesądzą o dalszym ciągu wyścigu i o jego przyszłości. Próba dokręcenia kierownicy skończyłaby się fatalnie - raptowne skręcenie przednimi kołami, wbrew ich naturze, p<sup>o</sup> prostu wprawi samochód w ruch obrotowy. Nie lepsze jest podniesienie nogi z pedału gazu, gdyż odbierze przyczepność tylnym kołom. Co robić?

Kierowca musi się pogodzić ze swoim losem. Musi się pogodzić z tym, że popełnił pewne błędy. I że parę razy źle ocenił sytuację i podjął pochopną decyzję. Gdy kierowca znajdzie się w opresji ja skutek niepomysłnego zbiegu okoliczności, musi pogodzić się z tym wszystkim i być gotowy zapłacić za to pewną cenę. Musi opuścić tor. I Ach! Szaleństwo!

Pomyślmy o kierowcach, którzy nie ukończyli wyścigów, ponieważ zbyt gwałtownie szarpnęli kierownicę, dokonali niewłaściwych korekt i na oczach wszystkich ich auta zaczęły się obracać wokół własnych osi. Narazić siebie na coś takiego - okropność... ? Zwycięzca, mistrz - pogodzi się z losem. Pojedzie dalej po brudnej nawierzchni. Zrobi, co w jego mocy, żeby się utrzymać na optymalnym torze jazdy. Stopniowo pokieruje samochód na asfalt, o ile to tylko będzie bezpieczne. Owszem, znajdzie się o kilka miejsc niżej w klasyfikacji generalnej. Owszem, straci. Ale przecież pozostanie na torze. I przy życiu.

\ Wyścig trwa długo. Lepiej jeździć w granicach własnych możliwości i ukończyć wyścig za innymi, niż się

rozbić z powodu zbyt prawnurowej jazdy.

W NASTĘPNYCH DNIACH POJAWIŁO SIĘ WIELE NOWYCH INFORMACJI,

a to dzięki Mike'owi, który zdręczał Denny'ego pytaniami, póki nie uzyskał odpowiedzi. O ślepcie matki, która spotkała ją, gdy Denny był jeszcze chłopcem; syn opiekował się matką przez cały czas nauki w liceum, a potem opuścił dom. O tym, że ojciec zerwał ich wzajemne kontakty, skoro syn postanowił wyjechać, zamiast pomagać w prowadzeniu farmy i w opiece nad matką. O tym, że Denny przez wiele lat telefonował w Boże Narodzenie, aż wreszcie telefon odebrała matka. Wysłuchała syna, choć sama się nie odezwała. Tak było przez wiele lat, ale w końcu zapytała, jak sobie radzi i czy jest szczęśliwy.

Dowiedziałem się, że - wbrew temu, co mówił Denny - za jego udział w testowaniu samochodów we Francji nie zapłacili rodzice, lecz on sam, dzięki kredytowi hipotecznemu. Dowiedziałem się, że - inaczej niż mówił Denny - jego rodzice nie dołożyli się do sponsorowania udziału syna w filmach reklamujących samochody turystyczne; zapłacił kolejnym kredytem hipotecznym, do czego zachęciła go Eve.

t Denny posunął się do ostateczności. Doprowadził się do bankructwa. I zadzwonił do niewidomej matki,

prosząc ją o pomoc, jakąkolwiek pomoc, żeby mógł zatrzymać przy sobie córkę; matka zaś powiedziała, że oddałaby mu wszystko, gdyby tylko mogła poznać wnuczkę. I oto jej ręce dotknęły buzi Zoe, buzi wyrażającej nadzieję; a łzy babci spadały na sukienkę wnuczki.

- Taka smutna historia - stwierdził Mike i dolał sobie tequili. ? - Moim zdaniem ma happy end - sprostował Denny, przypatrując się swojej puszcze dietetycznej coca-coli.

- PROSZĘ WSTĄĆ, SĄD IDZIE - OGŁOSIŁ WOŹNY; TAKA STAROŚWIECKA formalność w takim nowoczesnym otoczeniu.

Nowy budynek sądu w Seattle: przeszklone ściany i metalowe podpory stropów, umieszczone tak, iż sterczą pod różnymi kątami, betonowe podłogi i schody z gumowymi paskami dla ochrony, a na to wszystko pada w dodatku dziwaczne niebieskawe światło.

- Sędzia Van Tighem.

Na salę wszedł starszy pan w czarnej todze. Był to niski i zarazem szeroki w barach mężczyzna z siwą czupryną, zaczesaną na jedną stronę głowy. Jego ciemne, krzaczaste brwi wisały nad małymi oczkami, niczym włochate gąsienice; sędzia miał irlandzki akcent.

- Proszę siadać - polecił. - Zaczniemy.

\* \* \*

Tak oto rozpoczął się proces. Przynajmniej w mojej wyobraźni-Nie podam szczegółów, bo ich nie znam. Nie było mnie tam, p<sup>o</sup> nieważ jestem psem, a psów nie wpuszcza się do sądu. Jedynymi

I pioimi wrażeniami z procesu są wymyślone obrazy i sceny. Fakty I znam tylko z relacji Denny'ego; jak już mówiłem, moje wyobrażenie

0 sali sądowej opiera się na tym, co mogłem zobaczyć w telewizji, kiedv oglądałem filmy i różne programy, które szczególnie mi się podobały. Złożyłem sobie tamte dni w całość, tak jak się uzupełnia niedokończoną układankę: jest już ogólny zarys, rogi zostały wypełnione, ale brak wielu elementów w okolicy serca i wewnątrz brzucha.

1 Pierwszy dzień poświęcono na czynności przedprocesowe, drugi m na skompletowanie ławy przysięgłych. Denny i Mike niewiele

0 tym mówili, więc myślę, że wszystko toczyło się tak, jak oczekiwali. W oba te dni Tony i Mike przyjeżdżali do nas wczesnym rankiem; Mike jeździł z Dennyem do sądu, a Tony zostawał, żeby mnie pilnować.

? Na luzie spędzałem ten czas z Tonym. Siedzieliśmy z gazetą albo chodziliśmy na krótkie spacerki, albo wybieraliśmy się do Bauhaus, żeby mógł sprawdzić swoją pocztę elektroniczną w dostępnym tam dla wszystkich Internecie. Lubiłem Tony'ego, chociaż przed laty wyprał mojego psa. Albo właśnie dlatego. Tamten pies, biedaczysko, skończył jak wszystkie istoty: rozpadł się i został bez ceremonii, bez przemowy wrzucony do kosza na śmieci. „Mój pies” - tylko jte słowa przysły mi na myśl. Mój pies. Widziałem, jak Denny Wyrzucał go do kosza i zamykał szafkę - było po wszystkim.

1 Trzeciego dnia po przyjeździe Tony'ego i Mike'a wyczułem Wyraźną zmianę atmosfery. Znacznie większe napięcie, mniej banalnych żartów i ani jednej ciętej uwagi. Nadszedł dzień wła-ciwego rozpoczęcia procesu, wszyscy byliśmy przejęci. Chodziło

przyszłość Denny'ego, nikt więc o śmiechu nawet nie myślał. Jak się później dowiedziałem, pan Lawrence swą pierwszą mowę obrończą wygłosił bardzo żarliwie. Zgodził się z twierdzeniem rokuratora, iż molestowanie seksualne świadczy o chęci okaza-

GARTH STEIN

SZTUKA ŚCIGANIA SIĘ W DESZCZU

nia swej władzy, ale zwrócił też uwagę na to, że bezpodstawne oskarżenie jest nie mniej groźną bronią i również bierze się z chęci zainicjowania władzy. I zapowiedział, że udowodni niewinność Denny'ego.

Prokurator zadbał o paradę świadków, wszystkich bez wyjątku ludzi, którzy spędzili z nami tamten tydzień w Winthrop; mówili

O tym, że Denny pozwolił sobie na flirt z Anniką i uwiódł ją, zachowując się jak drapieżne zwierzę. Owszem, ona przystała na zainicjowaną przez niego grę - to przyznawali - ale przecież była jeszcze dzieckiem! („Tak jak Lolita!” - wykrzyknęłyby pewnie Spencer Trący). Według świadków, Denny jest inteligentnym

1 przystojnym mężczyzną, obdarzonym też silną wolą, powinien więc być zapanować nad sobą. Kolejno przedstawiali takie oto sytuacje: Denny podstępnie zabiegał o spotkania z Anniką, ocierał się o nią, ukradkiem trzymał ją za rękę. Po jednym przekonującym świadku pojawiała się kolejna osoba, której zeznania brzmiały jeszcze bardziej przekonująco, a potem kolejny świadek. Aż wreszcie do złożenia zeznań wezwano rzekomą ofiarę.

Ubrana w skromną spódniczkę i bluzkę zapiętą pod szyją, z włosami ściągniętymi w koński ogon i spuszczonego wzrokiem, Annika przedstawiła całą listę wszystkich natarczywych i przelotnych spojrzeń, sytuacji, w których Denny westchnął przy niej, dotknął jej przypadkowo albo był tego bliski. Przyznała, że chemie, a nawet z zapałem wzięła udział w tej grze, ale dobitnie stwierdziła, że - jako dziecko - nie miała pojęcia, w co się wplątuje. Wyraźnie wyrażona z równowagi, dodała, iż wspomnienie tego zajścia wciąż jest dla niej bolesne.

„Bolesne? - zapytałbym. - Bolesne, bo chodzi o jej niewinność, czy raczej bolesne z powodu jej poczucia winy?”. Ale nie było mnie tam, nie mogłem więc zadać tych pytań. Kiedy przesłuchanie An-niki się skończyło, nikt na sali sądowej - oprócz Denny'ego - nie

miał całkowitej pewności co do tego, czy w tamtym tygodniu nie zwolił on sobie na zbyt wiele wobec Anniki. Zresztą i Denny awał się już mniej pewny siebie.

Wczesnym popołudniem tego dnia - była to środa - pogoda wała się we znaki. Mimo deszczowych chmur nie padało jeszcze. Oszedłem z Tonym do Bauhaus, żeby mógł się napić kawy. Siedząc zewnątrz, obserwowaliśmy ruch na Pine Street, aż w końcu się łączyłem i straciłem rachubę czasu. »-Enzo...

Uniosłem łeb. Tony chował swój telefon komórkowy do kieszeni.

> - Dzwonił Mike. Prokurator poprosił o przerwę. Coś się dzieje... [[Tony urwał, spodziewając się mojej reakcji. Nic nie powiedziałem. Co powinniśmy zrobić? - zapytał. Zaszczekałem dwa razy. Należało tam pójść. Tony zamknął komputer i spakował się. W pośpiechu ruszyliśmy in Street, weszliśmy na kładkę

nad ulicą; Tony szedł bardzo -wawo, trudno mi więc było nadążyć. Gdy wyczuł, że smycz się apina, obejrzał się i zwolnił tempo.

- Musimy iść szybko, jeśli chcemy ich złapać - powiedział. Ja też chciałem ich złapać. Ale czułem straszny ból w bio-rach. Za kinem Paramount Theatre skręciliśmy w Piątą Aleję, szybko kierowaliśmy się na południe, zygzakiem doszliśmy do iateł, aż wreszcie trafiliśmy na plac przed budynkiem sądu rzy Trzeciej Alei.

Nie zastaliśmy tam ani Mike'a, ani Denny'ego. Ale na skraju lacu wypatrzyliśmy grupkę ludzi, którzy żywo gestykulowali, jęci burzliwą rozmową. Ruszyliśmy w ich stronę. Mogli przecież ś wiedzieć. I wtedy nagle się rozpadło. Grupka rozproszyła się tychmiast, a ja dostrzegłem Annikę. Na jej pobladłej twarzy malował się niepokój; dziewczyna płakała. Na mój widok zamrugała oczami, odwróciła się i weszła do budynku.

Co ją tak poruszyło? Choć tego nie wiedziałem, sam też w tej chwili bardzo się zdenerwowałem. Co mogło się dzieć wewnątrz budynku, w mrocznym przybytku sprawiedliwości? Czym mogła jeszcze bardziej pogrążyć Denny'ego i zniszczyć mu życie? Modliłem się usilnie o jakąkolwiek interwencję, o to, by duch Gregory'ego Pecka albo Jimmy'ego Stewarta, albo Raula Julii zstąpił na ów plac i pozwolił nam poznać prawdę. By Paul Newman bądź Denzel Washington wysiadł z przejeżdżającego autobusu i wygłosił płomienną mowę, dzięki której wszystko by się wyprostowało.

Tony i ja schroniliśmy się pod jakąś markizą; byliśmy spięci. Coś się działo, a ja nie miałem pojęcia co. Ach, gdybym mógł jakoś się przedostać, przemycić na salę sądową, wskoczyć na stół i sprawić, żeby mnie usłyszano. Ale nikt nie zaplanował mojego udziału.

-Już po wszystkim - stwierdził Tony. - Nie możemy zmienić tego, co postanowili.

„Czy aby na pewno nie możemy?” - przyszło mi na myśl. „Choć trochę? Czy nie mamy tak silnej woli, by osiągnąć coś na pozór nierealnego? Czy nie możemy użyć własnych sił witalnych, by odmienić bodaj cokolwiek: jakąś błahostkę, niewiele znaczącą chwilę, tchnienie czy gest? Czy nie jesteśmy w stanie uczynić niczego, by odmienić to, co wokół nas?”.

Nogi ciążyły mi tak bardzo, że już nie mogłem ustać; ległem na mokry beton i pogrążyłem się w niespokojnym śnie, a przyśniło mi się coś bardzo dziwnego.

- Panie i panowie - tak pan Lawrence zwrócił się do tych, którzy zasiadali na ławie przysięgłych. - Należy stwierdzić, że akt oskarżenia jest oparty wyłącznie na poszlakach. Nie istnieją absolutnie żadne dowody

alčenja. Prawdę o tym, co rzeczywiście zdarzyło się tamtego wieczoru, iją tylko dwie osoby. Dwie osoby oraz pies.

- Pies? - zdumiał się sędzia.



- Tak, wysoki sędzie - potwierdził pan Lawrence, odważnie stając przed liczem sędziego Van Tighema. - Świadkiem całego zdarzenia był pies

rzonego. Do złożenia zeznań wzywam Enza.

- Sprzeciw! - warknął prokurator.

- Sprzeciw podtrzymany - oznajmił sędzia. - Tymczasowo.

Spod blatu swego stołu sędzia wydobyl jakąś grubą księgę, którą długo tern wertował i w niejeden fragment się wczytywał.

- Czy ten pies mówi? - zapytał sędzia, wciąż zajęty tekturą.

- Za pomocą syntezatora mowy - wyjaśnił pan Lawrence. - Tak, ten 's mówi.

- Sprzeciw! - wtrącił prokurator.

-Jeszcze nie teraz - odparł sędzia. - Proszę mi coś powiedzieć o tym ączeniu, panie mecenasie.

- Wypożyczyliśmy specjalny syntezator mowy, który skonstruowano dla tephena Hawkinga - mówił dalej pan Lawrence. - Poprzez rozpoznanie impulsów elektrycznych z wnętrza mózgu...

- Wystarczy! Przekonał mnie pan wzmianką o Stephenie Hawkingu!

- Dzięki temu urządzeniu pies może mówić - zapewnił pan Lawrence.

Sędzia zamknął grubą księgę.

- Sprzeciw odrzucony. A więc wysłuchajmy tego psa! Posłuchajmy go! Na sali było kilkaset osób, ja zaś siedziałem na miejscu dla świadków, 'ączony z syntezatorem głosu, urządzeniem, którym posługiwał się Ste-en Hawking; sędzia zaprzysiął mnie.

- Czy świadek przysięga mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, czym mu dopomóż Bóg?

- Przysięgam - odpowiedziałem chropowatym, metalicznym głosem, tory brzmiał całkiem inaczej, niż sobie wyobrażałem. Wcześniej żywiłem nadzieję, że przemówię bardziej władczym tonem i że mój głos pozostanie słuchaczom w pamięci, jak głos Jamesa Earla Jonesa.

- Świadek jest do pańskiej dyspozycji - zdziwiony sędzia skierował tę uwagę do pana Lawrence'a.

- Enzo - zagadnął mnie adwokat. - Czy byłeś świadkiem imputowanego molestowania?

- Tak, byłem - odpowiedziałem.

Publiczność ucichła w jednej chwili. Nikt już nie miał odwagi się odzywać, chichotać ani nawet oddychać. Ja mówiłem, a oni słuchali.

- Opowiedz nam swoimi słowami, co widziałeś tamtego wieczoru w sypialni pana Swifta.

- Opowiem o tym - zapewniłem. - Ale najpierw chciałbym, za pozwoleniem, zwrócić się do wysokiego sądu.

- Sąd wyraża zgodę - oznajmił sędzia.

- We wnętrzu każdego z nas istnieje prawda - zacząłem. - Prawda absolutna. Czasem jednak prawda kryje się w galerii luster. Wydaje nam się czasami, że widzimy coś autentycznego, a faktycznie mamy przed sobą zniekształcającą, choć podobną, imitację. Przysłuchując się temu procesowi, przypomniałem sobie kulminacyjną scenę z filmu Człowiek ze złotym pistoletem, z cyklu filmów o Jamesie Bondzie. Wydostał się z gabinetu luster dzięki temu, że je rozbijał, a tym samym niweczył złudzenia, póki nie zobaczył przed sobą prawdziwego złoczyńcy. My też musimy rozbić lustra. Musimy wejrzeć w głąb siebie samych i eliminować wszelkie zniekształcenia, póki nie ukaże się nam to, o czym wiemy, że jest doskonałą i autentyczną częścią naszego serca. Dopiero wtedy sprawiedliwości stanie się zadość.

Powiodłem wzrokiem po twarzach obecnych i na każdej dostrzegłem potwierdzenie tego, że owych ludzi zaintrygowały moje słowa; zresztą kiwali z uznaniem głowami.

- Do niczego między nimi nie doszło - oświadczyłem na koniec. - Absolutnie do niczego.

- Ale przecież tyle razy słyszeliśmy te oskarżenia... -przekornie wątpił • Lawrence.

- Wysoki sędzie -podniosłem głos. - Panie i panowie przysięgli, zapew-m, że mój pan, Dennis Swift, nie zachował się pod żadnym względem ?tosownie wobec tej młodej osoby, Anniki.Jest dla mnie oczywiste, że ona

kochała go ponad wszystko na świecie i dlatego zaproponowała mu siebie. On propozycję odrzucił. Denny zawiñił tyłko tym, że zasnął, bo przedtem wiózł przez trudną górską przełęcz, wyczerpał swe ńty, całą fizyczną energię, śmy bezpiecznie dojechali do domu. Annika, ta dziewczyna, ta kobieta, ipewne nieświadoma skutków swych czynów, napastowała mojego pana. Publiczność zaczęła szemrać.

- Czy to prawda, panno Anniko? - zapytał sędzia. To prawda - wyznała.

Czy odwołuje pani te oskarżenia? - spytał Van Tighem. ? Tak - zaszłochała. -1 bardzo przepraszam, że wszystkich was nara-łam na bolesne przeżycia. Wycofuję zarzuty!

- To zadziwiające! - stwierdził Van Tighem. - Pies Enzo przemówił! rawda została ujawniona. Oddalam oskarżenie. Pan Swift jest wolny, nadto przyznaję mu opiekę nad córką.

Wyskoczyłem z miejsca dla świadków, żeby uściskać Denny'ego i Zoe. 'reszcie, znów połączeni, byliśmy rodziną.

\* \* \*

-Już po wszystkim... Głos mojego pana.

Otworzyłem oczy. Obok Denny'ego stał Mike i pan Lawrence wielkim parasolem. Nie wiedziałem, ile

czasu minęło. Ale Tony bardzo przemókł, tak samo jak ja.

- Przerwę w rozprawie będę pamiętać jako najdłuższe trzy kwadransy w moim życiu - odezwał się Denny. Czekałem na dalszy ciąg.

- Odwołała zeznania — oznajmił. — Wycofano oskarżenie. Wiem, że Denny walczył ze sobą, ale zapierało mu dech

w piersiach.

- Wycofano oskarżenie i jestem wolny.

Gdyby Denny stał tu sam, na pewno by się opanował, ale teraz, w objęciach Mike'a, zaczął ronić wstrzymywane od lat łzy, dla których tamami były wcześniej i owo bagno, i determinacja, i niezmienna umiejętność zatkania przecieku palcem. Denny płakał bardzo przejmująco.

- Dziękuję, panie mecenasie - powiedział Tony, ściskając dłoń pana Lawrence'a. - Świetna robota.

- Nie mieli żadnych dowodów - stwierdził. - Dysponowali tylko zeznaniem Anniki. Kiedy doszło do bezpośredniej konfrontacji, wyczułem, że ona nie jest pewna siebie, że chce coś dodać, wziąłem ją więc w krzyżowy ogień pytań i wtedy się złamała. Wcześniej opowiadała inną historię, której pragnęła. Dzisiaj przyznała, że w ogóle nic się nie wydarzyło. Prokurator byłby głupi, gdyby nie mając jej zeznań, nadal się upierał przy oskarżeniu.

Czy właśnie to poświadczyła? Byłem ciekaw, gdzie teraz jest, co myśli. Rozejrzałem się po placu i wypatrzyłem ją w otoczeniu rodziny, gdy wychodziła z sądu. Wydała mi się taka krucha.

Annika spojrzała w naszą stronę i też nas dostrzegła. Wtedy zrozumiałem, że nie jest złym człowiekiem. Kiedy dochodzi do wypadku na torze, nie należy się złościć na innego kierowcę. Można mieć tylko żal do siebie za to, że w niewłaściwym czasie było się w niewłaściwym miejscu.

Annika chciała pomachać Denny'emu, ale tylko ja zobaczyłem jej gest, bo nikt inny nie patrzył w tamtym kierunku. Zaszczekałem więc, żeby doczekała się odpowiedzi.

- Masz dobrego pana - powiedział do mnie Tony, który wciąż skupiał się na naszej grupce.

Nie minął się z prawdą. Mam najlepszego pana. , Obserwowałem Denny'ego, póki w ramionach Mike'a kołysa i to w przód, to w tył. Było mu lżej, czuł się wolny, ale też miał wiadomość, że inna droga zapewne byłaby łatwiejsza, lecz nie prowadziła do szczęśliwego zakończenia.

?57 ?

JUŻ NASTĘPNEGO DNIA PAN LAWRENCE POWIADOMIŁ DENNY'EGO,

że Wredne Bliźnięta wycofały pozew o przyznanie im opieki nad Zoë. Córka była jego. Maxwell i Trish poprosili o czterdzieści osiem godzin na spakowanie wnuczki i na to, by mogli spędzić z nią jeszcze trochę czasu, zanim oddadzą Zoë ojcu. Ale on nie musiał się na to zgodzić.

Denny mógłby być małoduszny. I jego złośliwość byłaby zrozumiała. Tamci zabrali mu kilka lat życia, pozbawili go pieniędzy, pracy, próbowali go zniszczyć. Ale Denny jest dżentelmenem. Potrafi współczuć innym. Dlatego spełnił ich prośbę.

Wczoraj wieczorem, przygotowując się na powrót Zoë, jej tata piekł - jak zwykle, bez niczyjej pomocy - ciasteczka. Wtem zadzwonił telefon. Denny miał ręce oblepione ciastem owsianym, więc ustawił telefon na tryb głośnomówiący.

- Proszę mówić! - poprosił pogodnym tonem. - Słucham. Przez chwilę słychać było tylko trzaski.

- Chciałbym rozmawiać z Dennisem Swiftem.

- Tu Denny - odezwał się znad miski z ciastem mój pan. -czym mogę pomóc?

- Luca Pantoni. Oddzwaniam. Telefonuję z Maranello. Czy to dobra pora na rozmowę?

Denny uniósł brwi i uśmiechnął się do mnie. f - Luca! Grazie, dziękuję, że oddzwoniasz. Właśnie piekę ciasteczka, dlatego przestawiłem telefon na głośnomówiący. To ci chyba nie przeszkadza.

- Bynajmniej.

- Luca, dzwoniłem wcześniej, bo... sprawy, które zatrzymywały mnie w Stanach, znalazły swój finał.

- Ton twojego głosu świadczy o pomyślnym zakończeniu -stwierdził Luca.

- Bardzo pomyślnym - powiedział Denny. - Tak. Zastanawiałem się, czy twoja propozycja jest aktualna.

- Oczywiście.

- Moja córka i ja... i mój pies, Enzo... z przyjemnością przyjmujemy twoje zaproszenie do Maranello na obiad.

- Twój pies wabi się Enzo? Ma włoskie imię!

- W głębi ducha jest kierowcą wyścigowym - powiedział, uśmiechając się do mnie, Denny. Tak bardzo go kocham. Wiem o nim wszystko, a jednak ciągle mnie zaskakuje. Zadzwoił do Luki!

- Cieszę się, że poznam twoją córkę i znowu zobaczę Enza - zapewnił Luca. - Poproszę moją asystentkę o przygotowanie potrzebnych dokumentów. Musimy zawrzeć umowę, żeby korzystać z twoich usług. Mam nadzieję, że rozumiesz. Charakter naszej działalności i koszt zatrudnienia kierowcy testującego...

- Rozumiem - odparł Denny, wykładając ciasto i rodzynki na blachę do pieczenia.

- Odpowiadałby ci trzyletni kontrakt? - zapytał Luca. - Twoja córka zamieszka tu z tobą? Mamy amerykańską szkołę, jeśli nasze włoskie, jej się nie spodoba.

- Mówiła mi, że chce na próbę najpierw iść do włoskiej szkoły -powiedział Denny. - Przekonamy się, jak sobie poradzi. Tak czy inaczej, Zoe wie, że czeka ją wielka przygoda, jest bardzo przejęta. Uczy się prostych włoskich zdań z książki dla dzieci, którą jej kupiłem. Mówi, że potrafiłaby już w Maranello zamówić pizzę, a ją uwielbia.

- Benel Ja też za nią przepadam. Podoba mi się sposób myślenia twojej córki, Denny. Naprawdę się cieszę, że mogę ci pomóc właśnie teraz, gdy zaczynasz nowy etap życia.

Denny dalej układał ciasteczka na blasze i można by pomyśleć, że zapomniał o prowadzonej rozmowie telefonicznej.

- Moja asystentka będzie z tobą w kontakcie, Denny. Spodziewamy się ciebie za kilka tygodni.

- Tak, Luca, dziękuję.

Plask - ciasteczko i jeszcze raz plask.

- Luca... -Sr?

- Czy teraz mi powiesz, dlaczego? - zapytał Denny. Znowu długa przerwa.

- Wolałbym ci powiedzieć...

- Tak, wiem, Luca. Wiem. Ale pomogłoby mi, gdybyś teraz powiedział. Już nie musiałbym się domyślać.

- Rozumiem - stwierdził Luca. - Powiem ci. Wiele lat temu, kiedy zmarła moja żona, tak rozpaczalem, że sam byłem bliski śmierci.

- Przykro mi - wyrzekł Denny, który przestał układać ciasteczka i już tylko słuchał.

- Dziękuję - odpowiedział Luca. - Nie od razu nauczyłem się, jak reagować na składane mi kondolencje. Zwyczajna sprawa, a jakże bolesna. Pewnie to rozumiesz.

- Rozumiem — potwierdził Denny.

- Żałoba faktycznie by mnie zabiła, Denny, gdybym nie otrzymał pomocy, gdyby nie znalazł się mentor, który podał mi pomocną

łóń. Rozumiesz? Mój poprzednik w tej firmie zaproponował mi pracę, mianowicie prowadzenie samochodów. Uratował życie nie tylko mnie, ale także moim dzieciom. Ten człowiek niedawno zmarł

- był już stary - ale jeszcze zdarza mi się widzieć jego twarz, słyszeć jego głos, pamiętam go. Nie mam prawa zatrzymać dla siebie tego, co mi ofiarował, muszę to komuś przekazać. Jestem szczęśliwy, że teraz mogę pomóc tobie.

Denny patrzył na telefon, jakby widział w nim Lucę.

- Luca, dziękuję ci za pomoc i za wyjaśnienie powodów.

- Cała przyjemność po mojej stronie, przyjacielu - odparł Luca.

- Witaj w firmie Ferrari. Zapewniam cię, że nie zechcesz odejść.

Pożegnali się i Denny małym palcem nacisnął przycisk. Potem przykucnął i wyciągnął przed siebie lepkie ręce, które usłużnie

wylizałem do czysta.

- Czasami wierzę - powiedział do mnie, kiedy się delektowałem słodczą jego rąk, palców, przeciwstawnych kciuków. - Czasami naprawdę wierzę.

NA HORYZONCIE z WOLNA ROZPOŚCIERA SIĘ ŚWIT I OBDARZA KRAJ swoim blaskiem. Moje dotychczasowe życie wydaje mi się zarówno bardzo długie, jak i bardzo krótkie. Ludzie mówią o woli istnienia. Rzadko kiedy jednak wspominają o woli zakończenia życia. Bo ludzie boją się śmierci. Śmierć jest czymś mrocznym, nieznanym, przerażającym. Ale mnie nie przeraża. To nie koniec.

Słyszę, że Denny krząta się w kuchni. Domyślam się, co robi: przygotowuje śniadanie, jak to zwykł czynić, kiedy byliśmy rodziną, z Eve i Zoë. Od dawna ich nie ma i Denny żywi się płatkami.

Mobilizuję wszystkie swoje siły, żeby przybrać pozycję stojącą. Chociaż moje biedne biodra są sztywne, a w łąpach czuję okropny ból, dochodzę jakoś do drzwi sypialni.

Starość jest żalosna. Tak bardzo nas ogranicza i tylu rzeczy pozbawia. Wiem, że spotyka to wszystkich; ale myślę, że nie musi tak być. Myślę, że starzejemy się na własne życzenie. Nasz obecny stan ducha i nasze zbiorowe znudzenie sprawiają, że właśnie tego chcemy. Ale pewnego dnia przyjdzie na świat mutant, który nie

Moja wola śmierci. Kiedy już będę człowiekiem, być może wy-najdę maszynę, która ułatwi psom samobójstwa.

Gdy powrócę na ten świat, będę mężczyzną. Jednym z was. Będę oblizywać usta małym, zwinnym językiem. Będę ścisnąć dłonie innych mężczyzn, mocno je chwytając przeciwstawnymi kciukami. I przekażę ludziom wszystko, co wiem. A gdy zobaczę mężczyznę, kobietę czy dziecko w kłopotcie, podam im rękę - i metaforycznie, i fizycznie. Ofiaruję pomoc. Jemu. Jej. Wam. Światu. Będę dobrym obywatelem, dobrym partnerem w życiu, które nam wszystkim przypada w udziale.

Podchodzę do Denny'ego i dotykam pyskiem jego uda.

- Kochany Enzo - mówi Denny.

Instynktownym ruchem głaszczę mnie po głowie; jesteście już tak długo razem, czuję jego palce na czubku łba i za uszami. Jego męski dotyk.

Łapy odmawiają mi posłuszeństwa. Upadam.

-Zo?

Denny jest przerażony. Pochyla się nade mną.

- Wszystko w porządku?

Czuję się dobrze. Cudownie. Jestem. Jestem. -Zo?

Denny wyłącza palnik. Przykłada rękę do mego serca. Jeśli w ogóle cokolwiek wyczuwa, to zapewne słabutkie bicie.

W ciągu kilku ostatnich dni wszystko się zmieniło. Denny i Zoe znów będą razem. Chciałbym być świadkiem ich spotkania. Pojadą do Włoch. Do Maranello. Dostaną tam mieszkanie i będą jeździć fiatem. Firma Ferrari zyska w Denny'ym wspaniałego kierowcę. Wyobrażam sobie go w tej roli; dzięki swej błyskotliwości oraz inteligencji jest już ekspertem w jeździe na torze. Tamci dostrzegą jego talent,



wyróżnią go spośród wszystkich kierowców testujących i poddadzą próbie, dzięki której trafi do zespołu fabrycznego

'ormuły 1. Scuderia Ferrari3. Niezastąpionego Schumiego zastąpi Baśnie Denny.

- Sprawdźcie mnie - powie i tamci go sprawdzą.

Docenią jego talent, zrobią z niego kierowcę, a w krótkim czasie ostanie mistrzem Formuły 1, tak jak Ayrton Senna. Jak Juan Manuel 'angio. Jim Clark. Jak Jackie Stewart. Nelson Piquet, Alain Prost, Kiki Lauda, Nigel Mansell. Jak Michael Schumacher. Mój Denny!

Chciałbym to zobaczyć. Wszystko, począwszy od popołudnia, [które połączy Zoe z ojcem. Ale wątpię, czy doczekam chwili, kie-Hy znów się spotkają. Zresztą to nie ode mnie zależy. Moja dusza ?poznała wszystko, co powinna była poznać, a inne rzeczy są tylko rzeczami. Nie możemy mieć wszystkiego, czego pragniemy. Czasem musimy po prostu wierzyć.

- Nic ci nie jest? - pyta Denny. Mój łeb spoczywa na jego ko-Banach. Widzę go.

Coś jednak wiem o ściganiu się w czasie deszczu. Wiem, że jpotrzebne jest zachowanie równowagi. Potrzebne są też umie-ljętność przewidywania i cierpliwość. Wiem dokładnie, co musi ?umieć kierowca, aby w deszczu odnosić sukcesy. Ale ściganie się Jw czasie deszczu wymaga także udziału umysłu! I posiadania [własnego ciała. Wiary w to, że samochód jest tylko dopełnieniem [ciała, deszcz dodatkiem do toru, a niebo załącznikiem do deszczu. I Musisz wierzyć, że nie jesteś tylko sobą, lecz jesteś wszystkim. ?A wszystko jest tobą.

Często kierowcom wyścigowym przyszywa się łatkę egocentry-I ków. Mnie samemu zdarzyło się ich nazwać egoistami, ale niesłusznie. I Kto chce być mistrzem, temu ego nie jest w ogóle potrzebne. Ten nie powinien istnieć jako byt odrębny. Trzeba się wyrzec tożsamości na rzecz wyścigu. Kierowca jest nikim bez zespołu, samochodu, butów opon. Ufność i samoświadomość nie świadczą o egoizmie.

Widziałem kiedyś film dokumentalny o mongolskich psach Podobno pies, który jest gotów wyrzec się swojej psiej natury, w kolejnym wcieleniu staje się człowiekiem.

Ja jestem gotów...

A jednak...

Denny posmutniał, moje odejście bardzo go zboli. Wolałbym zostać w tym mieszkaniu z nim i Zoe, obserwować przechodniów, którzy rozmawiają i ściskają sobie dłonie.

- Zawsze byłeś ze mną - mówi Denny. - Zawsze byłeś moim Enzem.

Tak. Byłem. Słusznie.

- W porządku - mówi do mnie. - Idź, jeśli już musisz iść. Odwracam łeb i oto mam przed oczyma moje życie. Moje dzieciństwo. Mój świat.

Jest wokół mnie. Pola w Spangle, gdzie się urodziłem. Wzgórza ze złocistą trawą, kołyszącą się na wietrze i taskoczącą mnie po brzuchu, gdy po niej chodzę. I doskonale błękitne niebo, i tak okrągłe słońce.

Tego bym chciał. Jeszcze trochę pobaraszkować na tamtych polach. Jeszcze przez jakiś czas pozostać sobą, zanim stanę się kim innym. Tego bym chciał.

Zastanawiam się teraz, czy nie zmarnowałem swojej psiej jaźni, czy dla spełnienia własnych pragnień nie wyrzekłem się własnej natury, czy nie popełniłem błędu, skoro - marząc o przyszłości - odżegnałem się od teraźniejszości.

Być może. Niewczesny żal w chwili śmierci. Głupstwa.

- Kiedy cię zobaczyłem - mówi Denny - od razu wiedziałem, że musimy być razem.

„Tak, ja też!”.

- W porządku.

Widziałem kiedyś film. Dokumentalny. W telewizji, którą chętnie oglądam. Denny swego czasu przestrzegł mnie przed zbyt długim wgapieniem się w ekran. Widziałem film dokumentalny

O mongolskich psach. Usłyszałem, że psy po śmierci powracają jako ludzie. Ale było tam coś jeszcze...

Czuję jego ciepły oddech na karku, jego ręce. Denny pochyla się ku mnie, choć już go nie widzę; nachyla się do mojego ucha.

Pola są tak rozległe, że mógłbym bardzo długo biec w jednym kierunku i potem bardzo długo biec z powrotem. Pola nie mają końca.

- Wszystko w porządku, mały - cicho i spokojnie mówi mi na ucho Denny.

Przypomniałem sobie! Z tamtego filmu dokumentalnego wynika, że po śmierci psa jego dusza trafia do otaczającego nas świata. Jego dusza zostaje wyzwolona, aby mogła wędrować po świecie, po polach, cieszyć się ziemią, wiatrem, rzekami, deszczem, słońcem...

Po śmierci dusza psa może biegać, aż będzie on gotów do narodzenia się po raz drugi. Pamiętam.

- Wszystko w porządku.

Kiedy się odrodzę jako człowiek, odnajdę Denny'ego. I Zoe. Podejdę do nich, uścisknę ich dłonie i powiem:

- Cześć, to ja, Enzo. Przekonają się. -Idź.

Mam przed oczyma własny świat - pola wokół Spangle. Nie-ogrodzone. Bez zabudowań. Bez ludzi. Tylko ja i trawa, i niebo,

1        ziemia. Tylko ja.

-        Kocham cię, mały.

Robię kilka kroków i już jestem na polu. Jak dobrze, jak przyjemnie czuć rześkie powietrze, wdychać zapachy unoszące się dookoła... Czuć na sierści promienie słońca. Zdaje mi się, że jestem u siebie.

-Idź.

Zbieram siły, ruszam i mam dobre wrażenie, jakbym był istotą bez wieku, ponad czasem. Nabieram szybkości. Biegnę.

-        Wszystko w porządku, Enzo.

Nie oglądam się za siebie, ale wiem, że on tam jest. Szczekam dwa razy, bo chcę, żeby mnie usłyszał i żeby wiedział. Czuję na sobie jego wzrok, lecz się nie odwracam. Biegnę na pole, by zniknąć w rozległym wszechświecie.

-        Idź! - woła do mnie Denny.

Szybciej - kiedy biegnę, wiatr smaga mi pysk; szybciej - czuję gwałtowne bicie serca i szczekam dwa razy, żeby powiedzieć o tym jemu, wszystkim na świecie, żeby powiedzieć: „szybciej!”. Szczekam dwa razy, żeby wiedział i pamiętał. Teraz pragnę tego, czego zawsze chciałem.

Jeszcze jedno okrążenie, Denny! Jeszcze jedno okrążenie! Szybciej!

\* 4 5

## IMOLA, WŁOCHY

Gdy jest już po wszystkim, po zwycięstwie w ostatnim wyścigu, po dekoracji mistrza sezonu, on właśnie siedzi samotnie na zakręcie zwanym Tamburello, na torze grząskim od deszczu, który padał przez wiele dni. Rzucająca się w oczy postać w stroju wyścigowym z Nomexu, czerwonym, bo to kolor zespołu Ferrari, i pokrytym znakami licznych sponsorów, którzy chcą w nim widzieć swą sztandarową postać, swą ikonę, kogoś, kogo mogliby przedstawiać światu jako własny symbol... Ten mistrz siedzi samotnie. W Japonii, Brazylii, w całych Włoszech, w Europie i na świecie ludzie świętują jego zwycięstwo. W przyczepach i w pokojach na zapleczu inni kierowcy - niektórzy są nawet dwa razy młodszy - kręcą z podziwem głowami. Dokonać czegoś takiego... Przetrwąć to, co on przetrwał. .. Będąc człowiekiem znikąd, zostać mistrzem Formuły 1... W jego wieku. Historia jak z bajki.

Obok, na asfalcie, zatrzymuje się elektryczny wózek golfowy, prowadzony przez młodą kobietę o długich włosach. Przyjechały z nią dwie inne osoby, ktoś wysoki i ktoś niski.

Młoda kobieta wysiada i podchodzi do mistrza.

- Tato? - upewnia się.

Mistrz spogląda na nią, choć liczył na trochę dłuższą samotność.

- Ci ludzie cię podziwiają - mówi kobieta.

On uśmiecha się ze zdumieniem w oczach. Posiadanie własnych fanów - wśród dorosłych czy wśród dzieci - wydaje mu się bardzo dziwne, musi się do tego dopiero przyzwyczać.

- Nie, nie - mówi ona, bo odgaduje jego myśli, zanim zdążą się pojawić. - Na pewno się ucieszysz, jeśli ich poznasz.

Mistrz kiwa głową, ponieważ ona ma zawsze rację. Kobieta daje znak gościom. Z wózka wysiada mężczyzna, który chowa się pod peleryną przeciwdeszczową. A potem wysiada dziecko. Podchodzą do mistrza.

- Deni! - wykrzykuje mężczyzna. Mistrz ich nie poznaje. Nie zna ich.

- Deni! Speravamo di trovarla qui!" - odzywa się znów.

- Eccomi!6 - odpowiada mistrz.

-

- Deni, jesteśmy pana wiernymi fanami. Przywiozła nas tutaj pańska córka. Zapewniła, że pan się nie pogniewa.

- Ona mnie zna - przyznaje serdecznym tonem mistrz.

- To mój syn - przedstawia tamten mężczyzna. - Podziwia pana Ciągłe o panu mówi.

Mistrz spogląda na chłopca, niskiego, o ostrych rysach twarzy, jasnoniebieskich oczach i nieco kędzierzawych włosach.

- Quanti anni hai?7 - pyta mistrz.

- Cinque!8 - odpowiada chłopiec.

- Ścigasz się?

- Na gokartach - odpowiada ojciec malca. - Jest w tym bardzo dobry. Już za pierwszym razem umiał ruszyć z miejsca. Dużo mnie to kosztuje, ale on tak dobrze jeździ, jest tak utalentowany, że warto.

- Bene, che bello!9 - chwali mistrz.

- Czy złoży pan autograf na naszym programie? - pyta mężczyzna. - Obserwowaliśmy wyścig z tamtego pola. Miejsca na głównej trybunie są bardzo drogie. Przyjechaliśmy z Neapolu.

- Certo!10 - zapewnia mistrz. Bierze program i długopis. - Come ti chiami?11 - pyta.

- Enzo - odpowiada chłopiec.

Mistrz unosi wzrok, zdziwiony odpowiedzią. Na chwilę zamiera. Nie pisze. Nie odzywa się.

- Enzo? - pyta wreszcie.

- Sì - mówi chłopiec. - Mi chiamo Enzo. Anch'io voglio diventare un campione.

Zdumiony mistrz przygląda się chłopcu.

Mówi, że chce zostać mistrzem - tłumaczy ojciec, który opacznie zrozumiał milczenie rozmówcy. - Takim jak pan.

- Ottima idea<sup>12</sup> - ocenia mistrz, ale nadal patrzy na chłopca, aż w końcu uświadamia sobie, że przygląda się zbyt długo, i kręci głową, aby przerwać konsternację. - Mi scusi" - mówi. - Pański

yn przypomina mi mojego serdecznego przyjaciela.

Mistrz i jego córka wymieniają spojrzenia, po czym kierowca podpisuje należący do chłopca program i wręcza go ojcu, który odczytuje napisane słowa.

- Che cos'??<sup>13</sup> - pyta.

- Mój numer telefonu w Maranello - wyjaśnia mistrz. - Proszę o mnie zadzwonić, kiedy uzna pan, że syn jest gotowy. Postaram się o to, żeby został dobrze wyszkolony i by mógł jeździć.

Grazie! Grazie mille!" - cieszy się mężczyzna. - On ciągle

0 panu mówi. Według niego, nigdy nie było większego mistrza niż pan. Mówi, że pan jest nawet lepszy niż Senna!

Mistrz wstaje w mokrym jeszcze kombinezonie. Głaszcze malca

1 mierzwi mu włosy. Chłopiec patrzy na niego.

- On tak naprawdę już jest kierowcą wyścigowym - stwierdza mistrz.

- Grazie - ojciec nie potrafi powstrzymać swej radości. - Ogląda wszystkie nagrania wideo z pańskich wyścigów.

- La macchina va dove vanno gli occhi - deklamuje chłopiec. Mistrz wybuchą śmiechem, a potem zerka na niebo.

- Sì - potwierdza. - Samochód podąża za wzrokiem kierowcy. To prawda, młody przyjacielu. Szczera prawda.

• Podziękowania •

DRESATAMI TYCH PODZIĘKOWAŃ SĄ WSPANIALI PRACOWNICY wydawnictwa Harper, a zwłaszcza: Jennifer Barth, Tina Andreadis, Christine Boyd, Jonathan Burnham, Kevin Callahan, Michael Morrison, Kathy Schneider, Brad Wetherell, Leslie Cohen; mój świetny zespół w Folio Literary Management, a szczególnie: Jeff Kleinman, Arni Greko, Adam Latham, Anna Stein; ludzie, którzy -jako eksperci - niejedno mi ułatwili, między innymi: Scott Driscoll, Jasen Emmons, Joe Fugere, Bob Harrison, Soyon Im, Doug Katz, David Katzenberg, Don Kitch jr, Michael Lord, Layne Mayheu, Kevin O'Brien, Nick O'Connell, Luigi Orsenigo, Sandy i Steve Perlbinderowie, Jenn Risko, Bob Rogers, Paula Schaap, Jennie Shortridge, Marvin i Landa Steinowie, Dawn Stuart, Terry Tir-rell, Brian Towey, Cassidy Turner, Andrea Vitalich, Kevin York, Lawrence Zola...

Caleb, Eamon i Dashiell...

Oraz ta, dzięki której istnieje mój świat -

Drella.

